



*At the request of*

*His Eminence  
Edmund Cardinal Szoka  
Archbishop of Detroit*

*His Holiness  
Pope John Paul II*

*has named*

*Father Stanley  
Edward Milewski*

*Chancellor  
of  
The Orchard Lake Schools  
S.S. Cyril and Methodius Seminary  
St. Mary's College  
St. Mary's Preparatory*

*Prelate of Honor to  
His Holiness*

*with the title of*

*Reverend Monsignor*

**BOYS TOWN**

NEBRASKA 1990



*He ain't heavy, Father... he's m' brotber*

W.M.







C 1841



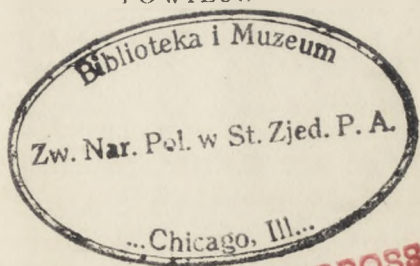


MARIA RODZIEWICZÓWNA

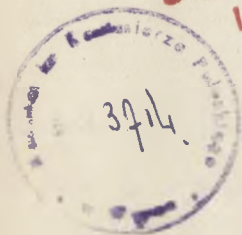
C 1841

# SZARY PROCH

POWIEŚĆ



**POLISH RED CROSS**  
EDUCATIONAL DEPARTMENT.  
**34, BELGRAVE SQUARE**  
**LONDON, S.W.1**



LONDON 1945

PRESS AGENCY (SWIATPOL) LTD

Okladkę projektował W. Jastrzębowski



Printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street, London, factory  
for Press Agency (Swiatpol) Ltd., 38, Wilton Crescent, London, S.W.1

## I

— *Und keine Spur! O Herr Je! O Herr Je!*

Panna Greta Matschke podniosła przy tych słowach do zaczerwienionej twarzy róg fartuszka i otarła rzęsite łzy. Potem załamała ręce ruchem Nioby i spojrzała żałośnie poza lampę i szerokie biuro na rodzica swego, który, rozparty w fotelu, pogrążony był w kontemplacji kresek i linijek na wielkiej morskiej mapie, rozłożonej przed nim. Szeroka jego, czerwona i tłusta twarz miała wyraz głębokiej troski. W obwisłych wargach trzymał zagasłą fajkę porcelanową, ozdobioną wizerunkiem pulchnej, uśmiechniętej Turczynki. Malatura ta była jaskrawa i z wyrazem głębokiego zadowolenia z życia; nie licowała wcale z mrocznym pokojem i humorem ojca i córki.

— *Spurlos verschwunden!* — zamruczał Matschke, nie odrywając oczu od karty. — Nie pojmuję, co im się mogło przytrafić. Zboże odwieźli szczęśliwie do Rio i załadowali fernambuk. Miałem list od Lorenza w przeddzień podniesienia kotwicy. Sygnalizowano wprawdzie burzę w zeszłym tygodniu, ale przecież Lorenz nie fryc, a „Margareta” nie byle szkuta Brucka! Zresztą jużby była wiadomość o rozbiciu. Taki statek pół miliona wart, a ubezpieczony na dwakroć...

— A taki człowiek, ojcze! — szepnęła Greta nieśmiało.

— Drogi człowiek, drogi! Bruck omal go oczami nie pożre. Dwanaście lat mi służy bez cienia zarzutu! Jaki u niego ład w głowie, a jaka ścisłość w sumieniu, to ja tylko jeden wiem.

— Ach, ojcze, sam będziesz winien jego zgubie. Bruck takiego człowieka nie naraziłby na burzę, nie trzymałby na marnej posadzie okrętowego kapitana! Statków zostanie ci jeszcze jedenaście, a kapitana Lorenza nikt nie zastąpi!

— Bruck go urzekł — zamruczał kupiec ponuro. — Kiedy „Margareta” dawała ostatni znak do odejścia, a Lorenz brał sam za koło u steru, Bruck z damby przypatrywał się i coś mamrotał przez zęby. Taki Spitzbub!

Umilkł, ciężko odsapnął i znowu wlepił oczy w kartę.

W kupieckim dworze wieczór przerwał robotę. Wyludniły się magazyny i biura, ucichł gwar i wstrząsający sklepienie łoskot frachtowych wozów dostarczających towary, rozbiegła się rzesza komisantów i urzędników firmy. Pozostał właściciel sam, córka i nieliczna służba w głębi mieszkania.

Za ścianą nieprzerwanym nigdy ruchem i wrzawą roiła się portowa ulica, rozlegały się parowe sygnały, dzwonki, turkot i nawoływania, a ponad to wszystko górował głuchy, potężny huk Bałtyku, bijącego ze złowrogą wściekłością o portowe tamy.

Panna Greta oparła się o biuro, zakryła oczy i prawdopodobnie płakała. Pan Matschke od papierowego Atlantyku oczu nie odrywał, rachując swe straty półgłosem. Zdało mu się w tej chwili, że dzwonek u drzwi zajęczał. Zaklął przez zęby.

— To pewnie kupiec po fernambuk. Jak na drwiny codzień mi cenę podnosi. A fernambuk z „Margaretą” na dzień morza! *Hundselement!*

— Czy chodził dziś ojciec do portu? — spytała córka.

— Nie chodziłem! Poco? Żeby posłyszeć złą wiadomość i słuchać ubolewań fałszywych Brucka? Skończone! Niema „Margarety”. Na dzień morza ona!...

W głębi rozwarły się drzwi. Wysoki, barczysty mężczyzna stanął na progu i zatrzymał się, słuchając słów ostatnich. Twarz jego ciemna i sucha zaśmiała się swywolnie, aż zaiskrzyły się oczy siwe, aż rozchmurzyło się czoło, do marsa nawykłe, aż błysnęły przepyszne białe zęby. Stał chwilę nieporuszony, trzymając w jednej ręce czapkę, w drugiej pudło niewielkie i rozkoszował się wrażeniem, jakie tutaj sprawi.

— Na dnie morza leżą gapie i hultaje, ale nie my  
: „Margaretą”. Fernambuk w porcie, panie Matschke.

— Lorenz! Pan Lorenz!... — wrzasnęli równo-  
cześnie wielkim głosem kupiec i jego jedynaczka.

— Do usług pańskich, ja sam! — rzekł marynarz,  
stawiając pudło u progu i podchodząc bliżej.

Fotel, odsunięty z impetem, stracił równowagę  
i ukazał w powietrzu cztery swe podpory. Z ust pana  
Matschke wypadła fajka i pulchna odaliska rozprysła  
się na sto kawałków, a sam kupiec podskoczył do  
gościa i nie mogąc sięgnąć wyżej, objął go w pasie  
i uściśnął z sił całych.

— Lorenz! Lorenz! *Mein Liebling! Mein Sohn!* —  
wołał z wybuchem radości.

Młody ledwo się uwolnił z tych objęć i ku pannie  
Grecie przystąpił, podając jej z uśmiechem radości swą  
żylastą prawicę. Znać było po niej, że właściciel nie  
zawsze nosił rękawiczki, cienki surdut i rangę kapitana.

— Dziękuję pani za współczucie i dobre serce dla  
mnie, obcego — rzekł ciszej, nisko się kłaniając.

— *Aber Lorenz!* — przerwał kupiec, skubiąc go za  
rękaw. — Prawdę mówisz, Cała „Margareta”?

— Cała i zreparowana.

— Więc mieliście przypadek?

— Jeden z gorszych. Na wysokości Bermudów  
burza nas opadła. Straciliśmy dwa maszty, trzech  
ludzi i ster. Nie pamiętam takiego huraganu. Statek  
pił wodę, jak kaczka, a bezwładny był, jak martwy  
wieloryb. Dotarliśmy cudem do Bermudów i tam prze-  
staliśmy w reparacji dwa tygodnie. Na domiar nie-  
szczęścia telegraf coś niedomagał i nie funkcjonował.  
Wysłałem list przez pocztowy parowiec „Arminas”.

— „Arminas” rozbił się w Manszy — przerwał  
Matschke.

— I mój list z nim razem zamókł tedy. Jestem  
wytłumaczony. Naprawiwszy okręt, ruszyliśmy do  
domu całą siłą maszyny. Zarobiliśmy dwa dni czasu  
i oto jesteśmy.

— A dużo cię remont kosztował? — spytał kupiec niespokojnie.

— Dużo — nie dużo — skrzywił się kapitan. — Nie wyrzucałem na wiatr pana pieniędzy.

— Wiem, wiem... — uspokojony potakiwał Matschke.

— Ludzi szkoda — rzekł Lorenz, poważniejąc. — Jeden, to stary Hopf... żonę zostawił i dzieci sporo. Maszt go przywalił. Drugi, mały Hans, jedyny u starej babki. Bałwan go zmiótł z pokładu, jak szmatę. Pani o tych sierotach nie zapomni — dodał, zwracając się do Grety.

— Zapiszę ich sobie — rzekł Matschke — będę pamiętał na pamiątkę szczęśliwego ocalenia „Margarety”. Dawno przybiłeś?

— Przed godziną. Zostawiłem pomocnika na pokładzie dla formalności i skoczyłem w szalupę. Jak widmo, witali mnie ludzie w porcie i opowiadali o pańskim niepokoju. Chciałem być pierwszy z dobrą wieścią.

— *Gott sei gelobt!* Byleś był sam cały, odrobimy stratę. Greta, daj mi palto, laskę i kapelusz.

— Ojciec odchodzi? — zawołała przerażona.

— A cóż myślisz? W taki dzień nie odwilżyć gardła! Dość się nałykałem zgryzoty, a Lorenz słonej wody. Pójdziemy „pod Rekina”. Muszę swego kapitana pokazać Bruckowi. Niech go żółć zaleje! No, no, prędzej!

Ze stłumionem westchnieniem obejrzała się, szukając żądanych przedmiotów, gdy wtem z pudła, stojącego u progu, rozległ się dziwny hałas, zaczęło się ruszać, jak żywe.

— Coż ty przyniósł ze sobą?... — krzyknął Matschke.

Lorenz uśmiechnął się tajemniczo i podnosząc skrzynkę, postawił ją na stole.

— Dla panny Grety z dalekich stron przywiozłem... — rzekł, odkrywając zasłonę.

— Ach, śliczności! — zawołała panna.

Pudło okazało się klatką, zawierającą w sobie dwie wielkie, jaskrawe papugi. Na blask lampy poruszyły się żywo i wrzasnęły, jak na komendę, dzikim głosem:

-- *Grete! Grete! Du schönste! Du liebste!*

-- Cha, cha, cha! — zaśmiał się całym gardłem Matschke. — Ucieszne ptactwo! Pewnie drogo cię kosztowały! Chociaż tam na południu pospolite to, jak nasze wrony. Dobrze bestje gadają. Można w salonie umieścić. No, no! Podziękuj, Grete! Możesz go pocałować.

Lorenza twarz od rumieńca stała się prawie czarną. Panna ze spokojem Niemki i bez żadnego wahania i wstępu podała mu do pocałunku pulchne policzki. Marynarz, nieprzygotowany widocznie do tego zaszczytu, nieśmiało i niezgrabnie odpowiedział wezwaniu.

-- *Danke!* — szepnęła panna, niewiadomo: za papugi, czy za buziaka.

Matschke patrzył i śmiał się.

— *Schön!* — wołał. — A teraz — punctum. Musimy jeszcze zastać Brucka „pod Rekinem”, więc marsz! Dobranoc, Grete. Jutro na obiad knedle tłuste być powinny.

-- Pan Lorenz lubi wieprzowinę z kapustą — zepnęła tonem arcyczułym.

— I owszem! Lubię i ja. — Chodźmy, chłopcze!

Kapitan stracił swą swobodę i werwę. Ukłonił się w milczeniu i wyszedł ze swoim chlebobawcą.

Humor mu wrócił w knajpie dopiero. Matschke myślnie wiódł go przez całą długość sali, prezentował znajomym i zawistnym; witano go hałaśliwie.

— Skąd, gdzie, jak? Czy to ty we własnej osobie?

— Broń Boże, to nie ja, ale latający Holender — odpowiadał ze śmiechem, zamieniając uściski dłoni kolegami.

Nareszcie usiedli. Naprzeciw nich Bruck, antonista Matschkego, poznał kapitana i zakrył się ostentacyjnie gazetą.

— Może pan potrzebuje fernambuku, panie Bruck! — spytał go dobrodusznie Matschke.

— Oddawna zaniechałem podobnych drobno-  
stek. To nie interes dla mnie — była opryskliwa od-  
powiedź.

— Kto chce być bogatym, żadnym interesem nie  
pogardza — wygłosił Matschke sentencjonalnie.

— Już jestem bogaty.

— Wielkie słowo! Winszuję! — trącił swój kufel  
o kufel Lorenza.

— *Prosit!*

— *Prosit!*

Wypił, oblizał się i rzekł:

— Bogatym zostać łatwiej, niż bogatym pozostać. Pamiętaj to sobie chłopcze. Koń ma cztery nogi a upada; człowiek ma dwie i łatwo może się potknąć. Ty zawsze do śmierci zbieraj i zbieraj... i myśl o czarnej godzinie.

Kapitan uśmiechnął się pod wąsem z tej pośredniej szermierki, wypił piwo z przyjemnością, podał pryncypałowi cygaro, hawański autentyk, sam zapalił drugie i przechylając na krześle, rzekł swobodnie:

— Czarna godzina dla mnie to na morzu dzień ciszy i bezczynności. Kocham moje bezbrzeżne oceany ale rad jestem zobaczyć czasem nasz stary Szczecin i odwiedzić „Rekina”.

— Wiem, wiem — zaśmiał się Matschke. — Kłasztorne życie okrętowe wynagradzasz sobie sowicie w Szczecinie. Chodzą wieści, że bumlujesz.

— Fałszywe wieści — odparł kapitan z uśmiechem. — Moje lądowe wakacje są ściśle podzielone. Wyładowanie okrętu, rachunki w pana biurach i zabawa z kolegami w knajpie. Mało gdzie bywam.

— A u Willmanów?

— Raz jeden w dzień konfirmacji panny Izy.

— I to wiem. Ho, ho, mam ja oko na ciebie. Przecież ciebie nie komu, tylko sobie wychował. Ile lat masz służby?

— Do emerytury daleko. Dwanaście zaledwie



— Patrz! Bruck się wynosi! Zły jak pieprz tu-recki. Dobrze mu tak! Zjadł mydło! A wtedy u Will-manów odmawiał mi ciebie, co? Prawda? Obiecywał złote góry! Myślisz, że dotrzymałby? Aha!

— Nie myślałem o tem, bom nie kawał drzewa, ani worek bawełny, żeby mnie kupowano.

— *Brav so!* Moje procenta mniejsze, ale pew-niejsze. Powiedzno, zebrałeś cokolwiek? Ile?

— Brakuje nieco do miljona — śmiał się kapitan.

— Serjo? Masz trzydzieści tysięcy?

— *Just* połowę. Co pan chce? To fundusz! Miał-bym więcej...

— Żebyś poszedł do Brucka?

— Nie. Żebym wykształcenie miał i naukę. Za-cząłem od szorowania pokładu „Margarety”. Daleka to droga do kapitaństwa.

— Inni pokład całe życie szorują. Ale ty masz głowę i ja cię wychowałem. Znam się na ludziach. Cóż tedy myślisz dalej robić?

— Dalej? Czy mi pan posadę wymawia?

— Także brednie! Pytam, bo chcę twe myśli posłyszeć.

— Dalej? Dalej? — powtórzył młody człowiek, jakby to pytanie raz pierwszy sobie zadawał. — Dalej będę pływał i pływał, dopóki starczy „Margarety”, sił i towarów dla pana...

— Cha, cha, cha! A na czymże będziesz pływał? Alboż nie wiesz, że stary Dokman obejmuje „Mar-garetę”?...

— Stary Dokman? A jaż co? — zawołał Lorenz, blednąc.

Zamajaczyły mu w głowie fałszywe doniesienia, plotki, niewiara, utrata opinii.

— Ty, moj chłopcze, nie popłyniesz już więcej, chyba dla własnej przyjemności.

— Czym panu źle służył?

— Jakiś ty dziecinny i niecierpliwy! No, pij i pamiętaj to sobie, że nasz cesarz zasłużonym swoim

daje ordery, a stary Matschke z zasłużonemi swoimi pije kufel „pod Rekinem”! *Prosit!*

Tręcili się kufłami, ale tylko kupiec toast spełnił, kapitan siedział pośpny i niespokojny.

— Oto co jest! — mówił stary dalej. — Czy ty wiesz, że cały Szczecin drwi ze mnie z powodu ciebie? Stary Matschke — powiadają — klepki z głowy potracił. Jego kasjer to łobuz, jego sekretarz to złodziej, a pierwszy komisant to osioł. Ma jednego człowieka z kapitalną głową i żelazną sprężystością, ale ten mu pieprz wozi i kawę, tego on na statku ryzykuje sto razy na śmierć i marnieć mu pozwala na pokładzie dla głupiego ładunku indyga, czy bawełny. I mają *recht!* Tylko, że stary Matschke nie zwarjował, on głowę ma na właściwem miejscu, on lubi, żeby projekt dojrzał, jak ananas. On człowieka próbuje nie rok, nie dwa, ale dziesięć. A jak wypróbuje, obrachuje, upewni się, wtedy stary Matschke tego człowieka zabierze z sobą na piwo i po drugim kuflu powie: słuchaj no, Lorenz, chcesz być moim kasjerem?

Kapitan ruchem desperackim potarł czuprynę.

— Panie Matschke...

— Czekaj, czekaj! Nie tylko kasjerem. I sekretarzem.

— Oceniam pańskie zaufanie, ale...

— Dajże mi skończyć. I współnikiem.

— Pan żartuje ze mnie — uśmiechnął się Lorenz z przymusem.

— I. zięciem — dokończył kupiec i popił piwem.

Kapitan podskoczył na krześle, otworzył usta i wnet je zamknął, nie wydawszy żadnego dźwięku. Wyglądał tak, jakby na pełnem morzu ukazał mu się legendowy wąż i przemówił ludzką mową. Gdy po minucie ochłonął, spojrzął na kupca ze zgrozą w oczach. Posądził go o nagły obłąd. Ale Matschke niczem nie zdradzał anormalnego stanu. Oparł się łokciami o stół i w półtriumfalnym, w półciekawionym wzrokiem przyglądał się towarzyszowi. Śniade

oblicze Lorenza poczerwiało łuną oburzenia. Poruszył się żywo i wstał.

— Teraz pan już nie żartuje ze mnie, ale drwi — wybuchnął. — I dlaczego? Nie warto upokarzać tego, kto nie jest zarozumiałym. Nie jestem też na tyle ograniczony, żebym żywił projekta w stosunku do mnie co najmniej śmieszne. Służyłem panu wiernie, bo mi pan wierzył, ufał i szanował. Straciłem teraz wszystko. Mogę odejść!

Sięgnął po czapkę i chłodnym ukłonem zegnał kupca, ale ten się porwał ze stołka i zatrzymał go za rękaw.

— *Gott im Himmel!* *Diese Hitze!* Ależ, chłopcze, osłabła ci głowa w ostatniej drodze? Po paru kufiach tracisz przytomność! Siadaj-no, siadaj! Pozwólże dokończyć! Cóż to? Gadaj prawdę! Nie podoba ci się moja Greta?

Lorenz spojrział z podełba, nieufnie.

— Panie Matschke. To pytanie nie wchodzi w zakres moich obowiązków, ani służby, ani stosunków — odparł siadając, bo go kupiec ciągnął z sił całych.

— Jak to nie należy? Co to nie należy? — za-perzył się stary. — To ty myślisz, że ja pozwolę, żeby ze mnie drwił Szczecin, a moje jedyne dziecko zostało bez opieki po mojej śmierci? Żeby mój fundusz dostał się w jakie niegodne ręce? Hej, nie należy! On mi to mówi! Także naiwny! Masz mnie za kretyna? Może ja nie wiem, po kim Greta oczy wyplakuje, patrząc na morze? O fernambuk jej tak chodzi, czy o starego Dokmana? Więc mój spokój nie wchodzi w zakres twoich obowiązków? Cóż to? Moja Greta chroma, czy garbata, że się tak bronisz przed uczciwą propozycją? Chcę go za zięcia, a ten mi się rzuca, jakbym mu kazał kraść, czy rozbijać!

Pofolgowawszy swemu uniesieniu, stary kupiec odsapnął, popił z kufia nektaru i spojrział za Lorenza, czekając odpowiedzi albo dalszego protestu, żeby znowu piorunować.

Ale odpowiedzi nie było. Oburzenie kapitana opadło. Roziskrzzone jego oczy przymknęły się i zgasły. Zaduma i smutek powlokły jego szczerą twarz. Zdało się, że walczył w sobie z jakimś ważnym a trudnym wyznaniem. Potem się zagnęła wyprostował i przesuwając rękę po zmarszczonem czole, spojrział śmiało w oczy kupca.

— Czy pan wie, kto ja taki, panie Matschke? — syptał.

— Zdaje się, że był czas na dobrą znajomość — zawołał stary dobrodusznie. — Dwanaście lat, ho, ho! Jesteś to samo co i ja. Niemiec, luteranin, mieszczański syn, chłopak biedny, ale cały zuch! Wybrałem cię sobie za zięcia i basta!

Lorenz wcale się nie zachmurzał. Tym samym głosem zmienionym i twardym ciągnął dalej:

— Niczem z tego, panie, nie jestem, co pan wymienił. Ani Niemiec, ani luteranin, ani syn mieszczański...

— O Herr Je! *Nicht etwa Franzose?*

— Nie, panie. Jestem tylko chłop prosty, i nie Niemiec, ale Litwin, katolik, z za Niemna. Zrodziła mnie uboga chata i wykarmił czarny chleb. Nazywam się: Wawrzyniec Karewis! Nie tailem swego pochodzenia, ale mnie o to nikt nie pytał. Przed dwunastu laty, bosi i obdarty, ładowałem w Memlu drzewo na „Margaretę”. Piętnaście lat wtedy miałem. Było nas w chacie dwanaścioro, więc na mnie los padł w świat iść za chlebem. Wprosiłem się na posługacza na pański statek. Miałem twarz uczciwą i świadectwo z gminy. Kapitan mnie przyjął, spytano, jak się zowie: powiedziałem Laurenty — zmieniono na Lorenz, i tak się zwałem odtąd zawsze — jako posługacz ostatni, jako majtek, jako sternik, jako kapitana pomocnik, jako sam kapitan wreszcie przez całe te lat dwanaście. Sam wreszcie zapomniałem. Teraz dzień taki przyszedł, że to moje niskie pochodzenie i różność naszą powiedzieć muszę. Zięciem pana nie będę, ale uczciwym sługą zostanę.

— No, dobrze, dobrze! Cóż więcej? Przeskrobałeś pewnie w swoim kraju? Zbiegłeś? Gadajże!

— Zbiegłem, panie, od biedy w chacie. Zagon nas dwanaściorga wykarmić nie mógł. Najśmielszy byłem i najsprawniejszy, więc pewnego dnia ojciec mi dał garść miedziaków, matka trochę szmat i chleba — i poszedłem w świat szukać szczęścia. Stary ksiądz nauczył mnie czytać i pisać, rachunków i trochę po niemiecku, resztę sam sobie zdobyłem.

Matschke czekał wciąż czegoś straszego, aż wreszcie zniecierpliwiony przerwał i rzekł:

— I to wszystko? I nic więcej? Oj oj? I po to tylko taki wstęp okropny? Myślałem, Bóg wie, o jakich występkach!

Lorenz nie słyszał. Zapatrzony przed siebie, mówił po chwili dalej, zbierając dawne wspomnienia, zatarte kilkunastoletnią przerwą.

— Z początku ciągle wybierałem się z powrotem, czasem mnie w nocy nuda chwytała za gardło, świdrowała w oczach i sercu; płakałem, jak dziecko. Karewiszki moja wieś się nazywa, bo nas tam wielu Karewisów siedzi. Nie było jednak z czem wracać, co przynieść do chaty. A potem mi rozum przyszedł. Pojąłem, że w moich rękach i głowie nietylko chleb leży, ale stanowisko, dostatek, szacunek ludzki. Tamta, ziemia rodzona, nędzę mi dała i ciemnotę, a cudza, przybrana, wiedzę i dobrobyt. Zostałem więc jej synem, ażem wreszcie zapomniał o tamtej...

Tego, czegom dzisiaj dostąpił, nie pożądałem zuchwale. Nie kradłem pańskiego zaufania, ani wprowadzony do domu pryncypała, ja, chłop, nie zamarzyłem o córce dobrodzieja. Służyłem panu, ale nie oszukiwałem w zaufaniu. Pan mnie wypróbować chciał teraz. Ale mi dosyć siniego morza i „Margarety” i droższe mi te skarby pana, które mi są powierzone do handlu, powierzone ufnie w uczciwość, niż te, którebym dostał z córką pańską. Godzi się jej bogaty kupiec za starem nazwiskiem, a nie obcy chłop innej wiary i niskiego rodu.

— Czyś skończył nareszcie? Chwała Bogu! Wszystko, coś opowiedział, niewarte kropli słonej wody. Chłop jesteś? I cóż to ma do rzeczy? Karewis równie dobry, jak Matschke. Katolik! I to do interesu nie należy. Niech cię Greta, jeśli zechce, nawraca. Pogodzicie się. A dzieci ochrzcie, jak wam się podoba. Religja u mnie, to fraszka. Grunt: uczciwość i dobra głowa. Potrafisz robić pieniądze. Greta cię kocha, tyś jej nie krzywy; mnie oboje w domu jesteście potrzebni. Płaciłem ci dosyć długo; teraz płacić przestanę. Ho, ho! Śmieje się Bruck, że nie mogę na domu swoim napisać: „Matschke i Syn”: przestanie się śmiać, jak zobaczy „Matschke i Zięć”. — Za lat dziesięć połkniemy i Brucka i jeszcze kilku innych. No, zaraz knajpę zamkną. Daj rękę na zgodę i wypijmy jeszcze po kufelku. Nim maj się skończy, sprawię wam wesele i dam urlopu parę tygodni na miodowy miesiąc. He, myślisz, że mało? Ha, darmo, w kupiectwie i dzień drogi. No! *Prosit!*

— Panie Matschke! — wyjąkał młody człowiek nieśmiało. — Tak się nie godzi. Panna Małgorzata będzie mną pogardzać. Posądzi o chciwość i podłość. Będzie myśleć, że ją poślubiam dla pieniędzy...

— Mój chłopcze! To jej dowiedz czego innego po ślubie! Ha, ha, ha! Śmieszni ci młodzi! Spytamy się jutro Grety, czy ci rada. Miała już dziesięć partyj od czasu konfirmacji, ale za każdą propozycją powiada mi: „Ojczy, kocham innego!” No, posłuchamy, czy jutro to samo powie. Dobry ma gust dziewczyna. No, pijmy, zięciu! *Prosit!*

Lorenz niepewną jeszcze ręką kufel trącił. Tyle szczęścia nie mieściło mu się w głowie. Ambicja jego, karmiona pochwałami i ogólnem uznaniem, nie sięgała jednak nigdy tak wysoko. Marzył może o córce jakiego kapitana, mniejszego urzędnika, nigdy o dziewczycie pryncypała. Panna Greta podobała mu się — teraz zdało mu się, że ją kocha śmiertelnie. Oszołomiony był, dumny. Jutro świat cały honorować go będzie, zazdrościć, chwalić, a panna Greta nie jeden,

ale sto mu da pocałunków. Mógł być pijanym, choć pił mało i oględnie.

— *Prosit!* — odpowiedział, spełniając kufel.

Matschke, czerwony i rozpromieniony, otworzył mu ramiona. Interes był skończony.

Ile potem pili jeszcze, już kupiec nie pamiętał. Lorenz zaniósł go prawie do domu i oddał w ręce strwożonej panny. Żegnając się już śmielej i sprawniej, ucałował jej kwitnące policzki i czerwone usta. Porozumieli się daleko prędzej i łatwiej, niż z ojcem, i Lorenz rozpromieniony, pyszny, trochę rozgorączkowany, zawrócił do portu.

Tak — interes był najzupełniej załatwiony.

Nad morzem ochłonął nieco i począł porządkować doznane uczucia i wrażenia. Wielki, pyzaty księżyc wypłynął z toni i fantastycznie oświetlił szkielety okrętów. Mgła objęła go bladą, brudnożółtą obręczą i tumanami wzbijała się w górę, niby dymy niewidzialnego pożaru.

Na „Margarecie” otworzono okienko. Wyjrzała przez nie głowa kapitana. Oburącz oparł się na desce i wpatrzony w księżyc nucił półgłosem sentymentalną, niemiecką balladę. Pierwsza strofa dźwięczała zajęciem i uczuciem, drugą śpiewał machinalnie, w połowie trzeciej urwał. Oczy jego przeszły z nieba na pomarszczone falami morze. Myśl ze swą szczególną szybkością snuła się, snuła, snuła, aż zabiegła w inne światy. Parę razy poruszyły się usta, jakby próbując dźwięków, i wreszcie wyszeptał zcicha:

— *Baltas Jura* (białe morze).

Fale podbijały jedna drugą, biegły, goniły, niosły garście morskich okruchy i coś gwarzyły do marynarza. Żegnały go zapewne, bo już jutro rozstanie się z nimi na zawsze. Nie będą mu te fale śpiewać i wyc, jak przez lat tyle. Opuści sine gościńce i dalekie widnokregi. Nie będzie już walczył i zdobywał, będzie zbierał pieniądze... Zdawało mu się jednak, że Bałtyk zmienił swą mowę w ten ostatni wieczór, że go nie żegna, jak dotąd, hucznie i szumnie:

— *Grüss Gott Kamerad!*

Ale szeptał przeciągle i smutno:

— *Su Diew jaunis — su Diew!* (Z Bogiem, młody — z Bogiem).

Zastanowił się. Nie Bałtyk to gadał — i nie teraz. W jakimś zakątku pamięci został ten wyraz — ostatni, jaki za nim pogonił od gromadki swoich, co go odprowadzili za wieś, na rozdroże ku Niemnowi, lat temu dwanaście. A przez te lata już nigdy tej mowy nie posłyszał. Po niemiecku mówił i myślał, po niemiecku śpiewał i klął, po niemiecku pacierz odmawiał i grzechy wyznawał na spowiedzi. Teraz nieruchomy, zgarbiony, z zagasłym cygarem, patrzył w jeden punkt przestrzeni. Zdało się, że usypia. On czuwał. I myśl jego w labirynt dziecinnych wspomnień zstępując, rozgrzebywała rumowiska pamiątek, dziwiła się wybladłym obrazom, echem jakichś pieśni, odnajdywała twarze, uśmiechy, dźwięki dawno przebrzmiałe. I wreszcie kapitan Lorenz zginął, a odnalazł się wyrostek bladawy, bosy, na kłaczce wilczatej, zaganiający długim biczyskiem wioskową stadninę. Głodny był i zmęczony. Za rzeczką widział ogień w ogrodzie Karewisów, pod lipą starą. U ognia tego czekano go na wieczerzę, na pacierze, wyglądała matka. A on o zmierzchu do chaty dążył, do swoich.

— Do swoich! — zaszemrało, jak echo, w kajucie.

Głowa kapitana opadła na ręce i dojmująca tęsknota objęła go całego.

Do swoich... Choć na godzinę, na chwilę marną! Do ojców! Tyle lat przeszło, aż zapomniał. Do swoich!

Wyprostował się. Co wart podziw jutrzejszy Szczecina, co wart jutrzejszy triumf? Tam daleko podziw dopiero będzie i duma! Tam, gdzie go widziano głupim i biednym, w kamizelce ojcowskiej na grzbiecie, pastuchem bosonogim, tam niech go teraz ujrzą, dorosłym i bogatym, w cienkiej odzieży, przy złotym zegarku, z pierścionkiem zaręczynowym najbogatszej szczecińskiej dziedziczki.

Zabiło mu serce gwałtownie.



Pojedzie! Widzieli go nędznym, zobaczą bogaczem — żegnali w biedzie, powitają w chwale! Dary im piękne zawiezie, ojców o błogosławieństwo poprosi, papiery swoje z parafji weźmie do ślubu z Gretą. Będą go na rękę nosić, rówieśnicy zazdrościć, a wieś cała opowiadać sobie będzie o nim długie lata. Po licu jego snuła się duma wyższości, jasne odblaski wewnętrznego zadowolenia. A pragnienie i pamięć, raz rozbudzone i wskrzeszone, stawały się namiętnością, potrzebą, gwałtem. Wirowało mu w głowie, latało ogniem w żrenicach. A Bałtyk jego rodzinny o ścianę kajuty uderzał i jakby zachęcał i na drogę tę szemrać:

— *Su Diew, jaunis, su Diew!*

## II

Siną, fantastycznie pociętą tasiemką płynie Kirszniawa, rzeczulka drobna i płytka, dążąc przez wzgórza i doliny, popod szaremi wsiami do Dubissy. Tam, gdzie za dworem w Palandrach zaginała się w szerokie półkole, oddzielała grunta pańskie od zagród i pół chłopów karewiskich. Wieś rozrzuciona była szeroko i beładnie na szerokiej przestrzeni. Od zagrody do zagrody zygzakiem biegły twarde ścieżki; rozdzielały je płoty i zagony warzywa, otulały puszyste sady. Nad rzeką gościniec się wił, poznaczony słupem z nazwiskiem gospodarzy, obrzeżony ciętymi kłębami wierzbami, strzeżony co kroków kilkaset przed płocizki oszklone, pełne pierwotnych rzeźb świętych. Ścieżyny twarde od chat biegły też do gościńca, inne wążykiem wślizgiwały się w pola wioskowe, inne szły przez kładki i wielkie głazy na rzece w stronę dworu. Mrówcze to były drożyny, pracą wydeptane.

Za wsią, od gościńca na lewo, zbiegało się ich mnóstwo, tworzyły już nie szczelinę w zieleni, ale szeroką drogę. Ta wiodła do kościółka z polnych kamieni, stojącego, jak na strażnicy wsi. Sióło wyglądało dostatnio i ludnie.

Z gościńca wzrok z przyjemnością obejmował zagrody te i sady, żywą wodę i czerwony dach kościoła, zajmował się dziwnymi krzyżami Żmujdzi, bardziej do monstrancji, niż do krzyżów podobnymi, a zatrzymywał się wreszcie ciekawie na starym sypianym kurhanie za wsią. Gedyminowych może bojów zabytku, który teraz gęsto porosły dzikie róże i tarniny.

W zagrodach tych lud mieszkał rośli i dorodny. Napozór wesół i swawolny nawet, krył w głębi dusz niepożyty hart, wielkie tajemnice, niezatarty stary obyczaj. Sprawni byli do rolnictwa i rzemiosł, skrzętni i pracowici. Hodowali lny i pszczoły, chodzili z dostawami łądem i wodą, wyrabiali barwne samodziały. Karewisów we wsi było dziesięć rodów, spokrewnionych i sąsiadujących o miedzę. Rozrodzili się nadmiernie i zubożeli wskutek tego. Młodzież ich na schwał piękna i wybujała, szła gęsto i często w rekruty, służywała po dworach, a jednak w chatach dziatwa się nie przebierała, dostatku nie przybywało, zagon się rozdrabniał.

Kołodziej Jan Karewis, dla rozróżnienia przewany Didelis (wielki), przodował między krewnikami ilością rodziny, biedą, pracą i nabożeństwem. Miał też za kogo i o co się modlić. Prosił o siły dla siebie do pracy, prosił za czworgiem dzieci i żoną Maruszką, którym dział wydzielono na cmentarzu za polem, prosił za trzema zameżnemi córkami, za dwoma synami, co się pożenili i gospodarzyli wspólnie, wzdychał do Boga za Florkiem, co go wzięli na mierze, daleko, aż do wołogodskiej gubernji, i za najmłodszym Marcinkiem, co stado pańskie pasał za Kirszniawą. I prosił jeszcze za jednym dzieckiem, o którym już nawet nie wspominało rodzeństwo w chatcie, tak dawno w świat poszedł i przepadł bez wieści. Czasem też prosił kołodziej o wiele, wiele pieniędzy. Marzyło mu się, jakby wtedy synów rozdzielił i obudował, ziemi dokupił, krów i koni się dochował, Marcinka do szkół oddał — może by na księdza wyszedł, a Florkowi posłał zapomogę na chleb biały i buty

wygodne, a tymczasem w domostwie Didelisów siekiera jego pracowita stukała od świtu do nocy, a kark jego od pracy i lat garbił się coraz więcej, a z piersi zmęczonej coraz częściej stękanie się dobywało lub ciche westchnienie.

Było to lato — sama kośba. Pod napół już spróchniała, stuletnią lipą, osłaniającą dom Didelisów, stary Jan ciosał suchą dębinę na koła. Z chaty dorosli, kobiety i wyrostki poszli do siana. Od łąk rozbrzmiewały chóralne śpiewy i wesołe okrzyki, we wsi natomiast panowała wielka cisza. Zdała tylko, od jednej z uboższych zagród, dolatywał monotonny stuk tkackiego warsztatu, a w sąsiedztwie w sadzie wiśniowym ktoś gwizdał z cicha. Wiedział Jan stary, że warsztat stukał u Jodasów pod pracowitą dłońią Rozalki sieroty, że gwizdał żołnierz kaleka, krewniak jego, dozorujący pasieki. A on, nasłuchując pieśni dalekiej, przypomniał sobie młode lata, gdy w śpiewach prym trzymał, a w zabawie przodował. Teraz zostawiono go z kalekami we wsi i oddano pod dozór troje wnucząt najmłodszych. Jedno spało w kołysce, zawieszona na niskiej gałęzi lipy, dwoje siedziało na progu chaty, bawiąc się z łaciastym kotem. Słońce schylało się na zachód. Niebawem już dotknie wierzchu Piłkalisu (kurhanu) i skwar swój purpurą złagodzi. Niebawem też wieś się zaludni i spoczną pracowite ręce.

Daleko na gościńcu kołatał dzwonek pocztowy. Kołodziej, nie podnosząc oczu, westchnął. Od Ejragoły szła poczta, wiozła pisma różne, listy i papiery do gminy. Pisma nie dla niego były i listów nie miewał, chyba żołnierski, żaloszny i krótki od Florka, któremu tam na kraju ziemi śniła się Kirszniawa i rodzinna chata. Ale papierów urzędowych bał się chłop, bo tam bywały pozwy do sądu, rozkłady podatków, rozkazy różne ciężkie. Dzwonek się zbliżał, skręcił z gościńca między zagrody, rozbrzmiewał donośnie mię-

dzy ścianami i sadkami. Nie do gminy to była droga, ani do gospody, ani do plebanji. Gdzież więc?

Kołodziej ręce opuścił i zasłaniając ręką oczy od słońca, patrzył w tę stronę. Bryczka ukazała się właśnie zza pasieki sąsiada, zbliżyła się do jego chaty i stanęła. Ktoś z niej wysiadł. Pan jakiś młody brodaty, w jasnym, ładnym paltocie i miejskim filcowym kapeluszu. Przez ramię miał torbę skórzaną, w ręku laskę o złotej gałce, na rękach rękawiczki jasne. Kołodziej podszedł parę kroków. Ten obcy może zbłądził. Zapytać go o co zechce? Oto żywo otwiera furtkę i wchodzi na dziedziniec. Stanęli naprzeciw siebie i sekundę patrzali w oczy. Wpadłe źrenice chłopca rozszerzyły się zmieszanem uczuciem trwogi, niepewności i uszczęśliwienia. A wtem przybysz kapelusz i laskę o ziemię cisnął i porywając go za szyję, zdławionym głosem wyjąkał:

— *Tewe!* (ojcze).

Kołodziej ramiona roztworzył. Zdało mu się, że umarł i umarłych wita.

— *Wawer, Wawer!* Synku mój! Synku!

I tak w objęciu zapłakali obadwa. Aż nagle młody się odchylił i spojrzał na drzwi chaty.

— Ojczy, gdzie matka? — zagadnął.

— Umarła.

— A ksiądz stary?

— Umarł.

— A siostry?

— Za mężem.

— A mój bliźniak, Łukasz?

— Umarł.

Umilkł młody i po chwili, bojąc się pytać o każdego z osobna, rzekł:

— To któż się ostał z moich, com ich żegnał?

— Ośmioro żyje z tobą, com cię za umarłego miał. Nie ma u Boga odmowy, kiedy mnie wysłuchał i ciebie do domu odprowadził! Z dalekaś ty?

— Z daleka. Amerykę widziałem wiele razy

i wszystkie morza świata znam. W Prusach, ojciec, kapitanem byłem dotąd.

— A toż chyba swoich nie spotykałeś, żeś i mowy mało co zapamiętał. Szczęścił ci Bóg — widzę! A czemuś wieści nie przysłał tyle lat?

— Wolałem z wieścią sam przyjechać. Szczęścił mi Bóg, bom i ręce wyrobił i głowę. Na szerokim świecie ciężko się dobijać i niejedyn tam zginął, gdzie ja dał sobie radę. Takie tam burze, co gwałtem życia ludzkiego chcą; takie prace, co biorą i dnie i noce, takie choroby, co najtęższego walą jak dziecko. A świat tam pełen mądrych ludzi i bogatych kupców. A ot, nie wzięły mnie burze i choroby, nie zabiła praca, mądrzy ludzie mnie szanowali i obracałem milionami bogatych kupców. Takim ja się stał!

Lice jego opromieniła duma i pewność siebie.

Stary ojciec zdziwione, rozjaśnione oczy wlepił weń i słuchał, jak baśni, jak dziwów. Jegoż to Wawer był, w tejsze to chacie starej taki jasny pan się urodził i wychował?

— A przecie trafiłeś do domu! — rzekł.

— Trafiłem. Toć mi nie nowina podróżować. Trafiłem do Ameryki i do Indyj, choć tam gościńców nie ma ani kolei. Jakem sobie postanowił was odwiedzić, takem do Kowna przyjechał, a stamtąd poczta mnie wiozła. Kraju nie pamiętam, ale gdym nasz Piłkalnis zoczył, to mi się wszystko wydało jak żywe, i jużem nie zmylił drogi do chaty.

— Tylkoś mowy prawie zapomniał.

— Nie dziw! Toć to taka tylko chłopska mowa. Śmiali się, gdym po swojemu bełkotał. Prędko się nauczyłem po niemiecku, a i po angielsku umiem. Wiadomo, że kapitan musi języki posiadać; bo mu trzeba i z ambasadorami gadać i z wysokimi urzędnikami obcować.

— A z kimże ty po swojemu rozmawiał?

— Ta z nikim! Raz w Ameryce zdarzyło się swego spotkać. Przyszedł na okręt i gazet pakę mi

dał, żebym do Hamburga dostawił. Ot, taki warjat. Nie chciałem.

— Czemu?

— Ot, albow to ja socjalista, czy chłystek? Będę bibułę przewoził? To nie honor u nas w kupiectwie.

— Toś ty kupiec?

— A cóż? Ojciec myśli, z próżnemi rękami przyszedłem do was w odwiedziny?

Stary Jan już na syna nie patrzył, ale w ziemię.

— Ja tylko ciebie czekałem i tylko ciebie przyjmuję — odparł spokojnie, ale bez radości.

W tejże chwili niemowlę w kołysce kwilić zaczęło, więc dziad wstał i jak umiał, zaczął je uspokajać.

— Czyje to? — zagadnął Wawer.

— Andrzejowe. — Wawrzyńcem nazwali na twoją pamiątkę.

— To Andrzej żonaty?

— Żonaty i Piotr. To Piotrowe tych dwoje większych.

— To u was znowu w chacie pełno i jednaka bieda?

— A cóż! Tak Bóg dał.

— Bo nam wszystkim w świat iść trzeba.

— Któż tu ostanie?

— A choćby nikt! Czego żałować? Albo tu los czy dostatek? Ot — gnicie.

Spojrzał po podwórzu i gumnie, po omszonym dachu chaty.

— Czego żałować? — powtórzył. — Mieszkacie, jak na świecie i bydło nie mieszka. Mordujecie się dla kawałka chleba, zarabiacie kopiejki, chodzicie boso. Albo to życie? Ot, na świecie domy, jak szklanki; jak trud — to daje zbytek; jak zarobek — to tysiące! Ot, byle głowa dobra i ręce zdrowe! Tam warto pracować.

— A tu warto umierać — rzekł stary uroczyście. — U nas teraz książki różne piszą, po swojemu, dla chaty. Tam pisze, jakie to wojny i niedole nasi przed wiekami odbyli, a przecież nie odeszli z ziemi,

nie wyzbyli się wiary, mowy i obyczaju. Jakoż my teraz możemy to wszystko rzucić? Czy to się godzi?

— Godzi się wszystko, co uczciwe, by sobie los poprawić!

— Toby nas tak ksiądz uczył, a on nie uczy.

— Boć to nie księża rzecz.

— Kiedy nie księża — to i nie Boga. Człowiek każdy — Boży żołnierz. Postawił go gdzie Bóg, to on tam stać powinien.

Młody mimowoli lekceważąco się uśmiechnął. Nic już więcej nie rzekł. Zrozumiał, że jego kosmopolitycznych wyobrażeń chłop ciemny nie pojmie i nie oceni.

— A kogóż wziął Andrzej? — spytał po chwili milczenia, zaglądając do kołyski.

— Jodasową Marynkę, sierotę po cieśli Jakubie.

— A Piotr?

— Szlugurisa Onutę.

— A nasza Barbara i Marta gdzie poszły?

— Do Butkisa i do Szwedasa.

— A czemuż to chata pusta?

— Ot, przy sianie wszyscy. Ucieszą się z ciebie, ucieszą. Już nawet się nie spodziewali ciebie kiedykolwiek zobaczyć. Tylko ja czekał!

— Przywiozłem wszystkim podarków z za morza.

— A ot, i wracają, zdaje się — rzekł stary, nasłuchując.

Od łąk, zrazu na jeden głos, potem chórem, podniosła się pieśń donośna i płynąca ku wsi. Obadwa wstali. Waver szyję wyciągnął i łowił słowa jeszcze dalekie i niewyraźne.

— Poznajesz? — spytał ojciec.

— Nie.

— Toż kosiarzy śpiew: „*Vali Dalgiale!*”

— Zapomnałem. Śpiewali my inne, a po teatrach tom się rozmaitości nasłuchał.

Stary chmurno spojrział na syna. Twarz jego, zawsze posępna, stała się twardą i zawziętą.

— To przypomnij. Naszej pieśni po teatrach nie rozwożą.

Śpiew się zbliżał, dochodził z za Piłkalisu, obijając się o rzekę i dalekie bory. Teraz już wyraźniej doleciały słowa do Wawra, który cygaro zapalił, ręce w kieszenie włożył i słuchał z miną pobłażliwej wyższości:

Hulajże, koso, hulaj!  
Do kwiatów się przytulaj!  
Trawa sianem nie będzie,  
Nim nie muśniesz jej w pędzie.  
Żwawo, zwijaj się, ramię,  
Cięcie kosy nie złamie,  
Hulajże, koso, hulaj!  
Do kwiatów się przytulaj!

I nagle zbudziła się jego pamięć i zelektryzowany chórem swoich, uśmiechnął się i zwracając do ojca wesoło, rzekł:

— A ot, pamiętam i zaśpiewać razem potrafię. Wyjdźmy na ich spotkanie na drogę. Czy oni mnie poznają?

Wyszli. Zdala na drodze widać było gromadkę z grabiami na ramieniu. Mężczyźni mieli jasne samodiały, kobiety barwne spódnice i gorsety. Dziewczęta miały rutę w warkoczach, a mężatki malinowe czepeczki, jak kwiaty.

Idący na przodzie mężczyzna, rosły i ogorzały, trzymał prym w chórze.

— To Szluguris Jonas — rzekł stary. — W ich rodzie zawsze prym trzymają. Piotrów szwagier, pomaga nam dzisiaj; pustak i paliwoda okrutny.

A Szluguris czapkę na ucho przesunął, otarł kraciatą „nosówką” pot z czoła i zaintonował drugą zwrotkę:

Kto nie wyszedł wśród rosy  
I nie skąpał w niej kosy,  
Temu suchą wiatr trawę  
Sprzątnie, jak przez zabawę.  
Hulajże, koso, hulaj,  
Do kwiatów się przytulaj!



Już o krok byli od eleganckiego pana i urwali śpiew, patrząc ciekawie to na starego, to na tego cudzego w miastowej odzieży.

— Gość nam przybył — rzekł stary Karewis. — Nie poznajecie go?

Andrzej i Piotr podnieśli uznojone ciemne twarze. Obcy przystąpił do nich i za szyję objął całując.

— A toć Wawer chyba? — spytali nieśmiało

— A on — zaśmiał się stary przez łzy.

— Wawer, taki pan! Wawer! Wawer! — rozległy się zmieszane, radosne okrzyki.

Gromadka się zgmatwała, otoczyła wokoło kapitana. Tak go wiedli wśród siebie, ściskając, wołając, pytając.

— Skrzypki sprowadzę do chaty i bal urządzimy! — krzyknął Szluguris, grabiami wywijając młynka.

— Jeść mu trzeba! — troskały się bratowe, rade biec naprzód do chaty i nie chcąc go opuścić.

— Po Marcinka na łąki dworskie skoczę — mówił Piotr.

— Jeść dajcie i Marcinka sprowadzić trzeba — rozstrzygnął stary. — Ale do skrzypiec, to wara! Jeszcze on w kościele nie był, ani na mogiłach nie klęczał. Potem uciecha!

Więc Szluguris, nie wiedząc, jak okazać radość, wysforował się naprzód i swym potężnym głosem zaśpiewał:

Mergate mano,  
Tekek už maną,  
Sejta ne żusiu,  
Varga ne busiu!

Dziewczyno moja,  
Weź mnie za męża,  
Biedy nie doznasz,  
Smutną nie będziesz!

A przechodzili właśnie obok zagrody Bakutisa i w ogródku mignęła hoża twarz dziewczoi. Szluguris gwizdnął przeciągle i przesłał jej ręką całusa. Kobiety się oburzyły, stary się zachmurzył, a Wawer ze śmiechem swawolnego chłopca po ramieniu go poklepał.

Dotarli do swojej zagrody, która zawrzała ruchem i weselem, aż się dziwiły stare ściany chaty, aż się bociany na stodole spłoszyły i pierzchły wróble ze strzechy. A po uczcie obfitej, na którą wydobyto co najprzedniejsze specjały z komory i świronka, na stole ukazały się tłumoki Wawra, a z nich poczęły płynąć i przechodzić z rąk do rąk rodziny upominki drogie: jedwabne chustki i korale, srebrem nabijane fajki, noże o zagranicznych rękojeściach, jaskrawe szale i cienkie suknie.

Obdarowani cieszyli się, pokazywali wzajem prezenty, gwar rósł, śmiechy i wesołość wzbierały, jak morze. A wśród tej gorączki i ruchu, stary Karewis sam jeden milczał, siedząc w kącie ławy za stołem i pykając z fajeczki tytuń, patrzył bystro, badawczo w twarz tego pięknego pana, co mowę kaleczył, o nic nie pytał, a tylko swe dzieje i triumfy opowiadał z widoczną dumą.

Z pod brwi namarszczonych patrzył i milczał.

### III

Noc była. Nad Kirszniawą wstał srebrny księżyc i ubielił ziemię cichą, umajoną latem.

Spokój uroczysty zaległ okolicę. Nie było w powietrzu wiatru, tylko słabe, ciepłe tchnienie roznosiło z pól i łąk zapachy siana i zbóż, a od rzeczki rzeźwiący podmuch i ćwierkanie błotnego ptactwa. Wieś spała.

Okolo północy drzwi u Didelisów odemknęły się lekko. Na podwórze wyszedł Wawer. Sen go nie brał na stosach pierzyn w alkierzu, gdzie mu bratowe usłały, według ich mniemania, królewskie łoże. Wyślizgnął się cichaczem, minął izbę duszną, pełną ciężkich oddechów i chrapania całej rodziny, minął sien i wy dostał się wreszcie na powietrze rzeźwiące i balsamiczne. Oparł się o wrótką zagrody i paląc cygaro, rozmyślał, zapatrzony przed siebie.

Kirszniawa płynęła opodal, a księżyc stał za nią, rzucając przez migotliwą toń srebrną ruchomą dro-

żyne. Ognisko świeciło za rzeczką, czerwone, osnute dymem i rozlegały się tony skrzypiec nieumiejętne i często fałszywe. Dworskie łąki tam się już słały i Marcinek przy koniach pańskich ogień palił, muzyką sen sobie z powiek spędzał.

Wawer uśmiechnął się. I on znał te łąki i takie noclegi na zroszonej trawie i dnie na skwarze. Jego to przeszłość była, jegoby dolą została, żeby precz stąd nie poszedł. Śmiał się teraz z tego, śmiał szyderczo. Śmieszył go ten ciasny horyzont pracy i pojęć, te mrówcze zabiegi, drobiazgowy troski, zacofanie, to całe życie, zamknięte między półkiem, rzeczką, dworem, kościołem i miasteczkiem o mil parę. Potem go nuda ogarnęła. Nuda za miastem, za towarzystwem, za zabawą. Hulałby teraz w Szczecinie, a wieczorem Gretę całował, na zawiść i zazdrość całej rzeszy młodzieży. Tutaj nie rozumieją nawet w całej doniosłości, jaki on wielki los wygrał na loterii życia, nie potrafią mu nawet zazdrościć. Co on tu robić będzie przez ten tydzień, który sobie na pobyt zamierzył, jak wytrzyma zaduch w chacie i z kim będzie rozmawiać?...

I czego oni tutaj siedzą, do tej piędzi roli niewdzięcznej przykuci? Zagranicą, daleko, całe obszary niećby mogli i dostatek. Czemu nie idą?

Do chaty wracać nie miał ochoty, noc była tak jasna i ciepła. Ciągnęło go na przechadzkę. Otworzył furtę i wyszedł.

Wzdłuż płotów drożyny biegły od zagrody do zagrody. Szedł i rozpoznawał każdą: bogacza Szlugurisa i krawca Józefa, dalej Szwedasa obejście i gumno Rafała, zwanego Brodaczem. Tak dotarł do gościńca, nikogo nie spotkawszy. Spali kamiennym snem wszyscy i tylko psy stróżowały, ujadły zajadle. U zawrotu na trakt przystanął.

Drogi się tu rozdzielały: do dworu przez most prosto, na Pilkalnis w lewo, w prawo na cmentarz i do kościoła. Figura święta, pod daszkiem, między czterema słupami, strzegła rozstaju. Święty Sebastjan to był, strzałami pokłuty, nagi, skrępowany u drzewa

kaźni. Rzeźbiarz-samouk zrobił mu twarz wykrzywioną i groźną, a malarz nie żałował czerwonej farby na krew męczennika. Umalował nią całe ciało, powrozy i lica zbolale. Był to starodawny patron Karwizsek. Wawer pamiętał go z dawnych lat, ale teraz ktoś figurę i kapliczkę świeżo odrestaurował i odnowił, a pobożni okryli wiązkami ziół polnych i jaszkrawych kwiatów z chłopskich ogródków. I Wawer uchylił kapelusza. Ręka jego dawnym obyczajem dotknęła ciała i piersi.

W tejże chwili na moście od dworu rozległy się ludzkie kroki, a na plac pod figurą, jakby od księżyca, wyszedł chłop olbrzymiego wzrostu. Nie spostrzegł kapitana, stojącego nieco na uboczu, ale ten ujrzał wyraźnie jego twarz, gdy, zdjęwszy czapkę, mimo przechodził. Twarz to była ostra, chuda, o wydatnych policzkach, otoczona kruczym włosem, na którym znać było niedawne jeszcze żołnierskie postrzyżyny. Wawer poznał tego człowieka. W szkółce kolegowali niegdyś i pasali razem trzodę.

Był to Krystof Jodas, brat Andrzejowej Maryjki. Śnać wziął rzemiosło ojca i od pracy wracał, bo cieszelski topór miał za pasem, przez ramię torbę z mniejszymi narzędziami.

Kapitan posunął się żywo naprzód. Chłop na widok obcego stanął i spojrzął z podełba zdziwiony.

— Nie poznajesz mnie, Krystof?

— Nie!

— A Didelisów Wawra nie pamiętasz?

— To ty? Anibyśmy poznał! Skądże? Myślałem, że jaki Niemiec, rządca, do Szwedasa Magdalenki się podkrada.

— To się u was widzi?

— Ojoj! A ty skąd?

— Zdaleka, ze świata.

— A dawno?

— Dzisiaj wieczór. A ty skąd wracasz?

— Z roboty, ze dworu w Palandrach. Tydzień, jakem poszedł.

— Na gospodarce nie siedzisz?

— Niby to gospodarka! Jest na czym siedzieć, chyba psu albo kotowi — odparł chłop gorzko, ramiona wznosząc i ręką przed siebie wskazując.

— Ot tam, pod samą górą pół wiorsty mam płotu, a za płotem rośnie trzy kopy zboża i stoi chata, co chyba jeszcze polskie panowanie pamięta. Tyle mojej gospodarki...

Ponury był i ciągle zamyślony. Jakaś troska i zniechęcenie wyzierało mu z twarzy i ruchów. Przywitał ledwie dawnego towarzysza i prawie nań nie patrzył.

— Toście zbiednieli? — badał Wawer.

— A jużci! Inni się zbogacili. Ojciec zmarł, jakem w żołdatkach był pierwszy rok. Niby to wasz Andrzej miał się ziemią opiekować i Maryjką. Ale Andrzej to takie ciasto. Ten się worał, tamten uchwycił, a on nic. Mnie sześć lat trzymali w Kijowie, w artylerji, a Rozalka w Kownie służyła u profesora jakiegoś. Płoty popalili, chata się rozwalila, chudoba pomarniała. Zeszłej jesieni wróciłem, Bóg wie, poco? Terazby trzeba było siedm lat po sądach się włóczyć, żeby odzyskać, a może i nic nie wskórać. Plunałem na wszystko i chciałem znowu do pułku wracać, na drugą służbę. Płacić mi mieli. Ale właśnie dziewczyna wróciła ze służby i nasiadła na mnie. A nie jedź, a zostań, a gdzie ja się podzieję! I zostałem, w złą godzinę!

— Choć jeden malkontent — pomyślał Wawer.

Krystof nieruchomo patrzył przed siebie, a potem spytał obojętnie:

— A tobie dobrze się wiodło?

— Dobrze. Tam, kto chce, dolę znajdzie.

— Pewnie! Bywają tacy, co się im wiedzie.

— Każdemu, byle szukać i starać się umiał.

W Ameryce za to, co twój topór wart, dostaniesz ziemi więcej, niż całe Karewiszki.

— Naprawdę? Gadają tak, ale ksiądz z ambony odradza i we dworach o nędzy za oceanem prawią.

— Bo żeby wszyscy poszli, ksiądzby nie miał komu kazać, a dwórby robotnika stracił.

— A no pewnie — chłop zamysłony potwierdził.

— Ot i na mnie patrz. Głupi i nagi chodziłem, a teraz i rozum mam i dostatki. Tak każdy tam może, byle się postarał.

— A teraz wracasz do chaty?

— Uchowaj Boże! W odwiedziny przyszedłem. Tam mnie interesa czekają wielkie i żenić się będę z bogatego kupca jedynaczką.

— A tęsknota cię nie żarła?

— Z początku tom się trapił, ale potem... Ktoby tam złe pamiętał.

— Mnie bo nuda dniem i nocą ścigała tam w pułku. Ni miejsca, ni wczasu znaleźć nie mogłem. O, głupia dumka, głupia pamięć.

Ręką machnął, torbę na plecach poprawił i wyciągnął dłoń do towarzysza.

— Bywaj zdrów! Jutro przy kościele się zobaczym. Na długoś przyjechał?

— Na tydzień. Jest tu jaka gospoda, żeby się zabawić i pogadać?

— Jest. Ot tam przy gościńcu. Siedzi tam Butkis, soldat, co ludziom prośby pisze i do procesów namawia. Wieczorem tańczy, kto ma ochotę. Ja nie, ale pogadać i owszem.

— To do zobaczenia!

— Do widzenia!

Rozeszli się. Cieśla ciężko i powoli ku chacie, Wawer, zcicha gwizdząc, ku kościołowi i cmentarzowi. Ostatnie zagrody wyminął i dróżką wąską pod górę wchodził. Przed laty codzien zimą biegł tędy rankiem na naukę do księdza, więc znał każdy kamyk i wybój. Zdziwił się więc, ujrawszy przy drodze tej chałupkę samotną, której dawniej tam nie pamiętał. Wznosiła swe cztery niskie ściany wśród pustego wygonu, nie miała ogródka i płotu, sterczała samotna, jak sierota, między wsią a plebanją.

Wewnątrz świeciło się jeszcze, a na ławeczce pod ścianą czerniały kształty siedzącego człowieka. Dostrzegł zdaleka wędrowca i przypatrywał mu się uważnie. Miał twarz bladą i cierpieniem strasznie wyniszczoną; otaczały ją długie, jasne, jak len, włosy. Wyglądał zajęty i jakby niespokojny, wciąż oczy w obcego wlepiając badawczo.

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się wreszcie zcicha.

— Na wieki! — odparł Wawer, o krok się zbliżając, wahający, niepewny, ale z duszą pełną przeczuć raczej, niż pamięci.

— Kogo szukacie? — spytał właściciel chałupki.

— Rufin — szepnął Wawer nieśmiało.

— Ja sam. Czyście z Ławeliszek do mnie przysłani?

Wawer nie odpowiedział. Stał blisko i wtedy dopiero spostrzegł, że siedzący miał wklęsłe piersi i garb, nogi szpetnie pokrzywione i bezwładne, a obok leżały kule kaleki.

— Rufin! Co się z tobą stało? — zawołał, grozą zdjęty.

— To ty, Wawer? Słyszałem od Szlugurisa, żeś wrócił. Witaj na starej ziemi znowu!

Podał mu dłoń i boleśnie się uśmiechnął.

— Nie poznałem ciebie i pytałem, czy z Ławeliszek. Miał stamtąd od proboszcza do mnie być posłaniec. Ot, zmieniłeś się bardzo. Takiś piękny!

— A z tobą, Rufin, co?

— Ze mną stało się nieszczęście. W Wilnie u kamieniarza uczyłem się rzeźby i rżnięcia. Taki wróciłem... Jak dąb, byłem chłop, a trzeciej wiosny na wozie ze szpitala prosto przyjechałem. Ojciec, organista, umarł tymczasem, ale ksiądz stary żył, więc mnie przyjął i zapłakał. Ja to i płakać już nie mogłem i nikt mnie nie poznał. I nie dziw!...

— Jakże to się stało?

— Z przypadku. Fura kamieniarska przygniotła. Nogi były pogruchotane i żebra i obojczyk. Sam nie

wiem, co dalej było, i sam nie wiem, jak jeszcze żyję!

— Jakże ty sobie radzisz, ty biedny??... — spytał Wawer, wielkim żalem zdjęty.

— Bóg radzi i dobrzy ludzie. Ojciec trochę grosza zostawił. Na chałupkę tę starczyło. Ręce zdrowe zostały, więc jałem rznąć świętych figury i krzyże nasze wycinać misternie i malować. Teraz znajdują daleko „diwoirbisa”<sup>1)</sup> z Karewiszek i z odległych stron schodzą się do mnie ludzie, to po ofiarę do kapliczki, to po nagrobek drewniany, to po krzyż od choroby. Robotę Bóg dał i duszę uciszył. Zrazu nijako szło. Dusza chora była, więc i ręce słuchać nie chciały, a com człowieka całego zobaczył, to mnie żał, jak robak, kąsał. Ale wiosna przeszła jedna i druga, pozdrowiałem od swego wiatru i słońca, a ksiądz póty goił duszę, aż się zablizniła i ścichła. A testamentem zapisał mi „Żywoty Świętych” i książkę o rzeźbie, ten stary proboszcz, coś go znał. Takem się został, po ojciec sierota i po marzeniach o sławie sierota i po ludzkich pragnieniach i doli sierota i po nim sierota. Ale już teraz zdrów na duszy. Byle na ziemi swojej co dobrego zdziałać i kości w nią położyć i byle ludziom swoim służyć. I kaleka i zdrów to potrafi. I już wielki teraz spokój we mnie wstąpił.

— Nikt ci swój nie został?

— Nikt. I ty się swoich nie dorachowałeś, bracie, towarzyszu stary. Jakże ci było na obczyźnie? Mówią, żeś bogaty i pan. Chwała Bogu!

— Zebrałem dziesięć tysięcy dla ojca. Za tydzień znowu pojedę.

— Znowu? Nie zostaniesz między swymi?

Wawer się roześmiał dziwnie.

— Ja? Tutaj? A cobym robił? Za pługiem, czy z kosą? Mało ich w chacie? Że też ty pytasz?

— Nie chciałem cię obrazić, Wawer. Daj ci, Boże, dobrą dolę.

---

1) Diwoirbis, dosłownie bogorób, rzeźbiarz kościelny.



— Jużem ja zdobył tę dolę. Ale niech się kto tak namozoli, jak ja!

Wyciągnął przed siebie ręce twarde i ciemne i pokazał je rzeźbiarzowi.

— Takie ręce i bracia moi mają i ledwie chleb wypracują, a na starość deski na trumnę. A ja pan! Ale to cienkie odzienie i złoty zegarek i te tysiące i piękna narzeczona, co mnie czeka w Szczecinie, temim ja rękami zdobywał, ani gładkiem słowem, ani pokłonami. Szedł ja do nich na kolanach, z objuczonym karkiem, bity nierządkiem i popychany wszędzie, gdzie najciężej było i najtrudniej. Dlatego to, com zdobył, drogie mi i nieocenione. Jakżebym ja rzucić mógł ten mój ciężko wywalczony dostatek i stanowisko? Prawda, Rufin?

Kaleka głowę skłonił.

— Daj ci, Boże, dobrą dolę, Wawer — powtórzył i o nic już więcej nie pytał.

Zadumał się chwilę, w łagodne światło księżyca wpatrzony.

— Rad jestem, żeś wrócił cały i szczęśliwy — ozwał się znowu. — Ziemia, jak matka, najdorodniejszych w świat wyprawia. Wracają przecie, bo ona głos ma, co na świata krańcach syna odszuka i zwoła. Taki, co nie słyszy, pamięci Bożej niewart.

Zdawało się, że pod koniec nie do Wawra już mówił, ale do siebie, że głośno wyrażał myśli, co mu po głowie się snuły przez długie godziny samotności. Potem poruszył się, z nieba na ziemię wzrok przeniósł i daleko na drogę i Piłkalnis spoglądał.

— Już nie przyjdą — szepnął.

— Chodzić możesz? — spytał go Wawer.

— Pełzam, jak robak. Niedaleka moja droga. Do kościoła i mogił.

— To cię tu zawsze zastać można? Przyjdę na gawędkę.

— Przyjdź, bracie! Opowiesz mi o szczęściu, jak w zimowy wieczór babki dzieciom o zaklętych skarbach bają.

Atletyczny mężczyzna pochylił się do niego i uści-  
snął serdecznie, do głębi wzruszony i smutny. Potem  
odszedł, a kaleka od księżyca ku jaśniejącemu na  
wschodzie niebu twarz obrócił i złamanym, rozbitym  
głosem zcicha pieśń nabożną zaśpiewał, pieśń tak  
starą, jak chrzest Żmudzi. Słyszał ją oddalający się  
przybysz.

Jak sen, piękne i fantastyczne były o tej porze  
jego ojczyste pola, a on nagle spoważniał i łowiąc  
uchem dźwięki, doznał znowu widzenia ze swej nędznej  
przeszłości i widział się dzieckiem wśród obcych, gdy  
w norze swej na okręcie, by tęsknotę przemóc, sam so-  
bie tę pieśń śpiewał, cichutko, by go nie wyśmiano...

#### IV

U Butkisa, w oberży zapowiadał się świetny wie-  
czór. Popołudniu zeszli się gospodarze starsi, ten i ów  
z żoną, i gromadkami zaczęli się zbierać młodzi i dziew-  
częta. Zjawił się nawet Krystof ponury i dziki z sio-  
strą Rozalką, którą wnet obstąpiły kobiety, jako że  
tkaczka była na całą wieś sławna i każdy u niej ro-  
botę jaką miał lub chciał oddać. Przyszedł Szwedas  
młody z Wawrową siostrą, swą żoną, i ze swoją sio-  
strą, Magdalenką, sławną z pustoty i zalotności. Przy-  
szli od Szlugurisów wszyscy i od Didelisów i Brodacz,  
Rafała syn, i Gedrajtys muzykant i krawiec Józef  
z siostrami. Starzy w izbie obsiedli stoły i częstując  
się wzajem, Jana Didelisa rozpytywali o syna. Butkis  
czapkował mu teraz, kobiety oglądały jedwabne  
chustki Maryjki i Anny i z podziwu nie miały. Na  
przyzbie Piotr i Andrzej opowiadali o bracie cuda  
gromadzie sąsiadów, a dziewczęta, obsiadłszy bujną  
trawę, raz wraz ku wsi zerkały. Gedrajtys skrzypce  
stroił, a wyrostek z bębenkiem w instrument swój ude-  
rzył. Nikt jednak tańca nie zaczynał.

Nie było bo Szlugurisa, a bez niego nie było za-  
bawy; Szluguris z Wawrem u Rufina bawił. Czekano

ich obu niecierpliwie. Stary Jan na drogę oknem wzywał, aż wreszcie na Andrzeja skinął i kazał po brata iść.

W kącie szynkowni, między starymi, Krystof Jodas siedział, do nikogo się nie odzywając. Małemi łykami swój *alus* (piwo) popijał i rękami głowę podpartszy, ukośnie w okno na dziewczęta spoglądał. Widział swą Rozalkę, jak on, czarną i jak on ponurą, Miała wielkie warkocze, w koronę na głowie upięte, a na sobie samodiał wzorzysty i gorsecik. Ręce na piersi skrzyżowała i słuchała obojętnie żywej opowieści Maryjki. I widział też Krystof na płocie siedzącą dziewczynę, jak topola, smukłą, jasnowłosą, niebieskooką, z rozpuszczonemi warkoczami, co jej kolan sięgały, najpiękniej ubraną, najprzystojniejszą, najweselszą. Śmiała się do chłopców, co ją rojem otoczyli, ją, bogatego Szwedasa córkę jedyną. Jodas patrzył, aż od zbytńskiego natężenia mrużyły się jego oczy, od węgli czarniejsze, błyskające z jam głębokich, pod zaciętem, niskiem czołem. Tymczasem na dróźnie od kościoła ukazali się oczekiwani.

Wawer szedł przodem, za nim Szluguris i Andrzej.

Gedrajtys w skrzypce uderzył smyczkiem, dziewczęta się porwały i skupiły, jak owce, w gromadę. Młodzi poskoczyli na powitanie, przez okna starzy wytykali głowy, a mężatki zachwycaly się głośno. Tylko Rozalka została na miejscu i Magdalenka, nie opuszczając płotu, zawołała:

— Drugi Brodacz do nas idzie. Będzie czem u Di-delisów komin wytrzeć!

— Czemuż u was ten Niemiec ze dworu, co do ciebie się zaleca, nie wyciera sadzy, a twoją twarz! — zaśmiał się Józef Brodacz złośliwie.

— Gedrajtys, rznij! — huknął już zdala Szluguris.

Ozwały się skrzypki, zawarczał bębenek. Starzy poczęli przytupywać, a staruszki w dłonie klaskać.

— Suktinis! — zakomenderował Szluguris wśród śmiechów.

Stary to był taniec i zarzucony. Dziewczęta zapraszane wzdragały się, tłumacząc, że nie umieją, więc Jodas do sieni wbiegł i wyprowadził wśród ogólnej uciechy starą babkę Gedrajtysa i z nią bal rozpoczął. Rzucili się chłopcy za tym przykładem po staruszki inne i wnet taniec żwawo się rozpoczął, parami, rodzaj polki skakanej, od której tempa osuwały się babkom czepece, podlatywały siwe włosy.

— Czyra, czyra, czyra! — przyśpiewywano w takt.

Wawer tłum rozbawiony minął, do izby szynkowej wszedł, przywitał gospodarzy. Krystofowi dłoń uściśnął i Butkisowi kazał beczkę piwa od razu wytoczyć, żeby wszyscy pili za jego zdrowie i pieniądze.

Powstał gwar i radość wielka. Zaczęto go ścisnąć i winszować, posadzono między najprzedniejszymi, a podczas gdy złoty trunek jak woda się toczył, on opowiadał różne awantury, opisywał cudze kraje. I tańcom kazał *alus* łać i muzyce i staruszkom zhasanym, a sam rozparty, z cygarem w zębach, protekcyjnie do wszystkich się uśmiechał.

Szluguris hulał, dokazywał, wymyślał śmieszne piosnki, już ze dwadzieścia par hasało na murawie, już się rozruszał nawet krawiec Żurgis, znany z powolności, a ni Krystof, ni Wawer nie poruszyli się z miejsca. Krystof nawet pozycji nie zmienił, wciąż ukosem na płot spoglądając, gdzie już dawno nie było Magdalenki. Szluguris ją dawno porwał, widocznie wyróżniał, a ona rada przodować z zuchem, śmiała się białymi zębami do jego rozognionych swawolą i tańcem oczu, ocierała prawie swój policzek o jego twarz zziąjaną, spoconą, tryskającą zdrowiem i życiem. Czasem ich Krystof widział, ale się nie ruszał, ani wyrazu twarzy nie skrzywił.

Nagle Wawer ku niemu się przechylił.

— Czyja to dziewczotka, ta ciemna drobna? Ot, tańczy ze Szwedasem.

— Moja — odparł lakonicznie.

— Jakto twoja? Narzeczona?

— Rozalka, Andrzejowej waszej i moja siostra.

— Ładna dziewczyna, a zgrabna, jak toczona!  
Jak lalka tańczy! A ta, co ją Szluguris tak do siebie przyciska?

— Szwedasów jedynaczka — burknął Krystof.

— Bestja djabelnie zalotna! Szelmstwo jej z oczu patrzy. — A Szwedasa jej ojca, niema?

— Jego nigdy niema — odparł Jodas ze złośliwym, złym uśmiechem.

— A gdzież on bywa?

— O toby trzeba Rufina spytać, albo proboszcza..

— Czemu?

— Albo ja wiem? Między nimi jakieś konszachty są sekretne. Szwedas stary parę koni ma i niby to z furmanką się panom i żydom najmuje. Czasem się zjawia w nocy, z Rufinem coś poszepcą, do proboszcza chyłkiem pójdzie i o świcie znowu przepadł.

— Ot, wielka sztuka wyśledzić!

— Niewielka ale ja nie chcę — rzekł Krystof ponuro. — Do czasu... — dodał po namyśle.

Do izby rozbawiony, schrypnięty wpadł Szluguris. Spojrzał na nich i Jodasa za czuprynę chwycił.

— Ty, czarny *meczka* (niedźwiedziu), coś z gospodarzami zasiadł, jakbyś wójtem był, dalej do tańca! I na ciebie, Wawer, dziewczęta czekają: chodź hulać!

Krystof coś zamruczał, łyskając złowieszczo oczami, kapitan ramiona wzniosł.

— Ja ta odwykł na trawie, jak cielę, hasać i waszych tańców zapomniał.

— Uhu, a Gedrajtys nie umie polki i kadryla! Chodź, pokaż się!

Pociągnął go za ramię do sieni. Tam Maryjka, rozbawiona i śmiejąca, zaczęła go pierwsza:

— Szwagierku, szwagierku, do tańca mnie proś, a ja ci pokażę na księżycu coś!

Roześmiał się, hożą bratową w pół objął i ani się spostrzegł, jak hasał z drugimi po zdeptanej murawie w takt niesfornych skrzypek Gedrajtysa.

— A co ty mi na księżycu pokażesz? — pytał, obracając ją, jak frygę.

— A cóż? Dziewczynę! Nie wieszże ty, że tam taka śliczna siedzi zaklęta?

— Za bardzo wysoko!

— To w Piłkalisie pod ziemią, w pałacu druga siedzi i czeka.

— Za bardzo nisko!

— Takiś wybredny! Jest i trzecia, ot, Magda lenka!

— Bardzo jej ze Szlugurisem dobrze.

Kobieta się śmiała, śmiała. Malinowy jej czepeczek nieco się przechylił i widać było krucze włosy. Podobna była ze śmiałości do rodzeństwa, ale żywa, wesółła i jak iskra, prędką. U Didelisów wiodła rej w chacie.

— Uf, już nie mogę! — zawołała wreszcie, wysuwając mu się z rąk i zmykając do sieni, gdzie jej mały Wawrzyniec darł się w niebogłosy.

Wawer do dziewcząt przystąpił, skłonił się przed Rozalką. Nikt ich nie zapoznawał, ale to nie przeszkadzało zatańczyć. Dziewczyna, pomimo tańca zawsze blada i poważna, skinęła głową i podała mu rękę. Istotnie toczoną miała kibić, a głowę niosła dumnie, jak królowa. Wręcz przeciwnie do Magdalenki, miała we wsi opinię niesłychanie skromnej i nieprzystępnej.

— Składnie tańczysz — pochwalił ją Wawer, mimowoli na wzór Szlugurisa blisko do siebie tuląc. — Znać, żeś w mieście była.

— Nie tańcowałam w mieście, ale służyłam — odparła.

— Oho, albo to prawda! Albo to w Rydze, albo Kownie na tancsalach nie bywałaś? Nie może być!

— A może być, bo i nazwy nie znam.

— Osobliwość. A takaś ładna. Pewnie się twój pan w tobie kochał...

Dziewczyna szarpnęła się mocno, wyrwała mu się i rzuciwszy go w środku tańczących, wróciła na swe poprzednie miejsce, pod płótem. Zgłupiał narazie, popatrzał za nią, potem splunął, krawcównę zaprosił i dalej tańczył. Ta była łaskawsza. Na żarty jego

śmiała się wesoło, na spojrzenia wyzywające rumieniła i spuszczała oczy. Ale on zły był, choć miną nadrabiał. Potem Magdalenkę wziął i już dokazywać zaczął, prawiąc jej zuchwałe żarty, z ziemi podnosił, kręcił szalenie, hulał jak w portowych norach. Młodzi patrzeli i naśladowali potrosze, dziewczęta broniły się i piszczały, starzy się śmiali, niby nawołując do porządku, tylko stary Jan złowieszczo na syna spoglądał.

Wtem Gedrajtys, zmęczony, smyczek opuścił. Stanęli wszyscy, ale rozbawieni, spocząć nie chcieli. Szluguris w dłonie zaklaskał. Chłopcy poskoczyli do niego. Stanęli wkoło Jonasa, a on odchrząknął, rękę prawą do góry wznosił, opuścił ją i huknął z całych płuc pieśń weselną. Młodzież zawtórowała chórem zgodnym, potężnym, który, aż hen, hen, do borów szedł i do gór. Wawer tymczasem na Butkisa skinął, pieniądze mu w dłoń rzucił.

— Drugą beczkę piwa i słodkiej wódki dla dziewcząt — zakomenderował.

Zaczął się obfity traktament. Pito i śmiano się. Gwar rósł, a że gorąco było w izbie, więc wyniesiono ławy i stoły na powietrze, i starzy, podochoceni, zapomnieli nieprzystojnej swawoli. Tylko Jan stary nie pił i nie bawił się, a Krystof, z miejsca wyparty, przy węgle na przyzbie usiadł, fajkę zapalił i spluwał pod nogi. Rozalka zbliżyła się do niego:

— Pójdźmy do chaty, Krystof — szepnęła.

— Czego? — szyderczo odparł. — Masz może dziecięć krów do dojenia, a ja źrebca do karmienia? A prawda, jest dobytek! Twoje kocisko białe! Jest czeladź, jaskółki nad drzewami! Idź, karm i dopatruj.

— Tobie jeszcze nocą na robotę iść trzeba.

— Nie zapomnę! A choćbym zapomniał, głodny brzuch przypomni.

Dziewczyna zasepiła się jeszcze mocniej i wróciła do rówieśnic. A wtem Gedrajtys zaczął skrzypce stroić, i Szluguris krzyknął:

— *Wanagielis* (jastrząbek).

Wyniesiono stołek na środek placu i posadzono na nim Magdalenkę. Mężczyźni wzięli się za ręce wkoło niej i posuwali w takt muzyki, a Szluguris zaśpiewał:

Tupi, tupi wanagielis kwieczos  
(Siedzi, siedzi jastrząbek w pszenicy)

— Kwieczos! — powtórzył chór.  
Obeszli razy parę i znów Jonas się ozwał:

— O kas tawi wanagielis buczos?  
(A któż ciebie, jastrząbku, pocałuje?)

— Buczos! — powtórzył chór.  
Rozległy się szepty i śmiechy.  
— Jonele buczos! (Janek pocałuje) — zaśpiewał Wawer.

Szluguris z wielkiej radości koziołka wywrócił, dziewczynę porwał i ognistego całusa na policzku jej złożywszy, przetańczył i na ławie ją posadził. Teraz on na stołku usiadł i od dziewczyny uwolnienia czekał. Ale dziewczęta złośliwe były. Wybrały ospowatą jego sąciadkę od Brodaczów. I tak pokolei zmieniał się jastrząbek. Śmiano się, dowcipkowano, dziewczęta broniły się od całusów, starzy bawili się, z boku patrząc. Wreszcie i Wawer znalazł się w kole i na swój los czekał. A Szluguris swawolny na cały głos zaśpiewał:

-- Mergiele Rozele buczos, buczos!  
(Panna Różia pocałuje).

Rozalkę towarzyszki do koła wepchnęły, chłopcy klaskali w dłonie. Wawer się porwał, dziewczynę w pół ogarnął ramieniem, pocałować chciał, ale odwróciła się tylko i ramienia ustami dotknął.

— Coś tak nierada całować? — śmiał się, tańcząc.

— Bom niezwykła z obcymi się zadawać, co mnie głupstwem częstują.

— O, albow to głupstwo powiedział?

— Głupstwo i obrazę!



— Takaś harda!

— A taka! Więc mnie nie zaczepiajcie!

— Czemu? Albow to hardych nie miał?

— Mnie ta mieć nie będziecie, więc zasię!

— Ani myślę, właśnie was spodobał.

Przestał jej mówić ty, ale patrzył wyzywająco i zuchwale. Drażniła go ta chłopka. Posadził ja na ławie obok Maryjki, kazał podać piwa i częstował kobiety, przysiadłszy się do nich. Dziewczyna pić nie chciała, odwrócona od niego, przyglądała się tańcom.

— Nieoswojona twoja siostra — zaśmiał się do bratowej.

— Ktoby się z Krystofem oswoił? Patrząc ciągle na niego, to i ona taka się stała.

— Tęskno jej snąć za miastem?

— A pewnie: tam kawalerów miała i dostatek, a tutaj biedę, a do biednej nikt się zalecać nie kwapi.

— Miała kawalerów?

— Ojoj, ilu! Jeden to aż tutaj z Kowna przyjeżdżał. Jak on się zwał, Rozalko?

— Co mam go pamiętać — odparła niechętnie. Maryjka poufnie przechyliła się do szwagra.

— Zapamiętała ona — szepnęła — Przed laty z Rufinem sobie ślubowali. Mieli się pobrać. Jak on taki wrócił, łzami się zalewała i dotąd się nie pocieszyła.

— To dopiero pamiętna!

— A tak. Jak sobie co w głowę włoży, to i klinem nie wybić. Oni tacy oboje z Krystofem. Wiesz, kogo sobie ten upatrzył? — Ot, tę latawicę Magdalenkę.

— A cóż! Ładna dziewczka!

— Wielka historia! Ale co ona umie? Ni prząć, ni tkać, na robotę w pole nie chodzi. Bąki zbija i do chłopców zęby szczyrzy i oczy przewraca. Chwała Bogu, że mu jej Szwedas nie da, bo na Szlugurisa rachuje. Bogaty i jedynak.

Rozgadała się wesoło kobiecina. Po kwadransie wtajmniczony był Wawer w plotki i sekreta całej wsi. A młodzież hasała tymczasem, Rozalkę wnet ktoś

do tańca wziął, a starzy powoli się rozchodzili. Zmierzchało już, więc ten lub ów do chaty na wieczerzę się wymykał, kobiety do zajęć wieczornych. Najzawziętsi tańczyli jeszcze i pili. Wstał wreszcie i Wawer i z rozbawioną gromadą się zmieszał.

Drogą pod oberżą przeciągało bydło z pastwisk, a pastuszki bose lub w drewnianych pantoflach przystawali gapiąc się i pokrzykując. Od dworu na hasło zabawy nadbiegli parobcy i folwarczne dziewczki.

Ktoś zmienił Gedrajtysa i rznął jeszcze fałszywiej, o bębenek bili się wyrostki. Nawet na żadnym weselu nie pamiętano takiej uciechy. Ściemniało zupełnie, ale natomiast wysunął się księżyc i przyświecał darmo, przepysznie. W srebrnym jego oświetleniu wiorowały rozgrzane twarze, rozplecione w ruchu warokcze, białe samodziały mężczyzn, wzorzyste kobiet, a tak było cicho w powietrzu, że aż we dworze słychać było tupanie, śmiechy, zabawne śpiewki Jonasa, krzyki dziewcząt na natarczywe chłopców zaczepki. Nikt nie pomyślał, że za godzin kilka już świt do ciężkiej pracy na skwarze całodziennym zawoła. Dopiero około północy dziewczęta rozchodząc się zaczęły, nawołując się i jedna drugą napędzając.

Chłopaki runęli za niemi bandą całą. Każdy miał kogoś przeprowadzić, pożegnać u furtki zagrody. Ruszyli więc wszyscy, rozbici na gromadki, pary. Tylko Krystof szedł sam na końcu. Szluguris zwołał swą śpiewaczą komendę i na rozstanie, już rozsypani po drodze, zaśpiewali ostatni chór kuszący:

Pójdź do mnie, dziewczyno,  
Pójdź ze mną, malino,  
Na słówka samotne,  
Na dumki ochotne,  
Gdzie krynica najcichsza,  
Gdzie miłość najżywsza!...

A potem gromadki te po ścieżkach zaczęły się rozdzielać i maleć. Skrywały je płoty, krzaki, tarniny, lipy, otulające pojedyncze zagrody, wiśniowe gąszcze.

Przez jakiś czas słyhać jeszcze było stłumione szepty, szmery, skrzyp furtek i drzwi, ujadanie pokurczów, złych jak szatany. Potem, jakby nic nie było, wielka cisza zaległa; tylko psy do księżyca wznosząc pyski, były rozdrażnione.

Wawer nad ranem ledwie wrócił do chaty. Już w kuchni ruch się budził, bo bratowe warzyły śniadanie dla robotników, a stary Jan nad ogniem rozgrzewał i giał świeżą dębinę. Maryjka na widok szwagra ręce załamała.

— Dopiero teraz wracasz! — krzyknęła. — Kiedyż ty się wyśpisz?

— Albo to dnia mało? — odparł ziewając.

— Jakże ty przy słońku spać zdołasz — dziwiła się ona, która w swem pracowitem życiu ni jednego świtu nie zasnęła.

— Na świecie różnie bywa — rzekł niedbale. — Chłop pod miarę śpi i robi, ale u nas czasem bywa i ze cztery niedospianych nocy. Wiadomo, na szerokim świecie. Zdarzało się na morzu z burzą trzy doby się borykać, a potem, do portu się dobiwszy, nikt o spoczynku nie pomyślał. Szło się hulać na zabój, żeby sobie okrętowe nudy wynagrodzić. Ja ta nie zwykłem, jak wół, regularnie pracować i odpoczywać. Na starość wyśpię się dosyta, a jak się ożenię, domu będę pilnował. Niewiele mi zostało swobody już.

— Doprawdy? Żenić się myślisz? — ciekawie badała Maryjka, a bardziej nieśmiała Piotrowa tylko oczy w szwagra wlepiła i czekała odpowiedzi.

— Za miesiąc — odparł Wawer, brodę gładząc.

— Aa... Z kimże?

— Ot, ojca się spytaj — odparł wyzywająco i dumnie.

Włożył ręce w kieszenie i gwizdząc przez zęby do komnaty wszedł. Jan Didelis jakby nie słyisał. Dębinę przypiekał, giał, zaciskał, by w pewnej formie zaschła. Na zapytania kobiet chmurne czoło wznosił i odrzucając zeń siwe kosmyki włosów, odparł krótko:

— Na weselu tem ni was nie będzie, ni mnie.

Potem robotę swą na ramiona wziął i na podwórze z nią wyszedł, jakby od ciekawości kobiecej uwolnić się chciał co najprędzej. Nie widać po nim było ni dumy z syna ni radości z jego powrotu. Twarz jego obsiadła powaga smutna zamyślenia, czasem błyski tajnego rozdrażnienia. Jeszcze mniej się odzywał, niż zwykle.

## V

Proboszcz karewiski ukończył właśnie codzienną cichą mszę, na której z powodu roboczego czasu mało było nabożnych, i zdejmował w zakrystji swe mszalne szaty, gdy w progu stanął Jan Didelis.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił zcicha.

— Na wieki! A co tam gospodarzu?

— Ja trochę za interesem i za radą do księdza plebana.

— A dobrze, dobrze. Chodźmy tedy na probostwo. Ale i nowinę mi niesiecie wesołą. Słyszę, wasz syn wrócił z zagranicy?

Stary oczy wbił w ziemię i westchnął, idąc za księdzem drożyną na plebanję.

— Nie wrócił mi syn, ale przyjechał — odparł.

— Czy to nie jedno? — uśmiechnął się ksiądz.

— A nie, bo kto wraca, to na zawsze, a kto przyjeżdża, to w odwiedziny.

— Nie zostanie wasz syn?

— Nie... Dlatego ja po radę i ratunek przyszedł, bo moja głowa stara i ciężka. Znosiła ona różne troski i Boże dopuści, ale ten ostatni śnać najcięższy, bo go sam nie zniosę, ani rady znajdę na taką wielką biedę. Niema już we mnie mocy...

Ksiądz się zaniepokoił. Znał swych parafjan i wiele skarg słyszał, ale Jana nigdy. Nielada była troska, co rozwiązała usta zaciętego chłopca. W milczeniu już weszli do plebanji. Sami się znaleźli w bielonej, ubogiej izdebce, pełnej kwiatów i ogrodniczych

narzędzi. Ksiądz usiadł i kołodzieja obok siebie posadził.

— Gadajże teraz, Janie, wszystko z serca!... Jak na spowiedzi wysłucham i, jeśli mogę, poradzę...

Stary chłopskim obyczajem zaczął rzecz zdaleka:

— Dwanaścioro dzieci Bóg mi dał. Nie narzekał ja na nich, chował, doglądał i jak mógł, karmił. Pięcioro ich z domu poszło przez biedę wielką, bo choć pracowałem, ile mocy, chleba brakło. Bóg widzi... nie mogłem dać rady. Czworo ziemia wzięła, piątego cudzy świat i teraz sam nie wiem, po kim gorzej płakać, po tych zmarłych, czy po tym, co onegdajszej soboty przyszedł z obczyzny. Nie trzeba go było wyprawiać, ale czy mi we śnie powstało, że go takim zobaczę? Wyrostek był sprawny, posłuszny a do wszelkiej roboty nad podziw dowcipny. Każdy go chwalił, i ksiądz i sąsiad i pan we dworze, a ja słabość miałem do niego. I w tem był grzech. Jak się jął napierać iść w świat, nie sprzeciwiałem się zbytnio. Żal było puszczać i żal też trzymać na marne w ciasnej chacie. Zdałem go tedy na wolę Bożą i wyprowadziłem do flisaków. I poszedł biedaczysko, trochę płacząc po chacie, ale śmiało i ufnie i jako kamyk, w wodę rzucony, przepadł nam z oczu a ludziom z pamięci. Nie było wieści, nie było. Mówili swoi: nie wróci, snąć zmarniał; nie pacholęciu takiemu rozbijać się między Niemce. A mnie od tych gawęd duch ustawał, bo i racja była. Co na świecie wielkim taki chłopczyna? — Mucha! Tylko nieboszczka moja do ostatniej godziny wspominała go i modliła się gorąco i ofiarę zrobiła a przed konaniem powtarzała mi z pewnością: „Zobaczę ja niebawem tych czworo u niebieskiego progu, ale Wawra nie zobaczę, bo on żyw i przyjdzie do ciebie, Janie. A jak przyjdzie, to go dobrze ugośćcie i pozdrówcie ode mnie, ale go nie puszczaćcie od siebie raz drugi!” Taką jej Bóg przed śmiercią jasność udzielił, że prawdę przepowiedziała. Przyjechał, proszę księdza proboszcza, już nieblady, niechudy, nieobdarty. Pańskie, czarne szatki, są na nim i złote

pierścienie, a sam jak dąb rozrosły, piękny, zdrowy, z początku odpatrzeć się nie mógł i nacieszyć. Ale krótka była uciecha. Zaraz mnie żal zdał, jak naszą mowę kaleczył, jak on pieśni i obyczajów zapomniał, jak na matczyną mogiłę pójść nie pomyślał, tylko wciąż o swej chwale i cudzym świecie rozpowiadał. I tak moja radość przeszła w troskę, we wstyd, w udręczenie. Oto pięć dni minęło, złych dni. Ni jednej on nocy w domu nie przespał, ni razu z braćmi na zagon nie poszedł, ni jednej mszy przystojnie nie wysłuchał. Wieczorem pijatykę i tańce u Butkisa sprawa, chłopców nieobyczajności zamorskiej uczy. dziewczętom brzydkie żarty prawi, ze starych się natrzęsa. Na pracę naszą patrzy jakby z drwinami i wieś buntuje Ameryką, a wszystko mu niedobre, niesmaczne, nudne. Całe dni w chacie przesypia, a zresztą wałęsa się z kąta w kąt, cygara z zębów, a rak z kieszeni nie wyjmując. Ale to nienajgorsza jeszcze troska. Zaraz pierwszego dnia rankiem słyszę, a on dziecku Andrzeja szwabską piosnkę śpiewa. Więc zaraz mnie to obeszło, i powiadam: przestań! Posłuchał, ale bokiem na mnie zerknął i brzydko się uśmiechnął, a mnie aż zadławiło w gardle. Wziąłem go ze sobą do kościoła i przemógłszy się, po dobroci mówię: „Cóż ty teraz myślisz robić, synku? Czy do roli, czy do rzemiosła się weźmiesz, a może służby w pobliżu poszukasz?”

A on, jak na warjata, patrzy i wówi: „Ja, ojczyźnie i służbę mam i rzemiosło. Mnie już nic nie potrzeba. Za urlopem — na tydzień uwolnił mnie pan Matschke, a potem wracać muszę”. Więc ja do niego: „Jakże to. Wawer, toć to dom twój, ojcowizna i ziemia! Część zagona masz i należy ci tutaj zostać i pracować. Dość cudzego chleba i kątów!” A on ramionami wznosił i powiada: „Zagon ja braciom odstępuję, niech się na nim mordują, kiedy im miło. Ja zostać nie chcę i chłopem już być nie potrafię”. Księżę dobrodzieju, dopiero zrozumiał, że to nie mój chłopak wrócił, ale szwab plugawy w nim siedzi, aż mi się serce od niego od-

wróciło i nie patrząc, pytam przez zęby: „To pociąg przyjeżdżał? Było nie mamy darmo!” A takie to chłopczysko znarowione, że już nawet mego bólu nie pojął w tem słowie i ze śmiechem odpowiada: „Z próżnemi rękami ja nie szedł. Przyniosłem wam dostatek i odpoczynek na starość. Ino bierzcie!” I wyjmując z zanadru gruby zwitek, bez liku pieniędzy i tka mi wszystko w ręce. Ale rozżalony był strasznie, więc otrząsałem się, nie tknąłem i mówię: „Mnie pieniędzy nie trzeba, ale syna! Ty za to gruntu kup, albo wydierzaw, budowlę postaw i osiadź. Wtedy przy tobie do śmierci posiedzę w spokoju. A Niemce sobie z głowy wybij, bo to grzech! Zostań, synku!”

Tu się chłopu głos złamał, jakby przez łzy szedł.

— Takem go prosił, dobrodzieju, a on tylko się zaśmiał i powiada: „Bo to ojciec całej prawdy nie wie. Zostać się nie mogę, bo tam w Szczecinie narzeczona mnie czeka, za parę miesięcy wesele. A myśli ojciec, że z chłopką jaką? Oho! Z jedynaczką mego pana — z panną Gretą Matschke. Tegom się uczciwą pracą dosłużył...”

— O Jezu!... Jakem to usłyszał, tom skamieniał i ze wstydu i z żalu i z desperacji i ze złości...

— Z Niemkinią? — pytam, a cały się trzęsę.

— A jużci — odpowiada spokojnie.

— Z luterką?

— A jużci. Ale tam u nas na religję nikt nie patrzy. Jednaka rzecz, gdzie i jak się pomodlisz, byleś złego nie czynił.

— U nas — to znaczy: między Niemce; rozumie ksiądz dobrodziej? Tak już mówi mój rodzony, mój Wawer, w świętej wierze chowany, w chacie mojej wyrosły. O Jezu, o Jezu! To tego się uczą na wielkim świecie, to taki on przyniósł zarobek!

Chłop wstał, podrażniony, zbolały, pełen dzikiej wściekłości i płynęły mu słowa, jak potok. Czapkę rzucił pod nogi i oburącz wicherzył wiosy, gorzej przez te dni osiwiiałe.

— To po to ja go chował i pieścił, po to się za nim modlił przez te lata?... Przysłali wreszcie Niemce mego syna na pokaz, że z niego duszę uczciwą wyjęli, a włożyli szachrajstwo albo i zgoła nic, bo czyż on ma duszę? Gorzej bydlaka, co ryczy do swej obórki, od psa, co o dziesięć mil trafi na swe podwórko. Co on jest, taki człowiek? Pieniądze mi daje, zbój, żebym swą duszę zaprzedał, chwali się, że Niemkinię uwiódł, z tego mu wielki honor i duma, a o błogosławieństwo prosi — mnie, swego ojca, gospodarza z Karewiszek. On zapomniał, co to znaczy Karewis, ja jemu teraz przypomnę.

Tu ręka księdza spoczęła na ramieniu chłopca i poważny głos mu przerwał:

— Janie Karewis, jeśliście rzekli to wszystko w gniewie synowi swemu, jak mnie mówicie, to straciliście na zawsze dziecko.

Kołodziej oprzytomniał, spuścił rozognione źrenice i chciał coś odpowiedzieć, ale ksiądz dalej mówił:

— Nie znam ja syna waszego, ale z tego, że się dosłużył tyła, miarkuję, że rozumny i tęgi, a z tego, że przyszedł po dwunastu latach do chaty, miarkuję, że dobry i serdeczny i choć znarowiony i zmieniony, zdrowe ziarno w głębi zachował. Jakoż wy możecie rozumnego i dobrego, jak bydlę fukać? Nie jego wina, że się odmienił, będąc sam, sierota, wśród obcych. Bo uważajcie: snąc mu ten Niemiec serce i wiarę okazał, przygarnął i sierotę dobrocią za duszę wziął. A wy, ojciec, gorzej od tego Niemca dlań byliście, i nie dziw, że was opuści teraz. Zapomnieliście, że i on Karewis: zatnie się i już całkiem obcy dla was się stanie i traktowany jak dziecko albo bydlę, oburzy się i na przekór upierać się będzie przy swoim. Nie macie mocy go zatrzymać, tylko tę jedną i tę straciliście. Złość źle radzi, Janie, i źle czyni!

Chłop milczał bardzo zawstydzony.

— Teraz on całkiem nie wasz, ale Niemce mu swoi, bo dobrzy. Nieprawdaż, woli swej nie zmienić?



— Nie. Pojutrze już odjeżdżać chce — rzekł stary zgnębionym głosem. — Już się do mnie nie odzywa z serca i chaty nie pilnuje. Raz mi tylko wspomniał, żebym mu u księdza świadectwo na ślub wziął, a gdym odmówił, głowę odrzucił i odszedł. Może sam przyjdzie po to. Nijak go zatrzymać nie sposób, bo i gmina władzy nie ma. Za szwabskim paszportem niecnota przyjechał. Do drogi się zbiera i o Niemkini swojej rozpowiada mnie na złość, a tymczasem dziewczęta bałamuci. Więc ja do księdza proboszcza po ratunek przyszedł, a no widzę, że żadnego niema. Tak on naprawdę z duszą zatracony?

— Nie mówcie tak, Janie, ino się postarajcie złość naprawić. Idźcie do niego i dobrem słowem proście, żeby został jeszcze trochę, jeszcze trochę. A tymczasem może Bóg sam radę znajdzie, opamiętanie mu ześle. A pamiętajcie, że w waszej mocy leży, by on tamtą cudzą rodzinę zapomniał, a swoją w sercu odnalazł.

Chłop oczy w księdza wlepił i słuchał, jak ewangelji, a ten go cierpliwie nauczał, tłumaczył, perswadował.

Gdy z plebanji kołodziej wychodził, inny był. wyprostowany, śmiały, z nadzieją w oczach. Zstępował ku wsi i rozglądał się z miłością po zagrodach i polach, jakby tej ziemi mówił, jakim sposobem jeden z jej synów mógł chcieć ją porzucić... A tuż i winowajca mu się na oczy nawinął; siedział na ławce pod chatą Rufina i rozmawiał z rzeźbiarzem, który w izdebce rznął figurkę świętego do kapliczki. Stary do syna się uśmiechnął, kalekę przyjaźnie pozdrowił i obok Wawra spoczął.

— I ja do ciebie, Rufinie, za obstalunkiem przyszedł — zagaił rozmowę. — Ot, chłopak mi, jak z grobu, wrócił, należy się za to Bogu ofiara. Umyśliłem kapliczkę przy krynicy postawić. Zróbcie ozdobną, a w niej świętego Jana, ziemi naszej patrona, i świętego Wawrzyńca postawcie. Dobrze?

— A jakże! Zrobię jak najpiękniej. Na święty Jan gotowa będzie — odparł Rufin uradowany.

— A już ja zapłacę — wtrącił Wawer. — Bo i ode mnie Bogu się wiele należy.

— Uczciwie rzekłeś, chłopcze. Kapliczkę przy krynicy postawimy, hen naprzeciw Piłkalisu na zawrocie. Kawał tam gruntu dworskiego leży osobno. Ładna ziemia, ino dworowi nieprzyległa i Niemce ją targują.

— To niech sobie ją ojciec kupi! — zawołał Wawer. — A ile tam tego?

— Ornego gruntu pół włóki i łąki szmat duży nad Kirszniawą. Cobym ja za pan był, żebym tyle ziemi miał, ale mnie się patrzy inna, ot za kościołem, na szczerym piasku cztery łokcie. Już mnie nie zaczynać żyć, ale kończyć.

— Ot, baje ojciec! Jak się zawezmę, do dziedzica skoczę i Niemców uprzedzę. Znaczy to mi co, taki drobiazg? A jak kupię i ojcu dam, trza wziąć będzie!

Śmiał się — i stary się uśmiechnął.

— Oj, synku!... — rzekł, serdecznie nań spoglądając. — Nie mów ty takich słów na żart. Głodnemu we śnie chleba nie pokazuj, bo jak się zbudzi, jeszcze mu głodniej będzie.

Wawer i tonem i spojrzeniem dotknięty był mile. Serce mu zabiło i bez namysłu w zastawioną sieć szedł.

— Ojciec myśli, że żartuję? Ot, zobaczycie! Żeście mi tego wcześniej nie wspomnieli! Zostawię wam dobrą pamięć po sobie, choć się zżymacie. Idźcie, miejsce na kapliczkę wybierzcie. Na waszej ziemi stać będzie!

Rozpromieniony był i pyszny, że tyle zdziałać może.

— Nie takim ja zły, jak myślisz, synku... — stary łagodnie prawił. — Dopiero od księdza idę i o papiery te prosiłem. Zamiera mi dusza z żalu za tobą, ano, cóż poradzić? Co sążzone nie minie. Krwawemi łzami

cię opłaczę, ale już nie zatrzymam. Pójdiesz i już cię moje oczy nie zobaczą.

— Przyjdę znowu — rzekł Wawer, zupełnie pokonany.

— Ale już mnie nie zastaniesz... Umierać pora, do nieboszczki iść. Dosićby mi było szczęścia, żebyś choć krzyknę dłużej zabawił.

— To cóż robić?... Żeby ojcu dogodzić, zostaną jeszcze drugi tydzień.

— Mój synku pocziwy, dziękuję ci — zawołał Jan, za głowę go obejmując.

— Żeby ojciec z początku tak rzekł, tobym się nie wybierał. Ja to ojcu rad dogodzić, ile mogę.

Pożegnali Rufina i razem poszli, rozmawiając serdecznie i szczerze.

— A gdzie ten szmat ziemi? — wesoło pytał młody. — Pokażcie mi ją tymczasem.

— To chodźmy, kiedyś ciekawy.

Minęli wieś i gościńcem naprzeciw Piłkalisu dotarli. Stary na lewo zawrócił i ręką wskazał:

— Ot, ten ugór i ta łąka. Niemce kapustę będą sadzić.

— Jakie Niemce? A niedoczekanie ich! Albo to wy nie macie bogatego syna! Od Jodasów niedaleko będziecie. Rozalki krosna słyhać aż tutaj.

— Dobra i rozumna dziewczyna. Wracajmy, chłopcze, do chaty na obiad.

Wawer stanął. Jeszcze raz po ziemi tej spojrzął, potem w zanadrze sięgnął.

— Wart ten szmat pięć tysięcy?

— Niemce podobno cztery dają.

— Niech dają, ale nie dadzą. Wracajcie sami ojcze.

Uśmiechnął się tajemniczo i w lewo zupełnie skręcił. Kołodziej za nim patrzył przez chwilę, potem ręce złożył i począł pacierze szeptać. Skończywszy, widział jeszcze, jak syn rzeczkę po kamieniach przeszedł i ku dworowi zmierzał.

— Kupi! — szepnął i oczy mu zabłysły. — Byle Bóg dał i kupił, wtedy on do tej ziemi wrośnie, jak my wrośli. Oj, święty, święty ten szary proch, co go nogami depcemy!... Kto choć kroplę potu nań dał, to jakby ślub wziął. Daj mu, Boże, kupić...

W krynicy wody się napił i pełen nadziei do chaty wrócił. Na robocie byli wszyscy, ale on do roboty wziąć się nie mógł, ani obiadu tknąć. Niespokojny był i niecierpliwy, wyglądał Wawra.

Mijały godziny, a chłopak nie wracał. Stary raz wraz na drogę wyglądał, do figury podchodził, ręce mu się trzęsły, nogi drżały. Już i zachód był i zaludniła się chata, a Wawra wciąż nie było. Do wieczery bez niego siedli, bo zwykli byli, że do Butkisa z kolegami o tej porze chodził. Aż oto na ścieżce kroki się rozległy i gwizdanie. Stary Jan łyżkę odłożył i niespokojne oczy na drzwi obrócił. Wawer stanął w nich i wzrok ich się spotkał. Maryjka zerwała się żywo, uprzątając dlań miejsce blisko miski. Piotrowa położyła tam chleb i łyżkę. Andrzej bratu stołka uprzątął. A on, rozpromieniony i zajęty, do ojca przystąpił, na stole przed nim papier jakiś rozłożył.

— *Tewe* (Ojcie)! — zawołał. — Umiecie czytać po rusku?

Jan głową wstrząsnął, a papier drżącą ręką ujął.

— Petras, ty umiesz — do młodszego brata Wawer się zwrócił. — Przeczytaj ojcu.

Usiadł sam i rozparłszy się patrzył dumnie po wszystkich. Piotr w grube palce papier wziął i utykając często z niewprawy i podziwu, przesyłalizował:

„Niniejszem zaświadczam, że sprzedałem Janowi Karewisowi 20 morgów pola i 40 morgów łąki, stanowiących uroczysko, zwane Bubie, nad Kirszniawą, na wieczystą i bezsporną własność, a całkowitą za nie należność w ilości rubli 5.000 od syna jego, Wawrzyńca Karewisa, w dniu dzisiejszym otrzymałem.

Podpisano: *Januszewski*”.

Przestali jeść wszyscy i szyje wyciągnawszy, słuchali, jak kazania. Oniemieli z podziwu i to na Wawra, to na starego patrząc, czekali, czy to nie sen.

— Prawda, co ten papier mówi? — zagadnął pierwszy Andrzej.

— Co nie ma prawdą być! — zawołał Wawer ze śmiechem. — Ojcu się ziemi zachciało, to ją ma! Mnie tam pieniądze, jak plewa. Postawił pan cenę, a jam tylko torbę otworzył i tysiące mu odliczył. Tak się zdumiał, jak ot, wy teraz: dalej wypytywać, a skąd, a jak, a co za jeden, a czy Karewis skarb w Piłkalisie wykopał?... A jak my gadali, śmiech! On po rusku, ja po niemiecku; on po polsku, ja znów po naszymu. Zrozumieliśmy się jednak. Winszował, chwalił, do jadalni prosił, ugościł, a potem ten mi skrypt wystawił i dobrze życzył. Cóż, ojczy, nie cieszy się z mego prezentu?

Staremu ręce i broda się trzęsła. Papier, jak relikwję, wziął i zmienionym głosem się ozwał:

— Takem synku, rad, jakbym kawał nieba dostał. A pięknaż to ziemia, piękna i urodzajna... Daj ci, Boże, szczęście!

A i reszcie języki się rozwiązały. Poczęli wydziwiać, chwalić, mówić wszyscy jednocześnie. Nawet dzieci klaskały w ręce i śpiewały, nawet domowe zwierzęta, podniecone wrzawą, podniosły hałas. Aż ogłuszony Wawer za głowę się porwał.

Teraz ogarnęła ich żądza obejrzenia tego skarbu, kobiety chęć pochwalenia się sąsiadom. Rozbiegli się z izby, rzuciwszy jadło, zapomniawszy wieczornych zatrudnień. Stary sam z synem pozostał.

— Ale to, Wawer, mało tego skryptu — zauważył.

— A jakże. Pojutrze pan do Kowna jedzie i ojciec z nim. Tam kupno umocnią, uprawnią, uformalizują, w księgi zapiszą. Z tydzień czasu to zajmie.

— Ja nie pojedę! — kołodziej przestraszony zaprzeczył. — Ja prawa nie znam i co mam robić, nie wiem. Gdzie tam mnie po tych urządach chodzić, szu-

kać! Oszuka mnie byle kto, krwawica twoja przepadnie. Ziemięś mi dał, Bóg ci zapłać, ale prawo ty na siebie rób. Mnie ta milej będzie na Wawrowem siedzieć niż na swoim, a jak nas odjedziesz, to choć twoje imię na papierze zostanie i w ludzkiej pamięci, a ja mówić będę: „Chłopaka to mego, a ja u niego gospodarzę. Zostawił mi te dostatki”.

— Można i tak, choć to mi czasu zmitręży sporo — odparł Wawer po namyśle. — Ale co ma ojciec kłopot mieć, będzie miał gotowe. Macie tutaj w chacie atramentu trochę i byle pióro?

— Skąd? A nam to na co? Jak do Florka list posyłam, to ksiądz mi pisze.

— To i ja do księdza skoczę. Trza mi do Szczecina napisać, że dłużej zabawię. Dobranoc, ojcze!

Coś sobie nucąc, zajęty i bynajmniej zwłoką nie rozniewany, wybiegł na drogę. Przed nim w jasnym letnim zmierzchu zamajaczył kontur szybko idącej kobiety. Poznał Rozalkę Jodasównę po zgrabnym chodzie i odzieży schludnej i dogonił ją z łatwością.

— Dobry wieczór — pozdrowił.

— Pochwalony Jezus — poprawiła go, nie patrząc.

— Na wieki — odparł, śmiejąc się. — Bardzoście nabożni.

— Jako zwyczaj, mówię.

— A dokądże idziecie?

— Do Rufina.

— Oho, do kawalera, wieczorem, sama jedna... Nie boicie się obmowy?

— A któż mnie obmówi? Chyba wy, bo inni mnie znają.

— I ja milczeć będę za buziaka.

— Możecie sobie gadać, ile się podoba. Ja dla was nie mam buziaków, a wam wypada swojej Niemkini wiary dochować.

— A któż wam o Niemkini mojej mówił?

— Ano sami po wsi trąbicie, jakby to Bóg wie za wielki honor był.

— A bo i jest honor.

— Nieosobliwy. Jabym się wstydziła.

— Czego?

— Dla Niemkini Boga podeptać.

— Co wy, chłopcy, wiecie! Śmiech słuchać.

— A nam zgroza! Dobrze powiadacie. My, chłopcy, i Boga i wiarę i mowę i obyczaje szanujemy. Wy co?

— Gadacie jak z książki, a pewnie czytać nie umiecie?

— Tyle, co chłopu trzeba, umiem; ale wy to pewnie zapomnieliście i pacierza, do bambizy (pastor) Niemkinią chodzić będziecie.

— Poco się zżymacie? Może się w Niemcu zachacie i trzeba będzie do bambizy pójść.

— A nigdy! — oburzyła się. — Chłopski stan mi nie hańba, a cudzych bogów mi nie trzeba. Ażebym miała dla bogactwa swego sakramentu się wyrzekać, abym się za psa miała!

— Sierdzista z was kobieta.

— Wcale nie; ale mnie zaczepiacie, tom prawdę rzekła. Wam się zda, żeście bardzo rozumni, boście tysiące zebrali... a mnie się zda, żeście bardzo głupi!

Do oczu Wawra rzuciły się płomienie.

— Wam się chce głupstwo posłyszeć! — zawołał.

— Wy nic innego nie gadacie i nie robicie! — odparła śmiało, lekceważąco ramionami ruszając.

— Ej, ostrożnie! — ozwał się, rozdrażniony.

— Czego ostrożnie? Nie boję się was... Może nie straszyć swoją Niemkinię! A do mnie wam co? Żadnej mocy nie macie nade mną. Dokuczacie mi nadaremnie.

Zostawiła go na drodze, bardzo rozgniewanego. Weszła do chatki Rufina. Zdaleka już ją widział nadchodzącą, bo przez okienko wyglądał. Powitał cichym uśmiechem.

— Didelisów Wawer szedł z tobą — rzekł. Nie odjechał jeszcze?

— Bawi na moje utrapienie — mruknęła niechętnie.

— Co on ci złego zrobił? — spytał niespokojnie.

Rozalka codziennie przychodziła do niego, kiedy czasu miała chwilę; warzyła mu posiłek, sprzątała izdebkę, prała, szyła i sprawiała mu odzież i bieliznę i teraz nie spoczęła. Zapaliła ogień na kominie, zamiotła izbę, do kuferka włożyła przyniesiony węzełek czystej bielizny, krzątała się, jak u siebie, a kłosa leka wodził za nią smutnymi oczyma i gorzko się uśmiechał.

— Życie mi zatruł do reszty... — odparła na jego zapytanie. — Krystofa zbuntował zupełnie. O tygodnia na robotę nie idzie, w oberży z tym Nieniemcem pije, odgraża się na świat cały, a mnie co chwila wymyśla. Piekło w chacie! A do mnie, jak smół się przyczepił, przejść spokojnie nie da! Nasłania Boże we wsi taki zaprzaniec.

— Szkoda go jednak. Żeby się został, dobrego siła mógłby działać.

— Jakiego dobra?... Siedzicie wy, biedaku, w swym norze i mało co o sprawach wioskowych wiecie. Zdziałał on, działa! Dziewczęta swawoli, a chłopców nieuczynowania nauczył. Tydzień zabawił, a naszych spokojnych Karewiszek nie poznać.

— Może być. Ale to szum taki, co na wiosnę po najczystszych się rzekach osadza. Wody przepływa pod spodem zdrowe i chłodzące, a szum sam z siebie opadnie. Nie wiem, co po chatach się dzieje, ale wierzę, co po naszej ziemi chodzi drzeniem. Dużo nas — milion, ale szarej masy — niby trawy marnej. Coś się robi, coś zbiera, coś się rusza, ale nam ludzi trzeba dużych, żeby tę trawę okryli swym cieniem. Wawer by się zdał. Głowę ma, rozum i wolę żelazną. Niechbyle kto zdobędzie, co on zdobył, więc nie dziw, że się zdobyczą chełpi. Możebym i ja taki był, żeby



oje myślenie młode ziścił. Szczęśliwy — jak sokół  
platuje...

— Cóż on tam zdobył?... Duszy i ziemi pamięć  
tracił, Niemkinię głupią sobie zjednał.

— Zdobył on wiarę i szacunek. Złemu i głu-  
emu kupiecby swych okrętów nie powierzał, córki  
nie oddawał. Wawra szkoda, wielka szkoda dla bied-  
nej ziemi naszej.

Dziewczyna umilkła. Postawiła przed nim wie-  
rzącę, usiadła u stolika i przyglądała się ledwie roz-  
czętej figurce świętego na warsztacie.

— Nie macie jakiego zlecenia dla mnie? — spy-  
ła zcicha.

— Mam — odparł, przestając jeść i oglądając  
ją niespokojnie. — Wczoraj z Zaweliszek przysłali  
pakiet spory gazet. Trzeba do Palandrów do dzier-  
wicy Kotisa dostawić. Wiesz?

— Wiem. Jużem nieraz chodziła.

— Nie idź sama teraz. Za często cię tam teraz  
widują. Krystofa poślij.

— Uchowaj Boże!

— Czemu?

— Narażać go nie można. On żołnierz był.

— I to prawda. A wie on o czym?

— Nie. Jakiście przykazali żywej duszy nie  
snełam.

— Osobliwa z ciebie dziewczyna.

Popatrzał na nią smutnie i zamyślony słowa  
rodowej piosnki wyszeptał:

A ptaszek śpiewa:  
Tutaj twa dziewa,  
Czyściocha, tkaczka,  
Prządka, śpiewaczka!

Rozalka wstała i odwróciła się w drugą stronę.  
Wzrok jej w oczach zakręciły.

Rufin jakby je przeczuł; w okno spojrzął, za-  
torem już noc stała.

— Czego ty się mną markocisz, Rozalko? — rzekł. — Zapomnieć czas o tem, co minęło, by nie wrócić. Już tobie i mnie weselnych pieśni nie zaśpiwają. Czas ci o losie pomyśleć — lata biegną.

— Niech biegną!... Co mi do nich — mruknął. Jakby nie słyszał, ciągnął dalej:

— Mało we mnie ducha. Chciałbym dwóch rzytych czy tylko dożyć, żeby po ziemi naszej książki te kręcone, jak mrówki, po wszystkich się chatach ropupeły i żeby ci się dobry, jak chleb biały, chłopcu trafił. Spuścił głowę i zapatrzony w ziemię, półgłosem zanucił:

Tam na swobodzie  
Śpiewa w ogrodzie  
Kukułka szara w gęstwinie.  
Ptaszyno, kiedy skończą się biedy  
I żywot ciężki upłynie?

Dziewczyna chustkę narzuciła na plecy i zmienionym głosem spytała:

— A gdzie ten pakiet?

Rzeźbiarz jakby się ze snu obudził.

— Odchodzisz już? Bóg ci zapłać. Ładunek pod kominem, za cegłą schowany. A nie odnosi sama, bo niebezpiecznie.

— Znajdę dobrego posłańca. Dobranoc waruj! Rufin!

Za chwilę wysunęła się z chatki. Noc była chmurna i cicha.

U Butkisa słychać było skrzypki i śpiewy. Wesoło wer hulał z kolegami. Kilka dziewczek minęło Rozalkę, dążąc na te dźwięki wabiące, ale nie poznały jej w cieniu i przez nikogo nie zatrzymana, doszła do chaty, co leżała na skraju, najuboższa, najmniejsza, pusta i czarna.

Gdy światło w niej zabłysło, dziewczyna już bez chustki i tajemniczego ładunku stała w izbie, którą większą część zajmował tkacki warsztat z nawiniętymi

tuką wełnianego samodziału. Po ścianach było dużo obrazów świętych, zioła i palmy, wisały też motki przędzy i sprzęty drobne. W kącie posłanie Rozalki, a którem kotek biały się wylegał. W okienku kwiatki były w skorupach od garnków, a wzdłuż ścian niskie wybiegły. Krystofa narzędzia leżały rozrzucone po łemi, a na stole fajka i czapka żołnierska. Śnać nie-aleko i niedawno wyszedł.

Rozalka zdjęła ze ściany motek jaskrawej wełny w słabem świetle blaszanej lampki nawijała przędzę za czółenko tkackie. Kotek przyszedł do niej i na polanach się umieścił, w szczelinie świerszczyk się od-  
ywał.

Dość długo trwała cisza, aż wreszcie na drodze głosy się rozległy i kroki. Skrzypnęły drzwi, do izby wszedł Krystof, za nim Wawer. Na obu znać było tęte libacje. Cieśla kłął głośno, Karewis z dziewczętą drwił. Rozalka na ich widok poczerwieniała, usunęła się poza warsztat, nie witała i nie przerywała zajęcia, jakby ich nie było. Wawer ją dojrzał.

— Wróciliście już? — zaśmiał się. — Myślałem, że dłużej u Rufina zabawicie!

— Ja jej kiedyś za to bieganie do tego kulasa tarku nagrzeję — ował się Krystof ponuro.

— A za co? Niech się biorą, kiedy lubią — drwił Wawer. — Będzie o męża spokojna, że go jej nikt nie zbałamuci. I do wojska nie pójdzie i nawet do Butkisa się nie zawlecze.

Dziewczyna milczała w cieniu, za warszatem.

— Daj co jeść — krzyknął Krystof.

Wstała, odsunęła piec, naląła na miskę grzanego mleka, ukroiła chleba, wzięła z półki dwie łyżki, postawiła to wszystko na stole przed nimi i wróciła na swe miejsce.

Rozgorzałe, błyszczące oczy Wawra ściagały ją uporczywie. Nie spojrzała ani razu na niego.

Krystof zaczął jeść półgębkiem, wodząc ponurym wzrokiem po chacie.

— Za tydzień wyjeżdżasz? — spytał.

— Prawdopodobnie. Jak prawo na ziemię zrobi  
jużem wolny wracać do Szczecina.

— Dobrze ci. Innemu zgnić tu trzeba...

— Czemu trzeba? Albo człowiek drzewo, korzen  
ma? Każdemu droga wolna.

— Nie każdemu.

— Może nie tobie naprzykład?

— A mnie, myślisz, ochota trzyma?

— A cóż? Magdalenka?

— Choroba na nią! — zaklął cieśla.

— Ot, nie gadaj, oczami ją zjadasz. Na twojer  
miejsu jużbym dawno skończył...

— Skończę i ja — burknął złowieszco Kry  
stof. — Niechno żniwa miną!

— Ot, i zgnijesz!

— Zgnije Szwedas prędzej!

Rozalka podniosła głowę i z uwagą spojrzała n  
brata. Co on myślał o Szwedasie?

— Sprzątnij mi tę miskę z przed nosa — zawo  
łał na nią. — Chleba w torbę włoż. Pójdę na noc.

— Do roboty? — spytał Wawer.

— Aha, ale prędko wrócę. Jeszcze się zoba  
czymy.

— A trzeba, bo myślę ojcu na nową chatę drzew  
kupić i zwieźć. Może mu ją zbudujesz?

— Mogę, i owszem. Rozalka, ty nigdzie ni  
pójdiesz?

— Owszem. Do Ilgian na odpust w piątek.

— Sama?

— Nie, z Maryjką i Szlugurisową Barbarą.

— To ci ochota, w taki upał nogi zrywać! Co  
ty myślisz: wyprostuje ci Pan Bóg Rufina? — zaśmia  
się Wawer.

Nie odpowiedziała. Polecenie brata spełniła  
o czemś innem myśląc. Mężczyźni zapalili cygara  
i rozparłszy się na stole, rozmawiali dalej o Wawr  
szczęśliwym losie i różnych doskonałościach obczyzny  
Karewis opowiadał o narzeczonej, jak go kochała

pieściła, jak mu z zachwytem w oczy patrzy, jak ogadza, jak go tam codzień oczekuje. Chełpił się em, jak tysiącami swemi; by ją kochał wzajemnie, nie było znać z gawędy. Potem rozmowa przeszła na upioną ziemię: jak stary z niej rad i jak wszyscy się ziwują. Pojutrze Wawer z panem do Kowna pojedzie.

Krystof więcej słuchał niż mówił.

Nareszcie wstali obadwa i wyszli razem. Rozalka admuchnęła światło i zaryglowała drzwi chaty, długo jednak usnąć nie mogła, niespokojnie nasłuchując szmerów na dworze. Miała pod swym dachem ciężką kontrabandę...

Nazajutrz wstała o świcie i nikt jej nie widział, kiedy poszła na Piłkalnis. Pastuszki, wypędzający orzodę na paszę, spotkali ją wracającą.

— *Paganik!* (Pochwalony) — pozdrowiła ich według zwyczaju.

— *Pargiusin!* (Na wieki) — odpowiedzieli chórem.

Wróciła do chaty i zasiadła do warsztatu. Kobiet kilka zjawiło się do niej po radę i z robotą. Rozprawiły o Wawrze. W Karewiskach był on osią całego życia i zajęcia. Kupno pola do reszty zawróciło chłopom w głowie. Urósł do rozmiarów legendy.

— Musi zostać — mówiły baby. — Bo ktoby tyle i takiej ziemi porzucił? Słyszę, i folwark stawiać będzie?

Potem Maryjka przybiegła, po drodze do roboty. Ta nad szwagra nie widziała nic piękniejszego, rozumniejszego, doskonalszego.

— Wczora dwa listy do Niemiec wysłał, że dłużej zabawi. Może i do jesieni, bo stary chce, by mu i dom postawił. Nawet już miejsce wybrali. Braciom na czwartego konia sto rubli dał i dla Florka dwadzieścia posłał do pułku.

— A może i Niemkinię swoją tutaj sprowadzi? — zagadnęła Rozalka szyderczo.

— Bój się Boga! Toć taka wielka pani!

— A za chłopą idzie?

— Co za chłop? Taki edukowany, delikatny. We dworze go zaraz do stołu sadzają i za równego traktują. Każda dziedziczka by za niego poszła. Oho!

Kobiecina gestykulowała żywo, trzepiąc, bo się spieszyła okrutnie.

— Andrzej w chacie został, bo jutro brata na kolonie odwiedzie — do Kowna. Obiecał stamtąd im różnocy różności przywieźć. Stary aż odmłodził, a dzieci to go tak lubią jakby rok bawił.

Ułżywszy swemu sercu i gadatliwości, Maryjka pobiegła dalej, a Rozalka, migając czółenką, tkała wzorzysty samodział, z nad roboty oczu nie podnosząc. Potem zaczęła śpiewać. Piosnka smutna była jak jej dola uboga i samotna. Przed jej okienkami przeciągały wozy z sianem, parobczaki różne wyprzedzali się i pokrzykiwali. Widziała Szlugurisa Jodasę, jak na piętrowej furze stojąc, tłuste swe kasztany zacinał i przodował zawsze; widziała Jurgisa Szwedasa, który razem z Krystofem z wojska wrócił; przebąkiwał, że do niej swaty przyśle; widziała Karewiczów siwki i Petrasa rozpromienionego, jak zorze. Wszyscy mijali Jodasów. Oni nie mieli co zwozić, bo resztę, co sąsiedzi nie zagrabili, Krystof w dzierżawę oddawał, a i nie mieli gdzie zwozić, bo budowle rozwalowały się ze szczętem, a i nic karmić wonnem sianem nie mieli, bo ostatnią krowę sprzedali na przednowku. Dziewczynę żalność ogarnęła i cicho zapłakała.

O południu skwar nieznośny zatrzymał robotę. Rozalka wtedy wyszła. Droga była pusta i pola puste.

Ona, na upał nie dbając, poszła drożyną pełną w stronę Kirszniawy. Za rzeczką ciągnęły się pastwiska dworskie, zarosłe kępami tarniny, róż dzikich i młodej wierzby.

Dziewczyna minęła rzeczkę po dużych głazach, w gęstwinę tę wpadła, rozglądała się, jakby szukając kogoś. Pastwiska też pusto wyglądały i tylko zdaleka parskanie koni dawało się słyszeć.

Nagle z za krzaku ukazał się wyrostek lat może piętnastu, chudy, śniady, wichrem spalony, bosy,

plótniance na grzbiecie i dziurawym kapeluszu na  
stwinie konopiastych włosów. Twarz jego jak pięść,  
ała, brązowa, lśniąca od słońca i potu, wyjrzała cie-  
wie na idącą i uśmiech przyjazny rozchylił wargi,  
bił się aż w żywych, roztropnych oczętach.

— A, Rozalka! — radośnie zawołał.

Teraz i ona się zaśmiała.

— Dawnoś nie był we wsi, Marcinku! — rzekła.

— A dawno! Człowiek robotę ma! — odparł.  
dumą dorosłego pracownika. — Onegdaj wieczorem  
o chaty zabiegłem Wawra posłuchać, jak cuda baje.  
chciałbym z nim pójść, ale ojciec nie puszcza.

— I słusznie. Przecież tu potrzebny.

— A pewnie. Za lato dwadzieścia już rubli za-  
buję. Jużem parobek.

To mówiąc wyprostował się dumnie. Mógł nim  
yć, bo od dwóch lat na swój chleb poszedł, nieobfity  
prawdzie, ale uczciwie zapracowany.

— A nie nudno ci samemu?

— Nie. Koni tyle, a po krzakach, co stąpisz, to  
niazdo. Mam i swoją chudobę — ot zobacz!

Rozchylił delikatnie gałęzie i pokazał dziewczy-  
nie gniazdo, nisko uwite, pełne żółtych dzióbków i sza-  
wych piskląt. Samiczka, bynajmniej, nie zatrwożona,  
edziała w pobliżu, patrząc na ludzi, i ćwierkała swo-  
odnie.

— To twoje? — uśmiechnęła się Rozalka.

— Moje. Sam je znalazłem z wiosny. Stara mnie  
na — o i jak. Daję im chleba, raz obroniłem w nocy  
d sowy, a raz od kota, szelmy. To moje.

Ciemna twarzyczka promieniała radością.

— Kiedyś przyszła, Rozalko, to i chatę moją zo-  
acz. W gościnę cię proszę. Cały ze mnie gospodarz.

Ruszył przodem, rozchylając krzaki. Czasem  
awał, inne gniazda jej pokazując.

— Ale to już nie moje — to Boże — tłumaczył.

Doprowadził ją wreszcie na łączkę, otuloną le-  
czyną gęstą.

Opodał widać było rozsypaną stadninę, a po krzakiem stał szałas, sklecony z kołków i prętów suchych, pokrytych darnią.

Wejście było otwarte, wystawione na wicher i ulewy; w głębi leżała garść słomy i jakieś szmaty w płótno zawinięty chleb, czarka na wodę i zawieszane były u góry proste, białe skrzypce. Był to dom Marcinka.

Stanąwszy na miejscu, gospodarz pierwszem spojrzeniem obejrzał konie, przytoczył Rozalce pniak na siedzenie, do szałasu się wsunął i przyniósł jej stamtąd kromkę chleba i garnuszek wyszczerbiony, pełen dzikich malin...

— Masz tobie, Rozalko! Zjedz! — prosił serdecznie, siadając blisko niej na ziemi, z biczyskiem sążnistem w drobnych, już twardych i czarnych rękach.

Dziewczyna jadła — cieszyło go to bardzo.

— Ja do ciebie interes bardzo ważny mam, Marcinku — ozwała się wreszcie. — Mógłbyś ty przez jedną noc do Palandrów zbiegać i napowrót?

— Mógłbym. Mnie nikt nie dogoni.

— Ale to wielki sekret. Trzeba przysiąc, że nikomu nic nie powiesz.

— Czemu?

— Bo coś takiego, o czym nikt wiedzieć nie powinien, poniesiesz...

Pacholę, zaciekawione, oczy podniosło. Sekretu powierzono, rósł w dumę.

— A komu? — spytał.

— Zaraz ci rozpowiem. Jak zmrok zapadnie trzeba na Piłkalnis pójść.

— Kiedy tam coś straszy.

— A właśnie. Odważnego trzeba. Tam koło samego szczytu lipa stoi wypróchniała. W dziupłę trzeba rękę wsadzić po łokieć, znajdziesz papiery.

— A jak co się pokaże?

— Przeżegnasz się. Nic ci złego nie zrobi. Papiery trzeba wziąć, na piersi schować i do Palandrów



zierzawcy Kotisowi dostawić. A nikt nie powinien wiedzieć, kto ty i skąd i do kogo i z czym idziesz...

— A co tam stoi w tych papierach? Może to większywe pieniądze?

— Nie, same święte i uczciwe rzeczy. Żebyś ty tego dokonał, wielkąbyś miał zasługę przed Bogiem szacunek u najstarszych ludzi.

— To pójdę i sprawię się gracko... A jeżeliby mnie kto złapał albo spytał, co niosę?

— Nie możesz nic powiedzieć, ani tych papierów nikomu pokazać, bo ciężko odpowiadać będziesz. Jakby z urzędu cię złapali, papiery w rzekę rzuć, albo ogniem spal. Na co przysiąc trzeba, ukląkasz, rękę do góry wzniesiesz.

— Tak, jak żołnierze przysięgają?

— Tak samo.

Marcinek pomilczał chwilę, strwożony odpowiedzialnością. Ambicja nie dała mu jednak cofnąć się.

— To pójdę! — rzekł stanowczo.

— Przysięgnij! Za mną powtórz!

Chłopak ukląkł — rękę i oczy do nieba wzniosł.

— Przysięgam, że papierów nie wydam i prawdy nie wyjawię, choćby mnie bili, choćby więzili! Nie powiem nikomu, ni w domu, ni w sądzie, ni żadnemu złowiekowi, ni w kościele księdzu. Doniosę je do wskazanych rąk w oznaczony dzień, chybabym zgiąć miał. Tak jak Bóg słyszy, tak niech mnie sędzi, dybym zdradził. Amen!

Chłopak, skończywszy, wstał bardzo blady, ale determinowany i poważny. Jakby o lata przez tę chwilę dojrzał. Już o nic nie pytał, ale sam dysponował:

— Jak zmierzchnie, pójdę, a rano wrócę i do ciebie zabiegnę sprawę zdać. Bądź spokojna, już ja cię tak uwinę, że nikt inny lepiej nie zrobi. Trza dorze się sprawiać, żeby konie w zagrodzie nie zgłodiały. Panby się gniewał i z zasług potracił. No, nic o. Dam rady!

Zuchwale grzywą swą wstrząsnął i bat rozwnęwszy, palnął donośnie.

— Daj ci Boże, szczęśliwie, Marcinku! A pamiętaj, że na twojej głowie spokój całej wsi. Żeb się przestraszył i co rzekł...

— Tożem przysiągł! — obraził się chłopak.

— Dziękuję ci. Zuch jesteś.

Powtórzyła mu raz jeszcze, co i jak miał zrobić, a potem pożegnała i odeszła.

Przeprowadził ją do rzeczki i wrócił bardzo zmyślony. Za nadejściem wieczora stadninę zegnał od dworu. Skrzywiony był i kulał.

— A co to? Nocą paść nie będziesz? — zagadnął go gospodarz folwarczny.

— Proszę pana... wszystko mnie boli i nogi obiera. Pójdę na noc do chaty.

Uwolniono go na widok zbiedzonej twarzy i utęskniała kania. Za bramą wyprostował się i jak zajęć, czmychnął znajomymi polami, omijając wieś i drogi.

Piłkalnis samotny, obrosły nieprzebytą gęstwina dzikich krzewów, ukoronowany drzewami, stał czarny i groźny na tle nocnego nieba. Chłopaka dreszcz wstrząsnął. Krążyły o tej strażnicy starej różne bajki i legendy, które sobie po chatach opowiadano wieczorami półgłosem, tajemniczo. Marcinkowi teraz przyszyły wszystkie na pamięć. Żegnał się i rękawce pot zimny z czoła ocierał, ale szedł naprzód. U stopach wzgórze czarna cień rzucały krzaki i w ciszy obdźwięki bywały się jakies niby szepty, niby śmiechy. Chłopak zatulał uszy, zamykał oczy i począł się przed gęstwina przedzierać, krwawiąc o kolce twarz, szarpając odzienie. Wejście było strome, parę razy potoczył się w dół, ale to, zamiast go zniechęcić, budziło zawziętość, z bólu zapominał o strachu i darł się w trwale naprzód. Nareszcie dotarł szczytu. Wzgórze sypane tworzyło tam mała równinę, wokoło wale otoczoną. Na wale tym drzewa rosły, a w środku znajdowało się jeszcze zawaloną studnię.

Marcinek stanął, otarł krew i pot z twarzy, chwilę słuchiwał. Cicho było, tylko drzewa szumiały. Wówczas obejrzał się coraz śmielszy, dojrzał lipę ową po tui nadzwyczaj grubym i począł rękami, węchem, zrokiem szukać dziupła. Wspiął się i jak kot, na wien wdrapał, potem namacał otwór, ramię wien wsuwał. zwitek drogocenny dobył i zeskoczył.

Chwilę odpoczywał, ciężko i prędko dysząc; potem zdobył na płótniankę i koszulę na piersi ukrył, pasek mocniej zacisnął i pędem, więcej się tocząc, niż stając, na dół się dostał. Wtedy się rozejrzał, głuszony spadkiem. Do Palandrów było mil ze trzy. zaczął biec, bo wiedział, jak krótkie bywają czerwone noce. Biegł, jedną ręką skarb swój cisnąc. Oczywiście, obeznane z ciemnością, widziały wyraźnie i daleko. Biegł, jak kula, do ziemi zgięty, bosa nogi wysoko podnosząc, przesadzając, jak chart, zagony, rowy, niedze, płoty. Karewiszki wyminął, na gościniec się dostał i tam, niczem już nie hamowany, podwoił szybkość. Tylko mu, jak cienie, migają słupy telegrafu, rzewa, krzaki.

Parę fur spotkał, wracających z miasteczka, oglądano się za nim ciekawie, potrącił kilku pieszych. Na pozdrowienie pobożne nie odpowiadał. Tak dobiegł awrotu, gdzie gościniec do Palandrów droga polna przecinała. Stała tam karczma i studnia przy niej. Marcinek zziajany, bez tchu, z zapiekłym gardłem do studni, jak pies, przypadł i z koryta wodę łapczywie hłęptał. W tej chwili drzwi karczmy się rozwarły, ktoś wyszedł, stanął, popatrzał na niego i przystąpił bliżej.

— Kto tam? — zagadnął gromko.

Chłopak, jak dzikie zwierzę, w bok się rzucił, nie odpowiadając. Pytający za ramię go chwycił.

Wówczas w Marcinku duch zamarł. Spozrzegł wiazdkę na czapce. Był to policjant.

— Kto ty? — spytał po rusku.

— *Ne suprantu!* (Nie rozumiem) — odparł, jak węgorski się wywijając pod ściskającą go dłoń.

— Kto ty? — policjant po źmudzku powtórzył.

— Ja tutejszy. Konia szukam. Z paszy uciekł bełkotał, szamocąc się, chłopak.

— Jak się nazywasz?

Na to pytanie, nieprzytomny, zaciął się.

— Jonas — odparł wreszcie.

— Łiesz! Hej tam, światła tu dajcie! Do mnie!

Na krzyk z karczmy ktoś wypadł, zajaśniała latarnia. Trzech ludzi obstało malca.

— Nie znam — odparł policjantowi karczmarz latarkę do oczu chłopca przysuwając.

Marcinek przestał się szamotać. Nieznacznym kurtkę swą rozpiął.

— A złodziej, szelma! Do komórki go zamknij po dniu obszukamy. No, marsz!

Ale chłopak w tej chwili niespodzianie w błąd się rzucił, z kurtki się oswobodził, szarpnął, dał się sążniowy i przepadł gdzieś za rowem w polu, żyte zasianem. Jak chróściel, w morze kłósów wpadł i zatonął w tem morzu swem rodzinnem. Z początku, jak wąż pęzał, często przyczajał się do ziemi, to znów zgięty w kabłąk, by nad zboże nie wystawać, pędził mykał bez śladu zygzakiem. Potem ciszą i spokojem ośmielony, głowę wytknął na wiatr, orjentował się w położeniu. Poznał okolicę i radośnie wykrzyknął Lasek, co czerniał przed nim o wiorstę, były to jałki Palandry. Spóźnił się, bo oto niebo jaśniało na wschodzie, ale sprawił się dobrze. Na drogę już się nie ośmielał, przez bramę do folwarku nie wszedł. Z gumien na dziedziniec wyjrzał. Niebo coraz było jaśniejsze. Nareszcie z domu człek jakiś wyszedł i pocięży odmawiając, do stodoły się zbliżył. Marcinek z cicha zagwizdał. Człek obejrzał się, zoczył go i poszedł szybko.

— Wy Kotis? — chłopak tajemniczo spytał.

— Ja.

— No, to macie!

Z za koszuli papiery wyjął i przez płot podał.

eszta nic więcej nie mówili, a gdy parobcy ukazali na dziedzińcu, chłopak był już daleko.

I znowu biegł kłusem, w koszuli podartej, okuony, brudny, bez kapelusza. Stopy miał pokaleczone, twarzy szramy. Nie pokazał się na drodze, a gdy reszcie Karewiszek dopadł, nie miał już sił do dworu i dowlec. Rzeczkę w bród przeszedł, w krzaki się schował, na ziemię padł i zasnął.

Obudził się popołudniu i jakiś czas nie pamiętał, co z nim się dzieje. Potem dopiero głód i pragnienie przytomniły go zupełnie, poczucie bezpieczeństwa zbudziło zmysł zachowawczy. Wykąpał się i sam koszulę uprał, potem ją misternie cierniami pospinał, a słońcu wysuszył, odział i do dworu pobiegł.

Pana szczęściem nie było, ekonom złażał go tylko w sieniach, za uszy pokręcił, kazał konie na nocleg wypędzić. Obeszło się bez pieniężnej kary. Marcinek był zupełnie spokojny. Brak kurtki zatruwał mu prawdzie swobodę, bo co powie w chacie, ale postanowił rankiem do Rozalki skoczyć, ona mu jakąś kurtkę da, a tymczasem zjadł, stadninę wypędził i leżąc pod szafasem swoim, wypadki tej burzliwej nocy przypominał, uśmiechając się z radości. Potem skrzyпки zastroił i brząkał na nich do rana. Na chwilę się dalszym ciągiem wyprawy nie zatroszczył. Udało się — basta.

Żał mu tylko było, że milczeć musiał. Jakby się nieśmiało pochwalił, jak zakpił z policjanta, on, taki śmiały, z takiego olbrzyma z gwiazdką na czapce. Sen go zmorzył wśród tych marzeń rozkosznych.

Zbudziło go wcale niedelikatne trącenie w bok. Wstał się na równe nogi.

Nad nimi stali dwaj urzędnicy gminy, z blachą w jednej ręce a kijami w ręku: Brodacz stary i Jurgis Zwedasów.

— Wstawajno, błaznie! — stary gromko huknął.

— A czego? — chłopiec drżał.

— Do gminy cię kazano dostawić piorunem! Coś ty przeskrobał?

— O Jezu! Ja nic, ja konie pasę! Nie mogę d  
gminy iść. Ja na służbie! — jękał.

— Co tam twoja służba! Urząd przedewszys  
kiem! I mybyśmy woleli siana resztę sprzątnąć, n  
ciebie o trzy wiorsty wodzić! No, marsz!

Poprowadzili go jak aresztanta. On się już n  
sprzeciwiał swej władzy. Dreptał przed nimi ze zw  
szoną głową, bardzo zalekły i tylko prosił, by ojcu n  
nie mówili.

Gmina była we wsi sąsiedniej, w Wisborac  
Chłopczyna nigdy tam nie był nawet, a w miarę, zb  
żania coraz go większy lęk napadał. Strażnicy nap  
dzali go do pośpiechu, a on zbolełe swe stopy ledw  
niósł, utykając często i kurcząc się, jakby czuł ju  
razy na plecach.

Nareszcie przyszli na miejsce. Wprowadzili go d  
izby, gdzie się sądy i narady gromadzkie odbywał

Wójt siedział za stołem, ławnicy i starszyzn  
a wśród nich policjant, mocno rozsierdzony.

On, taki mały i mizerny, przed nimi stanął i n  
zrazu nie widział, tylko swą kurtkę płócienną, obsza  
paną na stole. Czuł się zgubionym.

I zaczęło się śledztwo. Chłopi milczeli, policjar  
pytał, pisarz zapisywał.

— Twoja to kurtka?

Marcinek skłamać chciał, ale szczęściem ocz  
podniósł i wśród sędziów Szwedasa starego zobaczy  
który mu nieznacznym, twierdzącym ruchem głową wskaza

— Moja — odparł zcicha.

— Aha, twoja! A ty sam gdzieś biegał tej nocy?

Marcinek znowu na Szwedasa spojrzął, ale ju  
stary siedział nieporuszony i odwrócił się w in  
stronę.

— Ja konia szukałem — odparł chłopak.

— A pociąg skłamał imię?

— Kasztanowatego szukałem...

— Gadaj prawdę! Posyłał cię kto?

— Nikt nie posyłał. Koń z paszy zginął.

— Nie łżej, bo będzie źle! Dokąd biegniesz?

— Łysego szukałem. On kupny, to się stada nie rzyma.

— Łże! Ja mówię, że łże! Starszyzna, kaźcie mu różgami dać!

Chłopi spojrzeli po sobie, pokiwali głowami, naradzali się zcicha. Wreszcie wójt przemówił:

— Kiedy upewniacie, że kłamie, to różgi nie zawadzą. Szauklis, daj mu piętnaście, ty, Jurgis, po-trzymaj!

Wykonawca wyroków, stróż gminny, chłop wy-soki i barczysty, przystąpił do chłopca. Marcinek zęby zaciał, choć się cały trząśł. Położyli go na ziemi i za-częła się bolesna operacja. Niewiadomo, czy Szauklis słabo bił czy chłopak tak wytrzymały się okazał. Ani się odezwał. Odliczono piętnaście.

— No, gadaj teraz! Posyłał cię kto? Nosileś co, gdzie?

— Łysego kasztana szukałem — była odpowiedź uparta.

— No, poczekaj! Jeszcze to nie koniec! Star-szyzna, ja wam mówię, jeśli mu nie zasądzicie dru-giej porcji, zaskarżę was wyżej, że go z wiedzą ochra-niacie.

— Co mamy ochraniać? — zawołał wójt nie-spokojnie. — Winien, powiadacie, niech cierpi. My nic nie wiemy... on nam nie krewny, żebyśmy go oszczę-dzać mieli.

— Dać, jak pan policjant mówi... drugą porcję! — potwierdził Szwedas w imieniu ławników.

Rozciągnięto go znowu i bito, rachując uroczyście razy, i znowu chłopak milczał.

Wstał czerwony, oczy miał łez pełne, ale nie płakał.

— Da ci ojciec drugie tyle, jak za ciebie grubą karę zapłaci! — krzyknął policjant wściekły.

— Powiedz prawdę jeśliś winien — ozwał się Szwedas powoli, łagodnie. — Możesz co ukradł i utaił. Dziecko jeszcze jesteś, mogłeś zbłądzić.

Marcinek, który na wzmiankę, ojca aż zzieleniał ze strachu, teraz, nazwany dzieckiem, głowę hardo podniósł.

— Łysego kasztana szukałem — swoje twierdził. — Śpieszyłem się, pan policjant mnie zatrzymał, chciał zamknąć, więc uciekłem.

— A łysego znalazłeś? — szydlerzo urzędnik spytał.

— Znalazłem i spętałem. Pokażę go panu, jeżeli nie wierzycie.

— Szatańskie dziecko!

Policjant wstał ze złością okropną i pięścią mu pogroził.

— Poczekaj. dam ja tobie jeszcze!

— Może i prawdę mówi — ozwał się wójt po namyśle. — Coby on tam nosić miał? Toć wiadomo, że za koniuchę służy we dworze. Nikt też kradzieży nie zaskarżył. Albo to podobne do niego. Ot, zląkł się i tyle. Ale za opór władzy kara go nie minie. Do komórki go na chleb i wodę zamknąć. Niech na drugi raz mores zna.

— A słusznie -- sędziowie potwierdzili.

Chłopiec płakać zaczął:

— Ja na służbie. Któż mi będzie konie pasł? Pan mi z zasług potrąci!

Ale go nikt nie słuchał. Chlipiącego Szauklis za ramię wziął, wyprowadził z izby. Otworzył na dziedzińcu pusty chlewek obok wieprza pisarza, wepchnął go tam, drzwi za nim na zamek spuścił i słowa nie rzekłszy, odszedł do innej roboty.

W klitce bez podłogi i okna, różnemi gratami pisarzowej zarzuconej, Marcinek sam został, na ziemi siadł i płakał rzewnie.

Teraz wszystko skończone. Pan się dowie i albo karę zapisze, albo innego pastucha przyjmie. Ojcu też sąsiedzi opowiedzą rzecz całą i choć się więcej w chacie nie pokazuj. Rówieśnicy się śmiać i drwić z niego będą.



Płakał Marcinek, póki mu łez i sił nie zabrakło. Potem, znękany, zbity, głodny, zasnął, jak zwierzątko zbiedzone, skręcony w kłębek na garstce słomy.

Szauklis go zbudził, otwierając skrzypiące drzwi. Dał mu chleba i wody, wrzucił też ową nieszczęsną podartą płóciankę siną. Chłopak zaczął go po rękach całować.

— Mój dziadziu, mój złoty, puśćcie mnie do koni! Toż ja zginę tutaj!

— We środe cię puszczę.

— We środe! O Jezu! Toć to za pięć dni dopiero!

— A no cóż? Tak zasądzono. Dostyc lamento-  
wać; ażebyś się nie nudził, oto masz słomę. Spleć mi kapelusz.

— Splotę, byle się ojciec nie dowiedział.

— Oho, jeszcze z wieczora przychodził.

— A bardzo się odgrażał?

— Ano, pewnie! Chciał tu przyjść, ale nie wolno.

— Oj, biedna moja głowa, biedna!... Gdzie ja się obróczę?

Szauklis się uśmiechnął i wyszedł.

W ciemnej komórcie Marcinek męczył się nie-  
znośnie. Do obszarów wolnych i bezgranicznej swo-  
body nawykły, ciasnoty i mroku znieść nie mógł. Słomę splatał machinalnie, zamiast odpoczynku, zmę-  
czony i chory się czuł. Zamiast ludzkich głosów, sły-  
szał tylko krzäkowanie wieprzaka na lewo, a na prawo,  
wieczorem, porykiwanie cielęcia do krowy. Powietrza  
mu też brakło. Do ściany podchodził, szczeliną na  
świat boży wyglądał, albo usta do szpary przykładał  
i jak pijak, rzeźwiący podmuch w piersi wciągał.  
Ale najsroższy był namysł nad tem, co go w chacie  
czekało po uwolnieniu. Już i spać mu się odechciało  
z nudy i niepokoju. Plecionkę dla Szauklisa skończył  
i chodził od ściany do ściany, jak zwierzątko dzikie  
w klatce. Nareszcie pewnego wieczora Szauklis mu  
drzwi otworzył.

— No, odsiedziałeś swoje. Możesz ruszać do  
domu.

Chłopak wyleciał, jak szalony, na dziedziniec ale już za wrotami na drodze stanął, niepewny, co robić dalej.

— Marcinku — ktoś go z boku cicho zawołał.

Obejrzał się. Była to Rozalka, czatowała snąc na niego tutaj.

— Biedaku, przepraszam ciebie — rzekła z widocznym żalem. — Za mnieś tak pokutował. Żebyś wiedziała, że tak ci się nie powiedzie, samabyś poszła.

Chłopak głowę zuchwale podniósł.

— Ot gadanie! Czy tobie, kobiecie, w to się wdawać? Mnie co innego, mężczyźnie. Powiadasz, nie powiodło się? Jakto? Albo mi kto papiery odebrał? Oho! Na miejsce odstawiłem! A że w skórę wziąłem, to co? Alem się nie wygadał! Jak drugi raz pošlesz, to jeszcze lepiej się sprawię, bom już praktyk. Drugi raz to mnie nie wsadzą do jamy. Tak mi zbrzydła, że nie opowiedzieć!

Otrząsł się jak pies po kąpieli i szedł razem z nią ku Karewiszkom.

— Służbę to stracę niezawodnie, ale najgorsze to jeszcze od ojca czeka. Da on mi, da! Jeszcze z naszego rodu nikt w areszcie nie siedział. Wstyd zrobiłem chacie. Będzie mi!

— Pójdę z tobą do ojca, bo ja winna.

— Ej, nie, nie chcę byś mię zaślaniała, odcierpię. I za kurtkę wykrzyczą i za kapelusz.

Markotnie głową pokręcił.

— Nie. Płóciankę ci nową uszyłam. Ot masz a kapelusz mam także w chacie. Nie bój się!

Podąła mu zwitek odzieży, a on, uradowany, prędko się ubrał. Potem z za gorsecika dobyła jeszcze coś małego i wręczyła mu.

— To za tę biedę twoja nagroda — rzekła cicho. — Masz, schowaj, bo to drogo kosztuje.

Marcinek spojrział i aż poczerwieniał ze szczęścia.

— Książka z modlitwami! O Jezu! Naprawdę moja będzie?

— A twoja. Zasłużyłeś dobrze.

— O jej! Taka gruba i złote brzegi i obrazków aż dwa jest! Toć takie tylko starsi gospodarze mają. Gdzieś ty ją kupiła?

— Dostałam zdaleka dla ciebie.

— Naprawdę, dla mnie?

— Naprawdę. Powiedzieli: Marcinkowi daj za odwagę i wierność przysiędze. Toż Karewiszek spokój na twojej głowie leżał, a tyś strzymał.

— Oho! Ja wiem, co przysięga. Podziękujże tym za książkę i powiedz, że nieraz i nie dwa gotówem usłużyć. Byle ojciec z chaty nie wypędził!

— Nie, nie.

— A Wawer już odjechał? Nie wiesz?

— Jeszcze z Kowna nie wrócił. Wy teraz bogaci.

— A wiem. Ziemi szmat kupił. Ale mnie to wszystko jedno, byłem służbę miał. Czy tak, czy siak, w rekruty pójdę.

Zbliżyli się do wsi, gdy już ciemno było, i zaraz na wstępie starego Szwedasa spotkali. Jechał na wozie z próżnemi beczkami od piwa. Poznał ich i stanął.

— Odsiedziałeś? — spytał, fajkę z ust wyjmując.

— Jakaście zasądzi, takim cierpiał — odparł chłopak z urazą.

— Drugi raz, to cię jeszcze srożej zasądzą. Nie oprzesz się, aż w powiatowym areszcie.

— Oho, zjecie licha, nim mnie złapiecie!

— No, no, pamiętaj!

Stary konie trącił i już w biegu do Rozalki się odezwał:

— Zdrożeją grzyby w tym roku. W Gierynajcze (lasy) strażnicy zbierać nie dają.

Wóz się potoczył, głośno dudniąc i podskakując.

— Co on o grzybach plótł? Ni przypiął, ni przyłatał — zauważył Marcinek.

— Za kogo innego mnie wziął. Nie poznał — odparła Rozalka spokojnie

Skręcili od figury do Didelisów. Chłopak rezor tracił, oglądał się, jakby zemknąć miał ochotę. Dziewczyna szła przodem i pierwsza weszła na próg. Wieczerali właśnie wszyscy wokoło długiego stołu, na ławach, na stołkach. Gwar panował, jak w ulu. Od pierwszego rzutu oka spostrzegła, że się omyliła. Wawer już był z powrotem. Po prawicy ojca siedział obok Maryjki. Jasna jego, krótko ostrzyżona głowa, zarost, miastowa odzież wyróżniała go z pośród rodziny. Rozalka chętnieby się cofnęła, ale było już poniewczasie.

— Pochwalony Jezus Chrystus — pozdrowiła.

— Rozalka, czy upiór? -- krzyknęła Maryjka.

— A to dziw takie odwiedziny -- dodał Andrzej z przyjaznym uśmiechem.

— Do chleba i strawy prosimy — rzekł Jan stary.

Wawer wstał z miejsca obyczajem światowym.

— Usiądźcie — poprosił.

— Jeszczeby — oburzyła się Maryjka. — Macie, jak dla jakiej królowej, miejsca ustępować? Zmieść się koło mnie.

— Dziękuję -- rzekła dziewczyna. — Przepraszam, żem wieczerzę przerwała. Do gospodarza mam interes.

— To gadaj dziecko.

— Darujcie, że was do sieni pofatyguję.

— Oho, aż takie sekrety — zaśmiała się Maryjka.

Stary wstał i do czarnych sieni za nią wyszedł.

— A tam kto stoi na dworze? — zagadnął.

— To ja, ojczy, Marcinek!

— A ty, z aresztu! Bracia twoi nawet tej nazwy nie znali, a ty mi wstyd i hańbę do chaty nanosisz. Złodziej Karewis, włóczęgą, szelma! Chodź tutaj! Bili cię w gminie różgami, skosztujesz ojcowskiego rzemienia! Chodź bliżej! Słyszysz?

Rzemienny swój pasek jął odpinać, gdy wtem dziewczyna za ręce go porwała, przechyliła się doń

szeptem prędko, urywano parę słów rzekła... Kołodziej nieruchomy, milczący słuchał, ręce puściły koniec rzemienia. Nic nie powiedział. Parę kroków do nieruchomego Marcinka postąpił, na rozwichrzanej głowie spracowaną dłoń położył, potem schylił się nisko i włosy te pocałował.

Chłopak do kolan mu padł i łkał z radości. Ojciec go podniósł i wciąż po głowie gładząc, do izby z nim wszedł.

— Maryjko — rzekł — chłopak z biedy wrócił... Daj mu miskę strawy, a potem odzież czystą i bieliznę.

— Nie z biedy, z aresztu — Andrzej gniewnie wtrącił.

— Powiedziałem z biedy — i basta! Jak ja nie karzę — wam do niego zasię!

Umilkli wszyscy, tylko Wawer się odezwał wesoło:

— Ojciec na starość ze srogości ustąpił. Jak my w jego latach byli, inny rygor rządził. Dziękuj Bogu Marcin, żeś wtedy jeszcze w kołysce królował.

— Inne czasy, inny rygor — Jan lakonicznie wygłosił, siadając znowu na ławie.

— Siadaj i ty Rozalko — powtórzył z widoczną ujmą w głosie.

— Dziękuję, nie głodnam. Zostańcie zdrowi!

— A dalibóg, nie puszczę! — zawołał Wawer, zrywając się i zastępując jej drogę.

— Uciekacie, jakbyście do wrogów przyszli. A toć Maryjce w tej chacie swojsko — dodał Andrzej wesoło.

— Rzadki z was gość, to choć siłą zatrzymamy — Piotr wtrącił.

Obstąpili ją progu wszyscy.

— Ej, to ją tak kawaler płoszy — zażartowała siostra.

Ogólny śmiech przyjął uwagę.

— A toż cię nie zje!

— Ktoby taką ładną dziewczynę jadł? Ino popatrzeć i oblizać się — zaprzeczył Wawer.

Rozalka wreszcie uległa. Posadzono ją u stołu. Jan jej sam chleb i misę podsunął.

— A Krystof doma? — spytał.

— Na robocie.

— Coś on zmarkotniał temi czasy.

— Niewesoła dola bez roli, bez konia, bez chleba.

— I bez Magdalenki — wtrąciła Maryjka.

— Oj, tyle biedy! — Andrzej się odezwał. — Jesienią swaty pośle, to mu ją dadzą. Żadna osobliwość.

— Nie dadzą! — szepnęła Rozalka. — Szluguris już się upewnił. Głośno opowiada.

— Moc wesel tej jesieni będzie — zaczęła wyliczać Piotrowa. — Brodacz krawcównę bierze, a Józefów młodsza do Wisborów idzie. To dwa, a wdowiec Bukutis myśli drugą żonę brać, to trzy. U Szlugurisów będzie też huczne wesele, u Szwedasów to chyba dwa.

— Jakie dwa?

— Ano, Magdalenki i Jurgisa... Stary Rozalkę już jakby za synową miał, a Jurgis wczoraj cały wieczór pod oknem u niej przegadał. Ot, jak się dziewczyna mieni. Pewnieście sobie przyrzekli.

Rozalka pod ogniem wszystkich ciekawych spojrzeń ponsowa się stała, ale oczu nie spuściła.

— Plotki to — odparła, ramionami ruszając. — Jurgis za matczynym interesem zaszedł, o robotę pytał. Pozatem pasek sobie kupił i trochę zabawił, Krystofa nadczekując. Szwedas takiej hołoty, jak moja, nie patrzy.

— Ale statku twego i pracy — rzekł Jan.

— I krasy! — dorzucił Wawer.

— Kraśniejszych nie przeliczyć w Karewiszkach — obojętnie zaprzeczyła.

Skończono wieczerzę. Wstała pierwsza Maryjka statki sprzątać, wstali za nią wszyscy i modlitwę zmówiwszy, staremu gromadnie podziękowali. Zbliżył

się do niego i Marcin, który przy starszych cicho siedział i pocałował go w rękę.

— Ojciec — rzekł — pójdę do koni już. A jak mnie te służby za tę biedę przepędzą?

— Pięknie przeproś, a jak to nie pomoże, przychodź śmiało do chaty. Karać nie będę i chleba nie poskapię.

— Ale — oburzył się Wawer — co on tam ma poniewierać się po cudzych obowiązkach. Albo my to od pana nie bogatsi? Dostyc biedy — będziecie panować.

— Służba nie hańba — stary zaprzeczył. — A chleb, im ciężej zdobyty, smaczniejszy. Dał Bóg dostatki, chwała Jemu, ale pracować do śmierci trzeba. Dwór bez nas, a my bez dworu się nie obejdziemy — takie z wysoka ustanowienie jest. Niech chłopak służy, jak przedtem, a my, choć dzięki tobie bez najmu przeżyć zdołamy, skoro do żniw dworskich poproszą, jako zwykle, gromadą ruszymy.

— A rozumie się — jednogłośnie Piotr i Andrzej potwierdzili.

— Oho, jabym i palcem nie ruszył. Albo mi to pańszczyzna? Jakby wieś rąk i potu tym polom pańskim nie dała, dwórby nasz był — i zginął.

— Nie daj nam, Boże, cudzą krzywdą się bogacić!

— Tak na wielkim świecie jest; świat długo pańskim był, a teraz czas, by się stał chłopskim. W Ameryce chłopci panują.

— Nie wiem, jak w Ameryce jest. U nas dwór od wieków był, panowie, jak my, na ziemi swej wzrosli. Każdemu, jako matka, ta ziemia droga — i nam, i im. I oni teraz równą biedę z nami cierpią, w jednym kościele Bogu troski zanoszą. My ich nie zgubimy.

— Jako zwykle usłużymy, bo nijakiej krzywdy nie mamy — za ojcem starsi synowie rzekli.

Rozalka poczęła się żegnać, starego Jana pocałowała w rękę, innym skinęła głową. Wawer po kapeluszu sięgnął.

— Odprowadzę was trochę — rzekł — bo mi po drodze do Szlugurisów wstąpić trzeba.

Nie odrzekła nic i w progu jeszcze nabożnie pozdrowiwszy, wyszła za wrota.

— Rychło odjeżdżacie do Niemców? — spytała go po drodze.

— Jeszcze zabawię — odparł. — Prawo na ziemię gotowe, ale ojciec uprosił, bym jeszcze drzewo na budowlę kupił i na miejsce dostawił. Trzeba starymu dogodzić, żeby bardzo nie lamentował. Nudno tu, ale nic nie poradzisz.

— Bezcynnemu zawsze nudno.

— Mnie dziw, żeście z miasta tutaj wrócili.

— Czemu dziw? Jako do matki, wracałam, do swojej chaty, jako do rodziny, do swoich ludzi. Obczyzna mnie gniotła, jak grobowy kamień... Chłopską mam naturę — nie taką, jak wy.

— Bo was serce ciągnęło. Kochanie zostawiliście. Żebym ja dziewczynę wybraną odjechał, tobym też wrócił.

— Kochanie różne bywa.

— Wasze dobre! Wam z oczu patrzy, że miłować umiecie. Uroda od was aż bije!

W ciemności oczy mu zabłyśły. Spostrzegła to, obejrzała się i przyśpieszyła kroku.

— Szkoda was dla Jurgisa Szwedasa.

— Czemu? Chłop on, jako ja i pracowity i stateczny.

— Lubicie go?

— A czemu nie? Szanuje mnie i nigdy od niego złego słowa nie posłyszała. Ot i do Szlugurisów zawrotka, bywajcie zdrowi.

— Nie śpieszy mi się. Może Jurgis pod oknami u was wystawać, możecie wieczorem u Rufina bywać, to mogę i ja was do chaty odprowadzić.

— Idźcie swoją drogą, a ja swoją. Mnie takiej kompanji nie trzeba. Idźcie do Magdalenki bałamuctwa prawić.



— Mnie do was ochota. Nie zostanie znaku, jak mi buziaka dacie.

— Wstydu nie macie tak gadać, narzeczonym będąc.

— Bóg wysoko, a panna daleko! — ze śmiechem odparł.

— Tak wam się zda, a mnie inaczej. Idźcie swoją drogą.

— Pójdę, jak na swoim postawię.

Dziewczyna naprawdę się złąła jego zuchwalstwa i złych oczu. Już prawie biegła, a on nie ustawał. Minęli całą wieś, dochodzili do jej chaty. Stała u furtki zdyszana.

— Odejdźcie sobie — zawołała gniewnie.

On zamiast odpowiedzi wpeł ją ramieniem ogarnął, do twarzy się pochylał. Podniosła wtedy rękę i dała mu ognisty policzek.

— Precz! Do Niemkini, zaprząncze! Do miastowych dziewczek! — zawołała głuchym od złości i zmęczenia głosem.

Zachwiał się odrazu, ale taki zawzięty, nie puścił jej. W jedną żelazną dłoń obie ręce uchwycił i jak w kleszczach, ścisnął. Teraz była na jego łasce. Odchyliła twarz, ale on ją w szyję, we włosy całował, nic nie mówiąc.

— Puście! — zaczęła, wydzierając się z sił całych.

— Nie męcz się próżno — rzekł. — Było po woli, na prośbę buziaka dać. Bijesz, za to po niewoli pocałuję.

— Wstyd wam i hańba!

— Niech sobie będzie! Nigbym w życiu do nikogo takiej ochoty nie czuł, jak do ciebie. Czego się boisz? Krzywdy ci nie robię, a wycałować muszę.

— Ja się was nie boję, ale nie cierpię. Puście!

— Za co nie cierpisz?

— Boście podli! Nie dochowaliście nikomu wiary i niktzemność z sobą przynieśliście! Tak wami się brzydzę, jak gadem!

Ramię jego opadło i dłoń puściła jej ręce. Uwolniona, skoczyła do chaty i zamknęła się w niej. A on, jak oszołomiony i zawstydzony, chwilę stał, potem zawrócił do wsi, nie gwizdząc, jak swykle. Sam nie wiedział, dlaczego wstyd mu się zrobiło, i tym triumfem nad Rozalką nikomu się nie pochwalił.

A Marcinek tymczasem do domu pobiegł. Tęskno mu było do swych koni, do skrzypek, do szłasasu. Z wieczora jeszcze przed panem stanął i pokornie ręce ucałował, przepraszając. Pan zrazu krzyczał, karę zapowiadał, nareszcie jednak po ramieniu go poklepał i łaskawie uwolnił. O świcie już chłopak, wesoło z bata paląc, stadninę pognął na zwykłe pastwisko.

Szałas znalazł pusty. Chleb jego ktoś zabrał, słomę deszcz przemoczył, garnuszek przepadł, a skrzypki zamokłe pękły i grać nie chciały.

Strapiony chłopak do ptasząt swych w odwiedziny poszedł, ale gniazdko tylko puste zastał. Wylcieli jego wychowańcy tymczasem, a może je kot pożarł, bo i starej nie było w pobliżu. Domek ten malutki, z perzu i piór sklecony, Marcinek w ręce wzięty, obejrzał i na płacz mu się zbierało. Tak je hodował i patrzył, a one mu nawet nie zaśpiewały na pożegnanie!...

## VI

Nadeszły żniwa. Na dworski łąn wyległy pełnego dnia całe Karewiszki, bo dzień to był taki, że zabobon zabraniał u siebie robić, a z wieczora w wigilję pan sam wieś przeszedł, prosząc o pomoc. Stawili się bezmała wszyscy, od najbogatszych do najbiedniejszych, od starych do młodych. U Didelisów Jan tylko sam został z dziećmi. Synowie z żonami do świtu jeszcze poszli, po drodze zabierając sąsiadów i krewnych. Był to jakby fest to żniwo we dworze. Mężczyźni wdziali śnieżne koszule, najaskrawsze spódnice

dziewczęta i jak na tańce, powpinały rutę w warkocze. Było jakby święto, bo nawet Krystof Jodas się zjawił z kosą, a Rozalka warsztat opuściła.

Ustawili się kosiarze, jak żurawie, długim kluczem; ciągnęły się za nimi kobiety, garście złotych kłosów zbierając, snopy wiążąc, a w końcu starzy i wyrostki gromady składali kopki wzdłuż ogołoconych zagonów. Od pola tego szmer szedł, jak od roju szarańczy. Chrzęsty zboża, kos brzęczenie, szumy kłosów setnych. Czasem kosy stawały, do słońca błyszcząc, nieruchome, a ogarniał wszelkie odgłosy śpiew chóralny, któremu wnet kobiety podpowiadały drugą zwrotkę, a starzy basem wtórzili. Jakby motyle to pole obsiadły, tak się mieniło całe, tak ruszało się, jak żywe. Dworski łąn w tem miejscu Kirszniawa oddzielała od owego szmatu roli, sprzedanego Didelisom. Cztery świeże kopce świeciły zdaleka, a na wzgórku piętrzył się stos budulca. Co rana Wawer na to pole szedł, dozorował pomiaru i opalowania, zwózki drzewa i kamieni na fundamenta. Już miesiąc upłynął, a on jeszcze bawił.

Ze Szczecina przychodziły listy, wzywające go do powrotu. Odpisywał tłómacząc zwłokę rodzinnymi sprawami, zwlekał co tydzień z wyjazdem. Robotę miał teraz. Ten kawał ziemi, za krwawy grosz dwunastoletniej pracy ojcu kupiony, stał się dlań drogim; coś go z rana ciągnęło na ten wzgórek za krynica, spędzać zwykł na nim dni całe. Zajęcie przeciągało się, obejmowało nieznacznie jego myślenie i chęci.

Do pracy ręcznej się nie brał, ale przyglądał się jej chętnie. Cieszyło go to, gdy pole rozdzielono na trzy części, jedną bracia i sąsiedzi zaorali pługami na jesienny zasiew; zajmowała go każda sztuka drzewa, przywieziona z lasu, raz nawet wspomniał ojcu o nwozie, który gdzieś kupić należało, i namawiał do kupna paru koni i krów na zimę.

Ze wzgórka widział całą posiadłość: łączkę, regularne skiby świeżo ruszonej ziemi, pastwisko, gdzie bratnie bydło się pasło. Dalej Piłkalnis stary, a w prawo

gościniec i najbliższą, Jodasów zagrodę, skąd stuk warsztatu Rozalki od świtu do zmierzchu się rozlegał i skąd co rano ciężkim krokiem ponury Krystof do niego szedł drzewo sprawiać i ciosać. Rankiem od Kirszniawy para się wznosiła, jak dym białawy, potem dzień długi skwarem palił i znowu wieczorem mgły wstawały, a orna rola wydawała z siebie surowy, czerstwy zapach.

Zachodzili do niego gospodarze ze wsi, podziwiając i chwając tę ziemię, a on się uśmiechał radośnie.

Odwiedził go kiedyś sam pan nawet, rozmawiał z godzinę przyjaźnie, a raz z wieczora ze starym Janem pleban przyszedł obejrzeć nabytek i miejsce na kapliczkę opatrzyć.

Zasiedli we trzech na ociosanej belce.

— Ziemia się ta cieszy, cieszy — mówił kołodziej, a twarz jego, do poważnej zadumy nawykła, wygładziła się dziecięcą radością. — Cieszy się, bo nie będzie jej najemnik kaleczył, dzierżawca, jak pijawka, ssał. Będzie ją sam właściciel pielęgnował, pieścił. Będzie nią oczy pasł i jako matkę szanował.

— Bo i matka to jest — ksiądz dodał. — Widzicie, jak ona dzieci, póki małe, chlebem karmi, lnem odziewa, żeby potem, jak dorosną, opieką i chlubą jej byli. Wawra waszego ona się nie powstydzi.

A Wawer milczał, bo mu wstyd było zaprzeczyć.

Wieczorem wracał jakiś rozmarzony. Bywało, że i o Szczecinie zapominał, tak mu ta wieś stała się swojską, ludzie znajomi, tak do ścieżek tych i zagród przywyknął. Odnalazł mowę czystą, jakby nigdy innej nie używał, i nierzadko do chóru młodzieży stawał, pieśń prostą, chłopską z innymi śpiewając.

U Butkisa na tańcach pierwszy był, a w chacie poznał wszystkie kłopoty i troski, zaprzyjaźnił się z dziećmi, ze zwierzęty domowemi, ze sprzętami nawet.

W ów dzień dworskiego żniwa ze wzgórką swego widział ich wszystkich, jak na dłoni. Rozróżniał twarze kosiarzy, poznawał kobiety, słyszał słowa pieśni.

Kto nie zaostrzył wczas kosy  
I nie skąpał wśród rosy,  
Temu suchą wiatr trawę  
Sprzątnie jak przez zabawę.  
Hulajże, koso, hulaj!  
Do kwiatów się przytulaj!

Powoli zaczął schodzić ku rzece. Przebrodził ją, na pole wszedł, zbliżył się ku pracującym.

— *Podiek Dewo!* (Pomagaj, Boże!) — pozdrowił.

— Mógłbyś i ty mnie pomóc, bom od machania i śpiewu dech stracił — zaśmiał się Szluguris.

Zaśmiali się wszyscy kosiarze.

— A toby on nam nogi poucinał! Pewnie, jak żyje, kosy garści nie trzymał.

— Trzymać trzymałem, będzie temu lat dwa-naście. Andrzej zaświadczy. On mnie uczył.

— Miałeś czas zapomnieć — odparł brat, zatrzymując się, by kosę poklepać.

— A dajno! Spróbuję... — zaśmiał się, podchodząc.

Obejrzeni się ciekawie wszyscy.

On kosę ujął, zamachnął, śmignął raz i drugi.

— A doprawdy, zdatny! — chwalono. — Ino się prędko zmęczy, bo nie zwykł.

— Poczekajcie, nim powiecie — odparł urażony.

Zrzucił surdut i stanął, jak reszta w kamizelce i koszuli. Tylko koszulę miał bielszą i krawat ze złotą szpileczką, która migiała w słońcu. W szeregu miejsce zajął i kosił nie gorzej od innych. Znoj mu wystąpił czerwienią na policzkach i żyłami grubemi na szyi i skroni.

— Zuch z ciebie wszędzie — rzekł Andrzej po chwili. — Ale dosyć sławy! Ustąp mi!

— Niechaj! Ochotę mam. Garście ty zbieraj, a Maryjka niech spocznie.

Andrzej usłuchał, a Maryjka do krzyczącego na między Wawrzyńca pobiegła, rada wytchnieniu.

Robota szła żywo. Od dworu pan sam nadjechał, konia rzucił i pieszo szeregi pracujących obchodził, chwając i żartując.

— I Krystof tutaj i tkaczka sławna nasza! Wielkiego honoru moje żyto dostało. Taki dzień wart poczęstunku!

— Wszyscyśmy tu! — odparł Szluguris. — Żeby Rufin nogi miał, toby i on swoje *apasztaluki* (apostołów) rzucił i z nami biegał, bo we wsi teraz, jakby mór przeszedł.

Pan teraz wprost Wawra stanął i patrzył, oczom nie wierząc.

— Co? I mój kupiec tutaj? To już przednia osobliwość! To wy, Karewis, i kosić umiecie?

— Co zobaczę to i umiem.

— To was w dwójnasób szanuję, żeście w pomyslności pychy nie nabrali!

Poszedł dalej między kobiety i żartował:

— Starajcie się, dziewczątka! Takiego kawalera we wsi macie, że przed nim się pochwalić trzeba.

Magdalenka wyprostowała się, zawsze śmiejąca.

— Staralybyśmy się, panie, żeby korzyść była. Ale ten kawaler na nas nie patrzy. Ma on już swoją pannę w mieście, może i nie urodniejszą od nas, ale całą ze złota i Niemkinią!

— A kłamiesz! — Wawer zaprzeczył. — Jeszczem ani jednej z was nie puścił, żeby nie popatrzeć.

— Co tam z twego patrzenia? Żebyś na zapowiedzi dał, tobyś chwacki kawaler się nazywał!

— A dam, tylko nie ze wszystkimi, tylko z jedną. W Karewiszkach i beze mnie chłopców nie brak. Ot, niedaleko ciebie Jonas, Petras, Krystof!

— Siła złego — lekceważąco odparła.

Jodas, za którym garście zbierała, obejrzał się i pierwsze tego dnia słowo rzekł:

— Nie bałamuć, a rób!

— Ty mnie nie napędzaj! — oburzyła się. — Tak się za innymi wleciesz, jak senny, a drugim

przyganasz. Rozalka, zbieraj sobie za nim, ja weselszej kompanji poszukam.

Rozalka znalazła się obok Wawra. On na nią nawet nie spojrział i dalej ze Szwedasówną się droczył.

Od owego wieczora nie gadali do siebie, a spotkawszy przypadkiem, on tylko kapelusza uchylał i nie pozdrowiał nawet. Zapanowała między nimi głucha złość i niechęć.

Dziewczynie na wspomnienie owych zniewolonych pocałunków ze wstydu twarz pałała. On jej darował policzek, lecz nie zapomniał zarzutu niewiary i podłości.

Kosiarze dokończyli zagonów, wbili kosy rękojeścią w ziemię i odetchnęli chwilę. Szluguris wnet śpiewać zaczął i Wawer z innymi zawtórował:

Konno w świat jadąc, pytam skowronka,  
Gdzie jest dziewczyna, przysłała ma żonka?  
Po czym ją poznam, gdzie ona mieszka,  
Jaka do chaty jej wiedzie ścieżka?

Mijam podwórze: nie zamiatane;  
Spoglądam w okno: płótno nie tkane.  
A ptaszek śpiewa:  
Nie tu twa dziewa!  
Czyściocha tkaczka,  
Prządka, śpiewaczka!

Przy ostatnich słowach brzękły kosy w takt, równo, potem jednocześnie śmignęły błyszczącym ostrzem po ziemi. Skwar panował nie do zniesienia. Kobiety przyniosły wody z rzeczki i podawały dzbany braciom i mężom. Starzy spoglądali ku niebu i wróżyli burzę na wieczór. To dodawało pośpiechu.

I Wawer spocony, z zaschłym gardłem, kosy jednak z garści nie wypuścił. Obudziła się w nim duma wiejskiego parobka, chęć pochwalenia się kobietom siłą i zręcznością. Przypadkiem wiązałnice się zmieszaly, a za nim znalazła się Rozalka. Tej napędzać nie było trzeba, zwinna była i niestrudzona, ale on począł machać wściekle i dziewczyna nie zdołała na-

dążyć. Jakby zrozumiała jego chęć, śpieszyła gorączkowo, ale już w połowie zagona przystanąła. Nie chciała mu nic rzec, więc blada ze zmęczenia, ze zbolałym od nachylania karkiem i drżącymi rękami, wiązała snopy mozolnie.

Towarzyszki zaczęły z niej żartować.

— A wstyd! Niemcowi nie możesz nadażyć!

— Rączkiś białe przy warsztacie wypieściła i liczko, jak u panienki. Staraj się, staraj, Niemkini daleko!

— Może cię o rutę do wianka poprosi!

Tu Jurgis Szwedas za dziewczyną się ujął, chłopak mizerny, wątły, łagodny.

— A wstydby karewiskim parobkom było, żeby taką pracownicę Niemcowi oddali.

Dziewczęta zaczęły szeptać i chichotać, a Wawer zuchwale głowę podniósł.

— Albo to was Niemiec o pozwolenie pytać będzie, jak zechce?

Dokończył zagona, kosę wbił w ziemię, obrócił się i począł garście wiązać.

— Hej tam, wy! — do kosiarzy krzyknął. — A bywajcie! Już ja i za siebie i za dziewczuchę zrobię, nim zdążycie do miedzy!

— Oho, wyhodowałeś się, podczas gdy nas trud i bieda żarła — Krystof ponuro się odezwał.

Wawer szyderczo się zaśmiał.

— A wyhodowałem się — rzekł, snop, jak piórko, rzucając na gromadę. — Hodowały mnie takie burze, co gwałtem do zguby ciągną, pieściły mnie po grzbiecie smolne powrozy, gładziły mi ręce liny śliskie, po których aż het, pod niebo szła droga! Z hodowania takiego tybyś nie wrócił, a chorób i biedy, co mnie żarły, to i we snach nie doznasz...

Rozalka spojrzała ukradkiem na niego.

Poczucie własnej siły i wartości, wspomnienie tych walk i zwycięstw wypiękniły go nawet w jej oczach. Zrozumiała żal Rufina za nim, gdy go ta ziemia straci znowu i na zawsze...



Stały kobiety wszystkie i z pękami kłosów w rękach wpatrywały się weń młodsze z lubością i zachwytem, starsze z żalem nad chłopakiem. On głowę odkrył i ocierając pot, mówił dalej:

— Wy myślicie, że wasz znój ciężki, że wasz trud drogi? To i fraszka pracować pod tem słońcem, co ledwie grzeje, na czystem, zdrowem polu! Nie widziałeś, Krystofie, tych, jak piekło, gorejących czeluści kotłów parowych, gdzie żar skórę smali, a pot, jak wrzątek, paruje. Nie kładłeś się spać w norze pełnej robactwa, ino na białej pościeli, rękami siostry wysłanej w chacie; nie opadała z ciebie odzież, nigdy nieprana i niełatana, nie znęcali się nad tobą obcy, boś ojca miał i swoich wokoło.

— Ale ci się męka opłaciła, a nam co?

— Opłaciła się, bom nie jadł, a myślał, bom nie spał, a uczył się, bom taką wściekłą zawziętość miał i taką wolę bezmierną wyżej pojsć, żem ani na cal nie ustąpił, ani na chwilę nie zwątpił, ani jednej złej myśli do siebie nie dopuścił. Myślicie, że jabym i tu na jednym zagonie życie strawił, jak wy?

— A cobyś zrobił? — zagadnął któryś ze starych. Wawer szeroko ręką w dal zamachnął.

— Jako te łany idą, wszystkoby od pana dla wsi wziął!

— Chyba gwałtem — Szluguris się zaśmiał.

— Gwałtem głupcy wojują, a rozumni głową! Jabym tak zrobił, że nie panby nam za pot płacił, ale my panu za ziemię. Byłoby wtedy na czem pracować i kołaczę całą zimę i lato pożywać!

— W dzierzawę wziąć? — wtrącił stary gospodarz.

— A w dzierzawę — Wawer potwierdził.

— Siła trzeba pieniędzy!

— Siła też was jest.

— Oj, głowy na ten interes trzeba, coby wszystkimi rękami kierowała!

— Ale mowę on rozumną mówi. Oj, rozumną!

Zajęła ich ta myśl mocno. Oczy chłopskie, nad złoto ziemi chciwsze, po polach powiedli. Po tłumie jakby drzenie przebiegło.

— Chcecie pić? — niespodzianie Rozalka się odezwała.

Spuścił ku niej wzrok, zdziwiony tą przyjazną propozycją.

Trzymała dzbanek w ręku i patrzyła pocziwie.

— Dziękuję — odparł ciszej, tak, że ona tylko słyszała. — Utraktowaliście mnie do syta obelgami... Pewnie i woda wasza, jak z morza, gorzka i słona...

Dziewczyna poczerwieniała z przykrości, naczynie odstawiła na bok i nad pokosem się schyliła. Wtedy on poczuł, że ją upokarza przed ludźmi, co widzieli jej ruch i odmowę jego. Pochylił się, dzbanek wziął i począł pić chciwie.

— Bóg zapłać — rzekł, dzbanek jej oddając.

— Za gorzką wodę nie warto — mruknęła.

Spojrzeli po sobie i może na jednakie wspomnienie pokraśnili równocześnie.

— Zameczyłem was dzisiaj, już więcej nie będę — rzekł.

— Samiście potem dopomogli — odparła, ostatni snop wiążąc.

Kosiarze dopędzili Wawra i stanęli. Czas był na obiad właśnie, ale zamiast spocząć i posilić się, skupili się i gadali, rękami, oczami na dworskie pola wskazując. Wawer im rzucił myśl rozkoszną, jasną, co może kiedy mglista pod niejednym czołem majaczyła, nie znajdując określenia i wyrazu. Teraz ogarniała ich, jak czary, podniecała, jak trunek.

Przybiegł ekonom od dworu, na poczęstunek ich wzywając. Opieszale poszli, bez śpiewu i śmiechu, swobodniej było mówić, milej na tę ziemię patrzeć. Wawer do dworu nie poszedł, ale do Marcinka, który do swych ludzi z pastwiska przybiegł i kosić próbował. Starszy brat przyglądał mu się i kierował radą. Śpiącego na miedzy Maryjki dzieciaka ostrożnie na ręce wziął i kołysał delikatnie.

Wśród zbóż stojąc i rozmawiając chłopską mową, ten mężczyzna zgrabny i jak pan ubrany, wyrostek bosi i śniady, ze szkaplerzem na źle osłoniętej płótnianką piersi i to dziecko w lnianej, grubej koszulini i czerwonej na główce czapeczce, stanowili obrazek pełen kontrastów. Nie powiedziała by nikt, ich widząc, że jedna chata ich zrodziła i wykarmiła. Maryjka, widząc ich zdaleka, splasnęła rękami i przybiegła zdyszana, krzycząc i śmiejąc się naprzemian.

— O Jezu!... Jeszcze go upuścisz, mego robaka!  
— wołała.

— Albow to taki słaby, czy niezdarny Tak jak w kołysce, śpi, ino się od much krzywi. Rzuciłaś go na miedzy, to podniosłem.

— Dobry z ciebie ojciec będzie. Z dziećmi się, jak najlepsza piastunka, obchodzisz. Aleś głodny! Chcesz, skoczę do chaty i chłodnego mleka ci przyniosę? I tak z twojej łaski nic nie robię dzisiaj.

— Wieczorem zjem, teraz dalej do kosy!

Dziecko jej oddał, obejrzał się po tłumie robotnic.

— Boicie się już, Rozalko, niemieckiej roboty? — zawołał.

— Nie. Wytrwacie wy, wytrwam i ja — odrzekła, stając za nim.

— Do wieczora nikt nie wytrwa — wtrącił Krystof. — Burza idzie cwałem, za godzinę tu będzie.

— I prędzej nawet. Trza się śpieszyć. Dajno, Marcin, kosę!

Wysunął się naprzód Wawer, jak żurawie za nim inni.

Po chwili wiatr się podniósł suchy i duszący, zrywając piasek z gościńca; jaskółki, piszcząc, spadały nad głowami. Z za lasu wyjrzała, jak głowa potworna, chmura szaro-siwa. Już nie cwałem, ale ptaka lotem pędziła burza; już nietylko głowę chmury widać było, ale cały kadłub, jakby bestji, która wnet dostała skrzydeł potężnych, poszarpanych, jak nietoperze, ogarniała niemi z końca w koniec niebios. Wichur przeszedł w huragan, giął drzewa, ciche przed

chwilą łany zbóż szamotał, jak morza fale i bałwany.

Żniwiarze stanęli. Wicher ich tłukł w piersi, szarpał odzież, odkrywał głowy, rozwiewał włosy. Kobiety rzuciły się pierwsze do odwrotu, krzycząc przeraźliwie w obawie o swoje stroje. Mężczyźni, śmiejąc się z tego popłochu, wzięli też surduty i kosy na ramiona, opuszczali tak gwarny przed chwilą łan. Tłum ten ku rzece zmierzał, która ledwie widocznie w niektórych miejscach sączyła się po białym żwirze. A wtem padły pierwsze krople deszczu i jeszcze daleki grom. Wtedy zaczęli wszyscy biec, wyprzedzając się, śmiejąc, chłopcy gonili dziewczęta, kobiety starsze zęgały się pobożnie, gospodarze z niepokojem spoglądali w niebo.

— Broń Boże nieszczęścia — szeptali.

Dopadli wsi i zaczęli się po zagrodach rozbiegać, a wtem drugi i trzeci grom padł już bliższy i deszcz lunął strumieniem. Ale już wszyscy prawie byli pod strzechą.

U Didelisów Jan stary nie na burzę patrzył, ale na swego Wawra, który z braćmi wpadł, jak z pola zszedł, z surdudem na rękę, z kosą w garści, spocony, zdyszany.

— A ty, synku, gdzie był? — spytał.

— Kosilem za Andrzeja — odparł, białemi zębami błyskając w uśmiechu.

— Kosił, bezmała od ranka — potwierdził Andrzej.

— A jak jeszcze! Za dwóch! Jakby z rodu nic innego nie robił! — dodał Piotr z chlubą.

Kołodziej za głowę go rękami objął i do piersi przygarnął.

— Takiś ty zuch wszędy! — radośnie się uśmiechnął.

Błyskawica zajrzała do izby, rażąc oczy.

— Zamknijcie, kobiety, drzwi i komin — Andrzej krzyknął.

W izbie było prawie czarno. Zapalono gromnicę i garść ziół Maryjka rzuciła na węgle. Dzieci poczęły płakać, a starsi pacierz głośno odmawiać.

Chata ich tyle lat i burz przestała. Czyż już dzisiaj ma jej być ostatni dzień?

Znowu błysnęło tak strasznie, że aż wzdrygnęli się wszyscy, a równocześnie prawie rozległ się huk, jakby świat cały w sztuki druzgotał.

Kobiety popadały na ziemię, Wawer do okna poskoczył. Chwilę zdało mu się, że bez wypadku minęło, ale wnet się zerwał i do drzwi rzucił.

— Szwedasów gumno gore! — krzyknął, wypadając na podwórze.

A już się i we wsi gwałt podnosił. Szwedasowie w samym sercu wsi mieszkali, w miejscu najgęściej zabudowanym. Gumno, słomą kryte, zajęło się jak smolna pochodnia i gorzało pomimo deszczu, jakby z nieba nie woda szła, ale płyn ognisty.

Zewsząd na łunę ludzie biegli, lamentując i włosy drąc, wnet cała wieś się zbiegła, obstępiała pożar, który, wpadłszy do siana, szalał, roznosząc na wsze strony płonące snopki.

Ratować nikt nie myślał i nie zaczynał, bo nie pozwalał obyczaj niebieski ogień gasić. A wtem Wawer zagrody dopadł, rozpychając tłum kobiet i dzieci.

— Wody! — wrzasnął. — Siekiery! Płoty rąbać! Na dachy!

— Boży dopust! Niech ginie! — ktoś z gromady się ozwał.

— Ty sam giń z twoją głupią mową! — młody człowiek krzyknął.

Do siostry się zwrócił, która we drzwiach chaty stała, oniemiała ze strachu i zgrozy, najmniejsze dziecko do piersi tuląc.

— Hej, Barbaro! Czekasz, aż ci się dzieci popieką, a ty, szwagrze, aż ci węgły ogień zje!... Siekiery!

Szwedas starszy, pociągnięty energją tego głosu, siekierę z izby wyniósł. Wawer mu ją z rąk wydarł, pod ścianę palącą prawie się podsunął, zaczął zajadle płot rąbać.

— Jurgis, do mnie! Prędezej!

Szwedas przyskoczył, zaczęli we dwóch walić słupy, odbijać żerdzie. Dym ich oślepił i dusił. Jurgis odstąpił wreszcie, nie mogąc wystrzymać żaru.

Wawer jak potępieniec się zwijał.

Zwaliwszy płot, do chlewów najbliższych się rzucił, na które wiatr niósł płomień, iskry i żuźle. Siekierę rzucił, chwycił widły od siana, jak kot na strzechę się wdrapał, począł snopki obrywać, zrzucać.

— Ludzie, wody! — krzyknął, ochrypli, na pół zduszony. — Jak to ogień zajmie, pół wsi z dymem pójdzie. Nie widzicie? Toć wicher na Szlugurisów idzie i na krawca Bakutisa. Ratunek dajcie, póki czas! Dawajcie wiadra, niech kto tu do mnie skoczy! Strzechę trzeba całą obedrzeć.

Usłuchał go pierwszy Marcinek i pierwsze wiadro lunął na ścianę, tak wysoko, jak mu sił starczyło.

Ruszyła się za nim reszta, pociągnięta odwagą i energją. Kilku młodych na dach do Wawra starało się dostać, ale żarem owiani, dymem ogarnięci, zaniechali, z dołu, z boku dach szarpiąc.

On wytrwał. Podano mu na drągach mokre płachty, miotły, maczane w wodzie. Na samym szczycie stojąc, sto razy mogąc spaść nadół, uczepiony, niewiadomo jak, do krokwi i łąt, o krok od płonącego gumna, wśród płomieni prawie i dymem ogarnięty, zwijał się, jak szatan. Popaloną miał koszulę i włosy, osmaloną twarz, głos już do ludzkiego nie był podobny, gdy nie przestawał komenderować:

— Z rąk do rąk wiadra! Szeregiem stańcie od studni, a reszta ziemię na gumno rzucajcie! Prędziej! Jonas, do wiadra sznur uwiąż i mnie tu rzuć! Wody trzeba, wody, wody!

Wreszcie już mu głosu nie stało, poczuł zawrót głowy, wzrok mu się mącił, zakrzuszył się dymem.

— Zejdźcie, nie wytrzymacie! — zaczęto doń wołać.

— Zejdz, zejdz! — wołali bracia i ojciec.

Ale to go tylko podniecało do większego jeszcze zuchwalstwa. Sznur rzucony chwycił w powietrzu,

wiadro wody wciągnął i z zamachem po dachu lunął. Rękami chwycił żuźle i gorejące snopki, nogami odrzucał główne, zawziął się, jak on to umiał i czynił w zawodzie swoim niebezpiecznym. Ale już mu sto rąk pomagało, i ogień sto razy od chlewu odegnany, skupił się na gumnie, objadając je do gruntu, do ziemi. I deszcz się wzmógł, z sykiem i świstem obryzgując płomienie, w które też padały garście ziemi, błota, kamieni. Już teraz kto żył, do dzieci małych nawet, ratował, jak mógł i umiał. Lament przechodził w okrzyki zwycięstwa i ulgi.

Wtedy Wawer zaczął schodzić z dachu, nareszcie za ścianę się chwycił i spadł. Musiał na chwilę zemdleć, bo nie pamiętał, jak się u studni znalazł i jak mu pić dano. Gdy się przytomnie rozejrzał, już tylko dymiły zgliszcza, czarna kupa popiołów, nad którą resztki opalonych słupów sterczały.

— A co? Nasza prawda! — zawołał, stając na nogi.

— A twoja! Własną skórą wieś uratował! — zaczęto krzyczeć.

— Nie skórą, jeno sierścią! — odparł, dotykając głowy i twarzy.

Nawet brwi i rzęsy miał posmolone, a na ramionach i rękach czarne opalenizny. Śmiał się jednak lekceważąco.

— Zagoi się do wesela. Nic to. Zgliszcza jednak, szwagrze, pilnujcie, bo złe to i zawzięte. Do trzech dni nie stłumicie.

Do pogorzeli przystąpił i oglądał ją z triumfem.

— Ty, bestjo! — zawołał, kamień w środek zgliszcz rzucając. — Chciałaś ludziom ich węgły i pracę wziąć. Niedoczekanie twoje! Łykaj teraz wodę!

Obstąpili go gospodarze, za ręce ściskając i dziękując. Rósł w dumę stary Jan i rozmiłowanemi oczyma wodził za swoim bohaterem, Szluguris i Bakutis częstowali go tabaczką, winszowali pociechy, a Jurgis Szwedas głos podniósł i, pokazując Niemca rówieśnikom, rzekł:

— Dziw wam był, że on tam na świecie do takich zaszczytów i dostatków doszedł rękami ino i głową. Ot, czemu? Mogli my wszyscy tam w ogień pójść, a on jeden strzymał. Zatem go na plecy wziąć i do Butkisa zanieść trzeba! Hej, chłopcy!...

Porwano Wawra z ziemi, i tak jak był, w strzępach koszuli i czarnego od dymu, tak go nieśli ulicą wśród śmiechów i wiwatów. I on się śmiał, rozbawiony i dumny. Tłum za nimi pociągnął, nawet Szwedasy, straty niepomni, nawet Krystof ponury. Deszcz przechodził, i tylko już słup dymu miejsce wypadku oznaczał.

Posadzono Wawra na stole w oberży i Jurgis zawołał.

— Fetowałeś ty nas nieraz. Teraz my ciebie ufetujem. Tak pij, żebyś i pamięć stracił! Nie bój się! Odniesiemy cię do chaty ze śpiewami, jak z godów.

— Dziękuję, bracia, tylko nim pamięć stracę, dwie wam rzeczy powiem. Naprzód, że to Karewiskom wstyd, iż ani jedna chata na wodę beczki i do rozrywania zgłiszcz haka niema, a potem powiem, że za małą cenę ludzie na świecie blachę ogniową do chaty przybijają i śpią spokojnie. Takci i tutaj być powinno.

— A pewnie, pewnie, tylko na to cała wieś zgodzić się musi — potakiwali starzy. — A wieś, ile głów, tyle rozumów ma! Takci się to odwleka!

— A to Karewiskom drugi wstyd! — Wawer stanowczo zawołał.

Szwedas mu szklankę szumiącego piwa podał.

— Pij, ochotniku!

— Za wasze zdrowie, by się zła okazja nigdy nie powtórzyła, ale w niczyje ręce nie wypiję, chyba w naszego Marcinka. On to błazen, pierwszy mi na pomoc skoczył. Dajcie go tutaj na stół!

— Słusznie! Marcin bywaj!

Ale Marcinka nie było w pobliżu. Skoczyli po niego chłopcy i po dość długiem oczekiwaniu przywiedli.



Opierał się zawstydzony, przestraszony, niespokojny.

— A chodź żywo! Nie będę ci łóz liczyć, ani do chlewu zamknę! — wołał doń brat wesoło.

— Ja wiem — chłopak odparł. — Ale tam konie same, jeszcze w szkodę wpadną.

— Nic to! Dziej się, co chce! Tyś nie na koniucha zdatny, ale do czegoś lepszego. Naści, pij, a proś Boga, by cię ojciec ze mną w świat puścił, boś mi cały brat i krwią i odwagą!

Marcinek, czerwony z dumy, wypił, ale dłużej bawić nie chciał i choć go nie puszczano, jak wąż się z pośród gromady parobków wywinął i do koni uciekł. Chciano go ścigać, ale stary Jan nie pozwolił.

— Służbę niech szanuje, uszanują go ludzie — rzekł.

Zaczęła się tedy uciecha, ogłuszająca traktament wrzawa. Według programu spojono Wawra, tak że go potem parobcy na ręce wzięli i do chaty odnieśli późnym wieczorem.

Nazajutrz już wytrzeźwiony do Szwedasów rano poszedł. Pogorzel jeszcze dymiła, a gospodarze nad stratą biadali, popioły zostały z wonnego siana, budowli nie mieli za co postawić. Siostra opowiedziała mu to z płaczem, bo mężczyźni do roboty z kosami poszli, nie chcąc na zgliszcza patrzeć. Chwilę z nią pogadawszy, Wawer do kieszeni sięgnął i storublową asygnatę kobiecie za gorset wetknął:

— Weź to — rzekł. — Chowaliśmy się razem, toć nie opuścimy w złej chwili. Nie dziękuj, Barbikie! Cobym ja za brat był, żebym, mogąc, was nie poratował!...

Ucałował ją i odszedł, przeprowadzony błogosławieństwem.

O południu Szwedasy do niego przybiegli na Buble, gdzie robocie Krystofa się przyglądał. Uściskali go, jak dobrodzieja.

— Teraz ty nas, jak swoich parobków, używaj!

Czy do zwózki, czy do orania, czy do ciesiołki! — wołał szwagier uradowany.

Wieczorem już cała wieś o tem wiedziała. Dowiedział się też Rufin od Rozalki i triumfująco się uśmiechnął:

— A nie mówiłem ci, że hulanki jego to tylko szum z wiosennych wód, a pod spodem, jak krynica, dusza? A nie mówiłem ci, że, jak odejdzie nas, to jakby wieś skarb straciła? Pytałaś ty, co on przyniósł. Oj, dużo, dużo! On jeden to wszystko w sobie nosi, co piszą te książki, co je, życie ważąc, wprowadzamy do chat. Nosi on rozum i doświadczenie i młode, żywe myśli, które w każdej naszej głowie się lęgną, a potem marnieją, codziennymi troskami i ciemnotą zabite. U niego one porosły i wybująły i zły to dzień będzie, gdy on je znowu z sobą zabierze dla Niemców.

Rozalka zamyślona milczała chwilę.

— Mógłby go ojciec zatrzymać — rzekła wreszcie.

— Nie! On nie dziecko, jeno mąż! Nie zatrzyma go nic, chyba ta ziemia doń zagada, chyba ten szary proch z pod stóp. Chyba cudowne wody, chyba złote pola! A więcej nic, bo on tam wszystko ma! Litościwy on, a ziemia nasza, jak żebraczka, tylko się głośno nie skarży, więc bardzo ją umiłowac trzeba, aby szept dosłyszeć, biedę pojąć...

Jak był zwykły, zapomniał, że mówi do chłopskiej dziewczyny. Marzył głośno.

Rozalka głowę ręką podparła i słuchała nabożnie. Nauczyła się go rozumieć, wykształciła się w tem poważnem myśleniu.

Na dworze zmierzchało, przez otwarte okienko dalekie pieśni i wsi ludnej odgłosy płynęły do samotni kaleki.

Rufin umilkł i po chwili zadumy innym się głosem odezwał:

— Byłaś w Ugianach niedawno?

— Byłam. Co roku chodzę.

— A pięknie tam zawsze?

— Pięknie i wesoło. Kościół odnowiono i obraz wśród białych ścian jaśnieje.

— Chodziłem i ja kiedyś. Dubissa w dole płynie, a z góry sto strumyków do niej bieży. Z cudownej krynicy źródło, jak łąza, czyste i Chrystus się w niem z ołtarza przegląda. Kto tej się wody napije, bólów zapomina.

— Przyniosę ci tej wody, jak drugi raz pójdę!

— Przynieś, a tymczasem zaśpiewaj mi co. Ciężko śpiewać zawsze samemu.

Rozalka nie dała się prosić i wiatrom wieczornym rzuciła tęskną nutę:

O dajnos, dajniales	O piosenki, piosenki,
Justik taj man wienas,	Jedyne wy moje
Galet nuramintie,	Smutku pocieszycielki
Ir pasaldiunt dienas.	I duszne napoje.

Na dworze zaszeleściło i w okienku cień stanął. Rufin oczy podniósł, dziewczyna nagle śpiew urwała.

— Pochwalony Jezus! — rozległ się głos Wawra.

— Na wieki — rzeźbiarz odpowiedział.

— Idę drogą, aż tu u ciebie śpiewy. Gościa masz?

— Rozalkę.

— Toć znam głos i o nikim innym nie myślałem. Tylkoś ty, Rufin, ciemięga! Żeby do mnie dziewczyna o zmroku przyszła, siedziałbym bliżej niej.

— Boby do ciebie z miłości przyszła, a do mnie z ulitowania. Wie ona, że jej nie spłoszę, jak ptaszka, co mi nad oknem śpiewa. Wejdz, proszę.

— A nie wypada, bo ten ptaszek twój już śpiewać przestał, a gdy wejde, precz odleci. Nie chcę wam przeszkadzać i w dwóch słowach interes załatwię. Ojciec o kapliczkę pyta, czy zaś gotowa?

— Bezmała czego. Wejdz, zobacz swego patrona. Wawer nareszcie usłuchał.

Rufin zapalił lampkę i figurkę drewnianą ze stołu do światła podniósł. Cienko była rzeźbiona i wykończona.

Karewis pochylił się nad nią i uważnie przyglądał.

— Co on w rękę trzyma, mój święty? — spytał.

— A ruszt.

— Naco?

— Bo go na rozpalonym rozciągnięto i tam duszę wyzionął za wiarę. Tak z nim, jak królowie z koroną, do nieba poszedł i tak go przedstawiają na wizerunkach.

Wawer spoważniał.

— Gorącą miał duszę, gdy jej ten ogień nie spalił.

— Gorącą — kaleka powtórzył zamyślony. — Takie moce, co człowieka w mękach nawet nad wszystko przenoszą, od Boga dwie tylko dane. Tać wiara jest święta, co go ze świętymi równa, i to do ziemi swej umiłowanie, co go wśród ludzi dziedzicem czyni. Od świata zaczątku za te klejnoty swe dwa ludzie konali, a za nic więcej, bo do śmierci zapamiętania nic innego nie doprowadzi. A tak Bóg mądrze ustanowił, że za to twoje ciągle bojować trzeba, i tak będzie, aż świat się skończy, bo w bojowaniu bohaterzy rosną, a miłowanie im więcej bólów przechodzi, temci człowiekowi miłsze i droższe i chlubniejsze.

Pochylony nad stołem Wawer, od figurki męczennika oczu nie odrywając, słuchał.

Widziała Rozalka, jak twarz jego swawolną i drwiącą powlokła niby chmura, a bystre oczy jakby się w głąb cofnęły i zamyślane w duszę zaglądały, a nie widziały zewnętrznego świata.

— Wiara, jako ojciec, co uczy i prowadzi, a ziemia, jako matka, kocha i pieści, choć często płacze! — ozwała się cicho, nieśmiało.

Wawer ocknął się z zamyślenia. Figurkę na stole złożył i głową potrząsnął.

— Mało już ludzi tak myśli na świecie, jak wy, Rufinie! Dwanaście lat przeszło mi w wędrówkach po całej ziemi, a nie słyszałem takiej mowy.

— Bo z bólów takich nikt się nie chełpi, a gdy je wymówić musi, to do kościoła idzie. Tak ci te bóle święte są i ciche, a szanowne. Ale są i poru-

szają wnętrzości, bo, gdyby Bóg się na nas rozgniewał i kazał z dusz tym dwom mocom wyjść, toby już ludzi nie było — ino zwierzęta.

— Siła zmian tutaj się porobiło. Dawniej nikt tak nie myślał, anim ja słyszał coś podobnego.

— Jakże to? A my-że nie ludzie? — Rufin żywo przerwał. — Nie dziedzice my tej ziemi, co naszych ojców piersiami i krwią od Krzyżaków sto razy była zasłaniana? Nie kupili my obywatelstwa na niej i krwią i łzami i potem, nie szlachta my i nie ryccze? Ziemia taka, co jej krwią nie umierzwia i kośćmi nie wybrukują, rodzi piołuny gorzkie, a nasza nam rodzi dąbrowy i zboża i lny. Tyś ta książek nie czytał, w których nasze dyplomy i herby zapisane stoją, wszystkie od wieków, nie rachowałeś fundamentów naszych kamieni. A mocne one, kiedy nas strzymały na miejscu, choć tyle razy świat się trząśł. W książkach historia cała stoi i wstydby był, żeby nas nie zapisała w dziedzictwie tej ziemi, żebyśmy ojców pamięci w bojowaniu i chwale zapomnieli. Nie na to nas ta matka zrodziła i pohodowała, byśmy ją, starą, obcym rzucili, a sami precz odbiegli...

I znowu, porwany marzeniem swoim, kaleka nie do Wawra mówił ale jakby do złej mocy znękania i niewiary. Zda się rósł i zamiast kaleczej postaci, miał wzrost olbrzyma i skrzydła u ramion. Wzrok mu pałał, usta drżały, a chude ręce wyciągały się do okna, poza którem go ta ziemia słuchała, skąd Piłkalnis na ciemnym niebie nocy widać było — dziedzictwa tego pieczęć starodawną...

Wawrowi krew żywa nabiegła do skroni, poczuł w piersi nieokreślony ból i drżenie, jakby w wielkim dzwonie, co na żywot cały parę razy tylko uderza, zatrzepotało się ptaszę zbłąkane, trwożne. A Rufin się zakaszlał, zmęczony, i znowu mówił:

— A ot, za wsią Kirszniawa płynie. Płynęła i wtedy, gdy naszych ojców głowy pod wodą chrztu się chyliły. A gdyby ta rzeka głos miała, toby i ona zaświadczyła, że, jako nam wtedy, ciemnym poga-

nom, białą szatę wiary włożono, tak się ona na duszach została, bez plamy i bez sromu, całodziana. A tak ją nosimy w chlubie i dumni, bośmy już i za nią cierpieli. A skarb taki, co go człowiek życiem zasłaniał i dla żadnej pokusy nie oddał, jest nam, jako ten ruszt św. Wawrzyńca, jako to drzewo, u którego św. Sebastjan, wsi naszej patron, skonał. My ta z wiarą swoją, choć jak mrówki marne choć, jak pyły szare, niewidoczni na ziemi, pójdziemy do nieba i do świętych tych kompanij!

Milczący Wawer słuchał. Słuchał jeszcze, gdy rzeźbiarz skończył i wyczerpany, głowę na splecione na stole ramiona położył.

W tejże chwili za oknem śpiew się rozległ. Śpiewał bratanek księdza, uczeń młody na wakacjach, idąc samotnie do dworu, gdzie wieczory spędzał

Litwinem mnie dzieckiem nazwano,  
Litwinem mnie śmierć zabierze:  
Sławą mi jest to miano,  
Sławą to z ziemią przymierze...

Wawer się poruszył, ale nic rzec nie potrafił. Ani zaprzeczyć nie mógł, ani potwierdzić nie śmiał. Spojrzał na Rufina i nie żegnając go, wyszedł z izby.

O Rozalce zupełnie zapomniał.

I tej nocy za ledwie nad ranem do domu wrócił, ale nie widziały go puste dziewczęta i oberża.

Niewiadomo, gdzie chodził...

## VII

Pewnej niedzieli po nabożeństwie nastąpiło poświęcenie kapliczki Karewisów. W przeddzień ustawiono ją u źródelka, na granicy ich posiadłości nowej. Zdaleka biła w oczy, taka była świeżutka, biała, smukła. Za szkłem ustawiono też figurki świętych

patronów w jaskrawo malowanych szatkach. Zachwy-  
cano się robotą Rufina. On sam nie był na miejscu.  
Daleki to był kurs dla jego nóg połamanych a zbio-  
rowisk ludzkich ze wstydliwą nieśmiałością unikał.  
Jakby oczu zdrowych widokiem swego kalectwa nie  
chciał urażać. W niedzielę jednak zawlókł się do  
kościółka, a gdy po mszy proboszcz w komży tylko  
poprzedzony przez chłopaka z krzyżem i organistę  
ze święconą wodą, wyszedł z ludem, co go wnet  
ogarnął i towarzyszył ku wsi, rzeźbiarz pod ścianę się  
usunął i tylko ze smutnym uśmiechem za gromadą tą  
okiem pogonił, zcicha ich pieśni wtórując:

Codzień zrana,  
Rozśpiewana,  
Chwał, o duszo, Maryję.  
Cześć Jej świątkom,  
Cześć pamiątkom,  
Codzień w niebo niech bije!

Już za bramą byli, gdy się z tłumu jeden oddzielił,  
obejrzał i powrócił. Wawer to był.

— A ty Rufin nie z nami? — zawołał.

— Z wami, ale tylko duszą. Nie kłopotz się mną.  
bracie. Nie zaniosą mnie kule tak daleko.

— Jakże ma być bez ciebie ten obrządek? Nigdy!  
Nie zaniosą cię kule, to ja zaniosę. Nawet się nie  
spieraj, a chodź.

Ramieniem go otoczył i poprowadził powoli  
i ostrożnie, omijając kamienie i wyboje, podtrzymując  
na spadzistości drogi.

— Nic się nie lękaj ze mną — mówił, uśmiechając  
się doń.

— Jakiś ty pocziwy, Wawer! Wspomniałeś mnie!

— A nie ja, trza prawdę rzec, ale Rozalka. Obej-  
rzała się ona pierwsza i powiada: „Rufinby się cieszył.  
widząc, jak jego robotę ksiądz święci i ludzie podzi-  
wiają!” Więc ja się wtedy zawróciłem po ciebie.

— Bóg wam zapłać obojgu.

Dopędzili korowód wolno idący; wtedy Jurgis Szwedas kalekę pod drugie ramię wziął, inni się rozstąpili, aż do księdza im miejsce czyniąc. Szedł tedy i Rufin z odkrytą głową, której włos mimo młodości już srebrem przetkany, polny wiatr całował a słońce osobliwie złociło. Szedł, a rzewność smętną miał w twarzy, łzy w oczach.

Proboszcz u krynicy modlitwę odczytał, krzyżem to pole całe przeżegnał i święconą wodą pozaczył. Potem i kapliczkę pobłogosławił a wreszcie, łacińskie modły ukończywszy, po żmujdzku: „Pod Twoją obronę” zaintonował. A wtedy tłum na klęczkach do ziemi przypadł, głowy, jak łan zboża, pochylił i ze stu piersi prośba biegła, łkała, żaliła się sinym niebiosom.

Potem powstali wszyscy a ksiądz komżę i stułę słudze oddał i z nimi się zmieszał o sprawach różnych i troskach gwarząc. Tak wracali do wsi a już u zawrotu Jan Karewis pokornie go za kolana objął i nieśmiało na wieczór do zagrody prosił, gdzie z racji tego poświęcenia roli biesiada ma być i gościna. Zdaleka Piotr i Andrzej i kobiety czekały niespokojnie odpowiedzi, aż proboszcz potakująco głową skinął a oni z radości i dumy aż wyrosli.

Rufin za księdzem ku chatynie swej się skierował, ale go Wawer nie puścił i półgwałtem ku chacie ojcowskiej poprowadził.

— Nie zrobisz nam ujmy — prosił. — Gościny naszej nie odmówisz, chlebem nie pogardzisz.

— Naco ja między biesiadnikami? Będzie wam przykro na mnie patrzeć, uciechę wam popsuję — opierał się biedny odludek.

— Będzie nam honor i cześć. Głupi, kto przez twe kalectwo duszy nie dopatrzy. Nie wiem, jak komu, ale tyś mi między biesiadnikami najpierwszy.

Ale i Jan stary, kalekę dostrzegłszy, naprzeciw niego wyszedł, głowę odkrył i do chaty sam wprowadził, a synowie posadzili go na przednim miejscu, okazując uwagę i szacunek.



Podwórze i chata gości pełne były. Starzy pod  
dachem siedzieli, fajki paląc i poważnie rozprawiając.  
Młodzież na dworze w gry różne się zabawiała.

Więc naprzód w „pitra” (ślepeca) grali. Szlugu-  
isowi oczy zawiązano: posadzono wśród podwórza.  
Chłopaki przebiegali koło niego, skubiąc, a on pytką  
na chybił trafił machał, chcąc kogoś dosięgnąć.

Potem Jurgis „cigona” przedstawiał, koziółki  
dziwaczne skoki wyprawiając, wśród śmiechów i żar-  
ków. Potem Wawer z Jurgisem za bary się wzięli sił  
próbując i z pół godziny się mocowali, zanim wreszcie  
Wawer Jurgisa jak gruszkę o ziemię grzmotnął a potem  
pocałował. Chłopcy dziewczętom zagadki dawali i we-  
sółość rosła, ogarniając najpowolniejszych. Wreszcie  
pomęczeni od swawoli i śmiechu, murawę ogródka ob-  
siedli i nuż sobie bajki opowiadać.

Wtedy do Rozalki wszyscy się zwrócili, bo ona  
najpiękniejsze umiała. Dziewczyna, jak zwykle, naj-  
ciszej i najpoważniej się zachowywała. Ubrana od-  
świętnie, może najubożej, ale zgrabnie i schludnie  
w granatowej spódniczce i takimże gorsecie, w śnieżnej  
koszuli, wyróżniała się tym swoim powściągliwym,  
skromnym układem z pośród rozbawionych swawol-  
nych rówieśnic. Przysiadło się do niej chłopców  
sporo. Jurgis i Antanas Brodacz i Bakutisa synowiec.  
Ona odpowiadała grzecznie ale spokojnie, wciąż sio-  
strzeńca małego pieszcząc, który jej medaliki i wstążki  
na szyi szarpał, po rutę w warkoczcu rączęta wyciągał  
i coś niezrozumiale bełkotał.

Wawer snąc urazę w sercu chował, bo jej nie  
zaczeptał. Czują to i aż przykry jej był ten jego  
żał i gniew. Teraz ona ukradkiem na niego spoglą-  
dała niekiedy. Ładny był chłopiec, śmiały, w języku  
i pięści najsprawniejszy. Od opalenizny jeszcze szramy  
po rękach i twarzy miał a głowę nosił dumnie i zu-  
chwale, jakby jej wartość czuł...

Ostatni na zabawę zjawił się Krystof. Zdaleka  
gdy się ukazał, zgarbiony, posępny, z fajką w zębach,  
wzrok utkwivszy w ziemię, dziewczęta poczęły go

sobie palcami pokazywać i drwić. Magdalenka w nasmiwaniu się tem prym trzymała. Śmiech wybuchnął ogromny, gdy Jodas zamysłony o furtkę się zaczął i omal nie upadł.

— Powinniście, Krystof, z dzwonkiem chodzić, żeby wam ludzie z drogi ustępowali, albo psa na sznurku wodzić, by wam pokazywał gościniec! — Szwedasówna szydziła.

Za całą odpowiedź splunął tylko.

— Pewnie cię taki namysł trapi wedle wesela — drażniła dalej. — Nie turbuj się, pomyślą za ciebie.

Ujęła się pod boki i zaśpiewała:

Przyszedł meszka,  
Z beczką alus,  
Wilczykowi niebożęciu  
Sprawić wesele.  
Jeż był družbą,  
A lis swatem,  
A zajączek nieboraczek  
Musiał ciągnąć wóz.

Jodas po raz drugi splunął.

Wawer do Jurgisa się przechylił i coś szepnął, ten wnet na siostrę krzyknął:

— Nikt cię wesela śpiewać nie prosił. Swojego nosa pilnuj!

Magdalenka może się bała brata, a może złąkla dzikich oczu Krystofa — znikła.

Zabawa poszła swym trybem. Rozalka, naga-bywana o bajki, wymawiała się:

— Kiedy Rufin niedaleko, jakżebym ja prawić miała. Toć co umiem, to od niego.

Ruszono do chaty po rzeźbiarza, przyprowadzono z triumfem i posadzono wśród młodzieży, wśród wisien dojrzewających i krasnych kwiatów. Ale i on nie miał ochoty do opowieści. Rozalce przy warsztacie opowiadał skoro, tutaj wobec tylu ludzi nieswój się czuł i onieśmielony.

Rozmowa zesłała na strachy i upiory i coraz to straszniejsze historie prawiono.

Zaprzysięgał Szluguris, że gdy raz konno nocą przez las jechał, oberwała się, nie wiedzieć skąd, płachta szara i spadła mu na plecy, a koń go uniósł. Przytem coś jęczało okropnie...

— Do mnie raz na pastwisku staruszek maleńki, czerwono odziany przyszedł — opowiadał starszy Szwedas. — Jesienią to było już chłodno, więc ognisko paliłem i trochę zadrzemałem. Otwieram oczy, aż naprzeciw mnie on stoi i ręce do żaru wyciąga, jakby się grzał. Takci i nogi potem w ogień kładł a potem sobie węgiel jeden do gęby włożył i zniknął.

— Opowiadał mi nieboszczyk ojciec — rzekł Bakutis — jako raz, blisko kopca orał. Ostrogę staroświecką wykopał i z sobą do domu przyniósł. Ale tejże nocy przyszedł do niego zamkniętymi drzwiami wojak okrutnie wielki, cały żelazny i powiada: „Oddaj, coś mego wziął! Rynsztunku swego pilnuję, żeby, jak nas pobudzą, stanąć w ordynku, a tyś mnie okradł! Oddaj zaraz, bo nie daruję”. Takci ojciec zaraz rankiem ostrogę odniósł, skąd wziął, i mszę świętą zakupił i potem już spokój miał.

Wawer, na uboczu siedząc i cygaro paląc, wzgardliwie się uśmiechał.

— Brednie to i banialuki — zawołał. — Jako żywo, strachów ni duchów nijakich niema. Kto raz umarł, to już leży i o świat nie dba. Sny to bywają, mamidła, gorączka, albo pijaństwo.

— Gadaj zdrów! — oburzył się Bakutis. — A ty sam nie poszedłbyś na Piłkalnis trzeciego dnia nowiu o północy...

— Czemubym nie poszedł?

— Boby ci kark skręciło, jak kiedyś szewcowi Grejcziusowi.

— Albo to prawda?

— Ot, jeszcze co? Albo to takie stare czasy? Stryj mój toć widział na własne oczy.

— Jakże to było?

— Niech-ta stryj sam opowie, kiedy nam wiary nie dajesz.

Skoczył parobczak do izby i wnet starego Bakutisa przywiódł.

— Niech-ta stryj Wawrowi rozpowie, jak to ongi z Grejczusem na Piłkalnisie złe się obeszło.

— A cóż, kark mu skręciło, że sobie na pięty patrzył po śmierci.

— Żartujecie, gospodarzu — Wawer zaprzeczył. rozciekawiony, traktując włościanina cygarem.

— Jakto, żartuję? Toć świadków wiele jeszcze żyje. Grejczus wędrowny szewc był, trochę pałkę zalewał. Wydało się potem, że kontrabandą się zabawiał, ale tegoby po nim nikt nie odgadł. W Karewiskach bywało miesiące siedzi, nim całą wieś nazimę obuje. Tak-ci też było owej jesieni. Przyszedł, u mnie się rozgościł ze swym warsztatem. W chacie, wiadomo, na jesieni kobiety na prządki się zbierały wieczorami i bajały różne dziwa. Tak ci rozmowa na Piłkalnis raz przysła. Jest-ci tam studnia na szczycie, powiadają, że kto na trzeci dzień nowiu o północy tam stanie, ino sam, i trzy razy: „jestem” powie, to się ta studnia przed nim roztworzy, pokażą się złote schody i dwie stare wiedźmy prowadzą śmiałka pod ziemię...

— Żeby choć ładne dziewczęta — Wawer żartował.

— Poczekaj ino. Na dnie samem pałac jest ze złota i diamentów, a w nim królewna. Powiadają, że raz się trafił taki śmiałek, co tego wszystkiego, co mówię, dokonał i przed królewną stanął. A cudnej była piękności i wdzięcznie na chłopca patrząc, powiada: „Ulituj się nademną i czar zdejm a i siebie tobie oddam i te skarby i królestwo olbrzymie”. — „A cóż mam czynić?” — pyta parobczak. — „Musisz przede mną wszystkie moje ciotki pocałować”. A wtem, na to słowo, poczęły z różnych kątów wypełzać gadziny, stonogi, pająki, ropuchy, nietoperze, pijawki,

obrzydliwe żuki. Chłopiec w nogi a królowna, płacząc, zatrzymuje go i tak błaga i zaklina, że wreszcie przemógł się i zgodził na ofiarę. Pocałował każdą z kolei a co której buziaka da, to z niej skóra potworna opada i w staruszkę się zmienia. Takci wszystkie przeszedł, aż ostatnia wyłazi żaba, cała kleista i cuchnąca, wielka jak wół, oblepiona szlamem, z gębą pełną robactwa. Wtedy już go odwaga odstępiała, odwrócił się i splunął. A ot, nim słowo rzec, zaczął się pałac walić, stare znowu przedzierzgnęły się w potwory, królowna zapłakała gorzko a śmiałka coś porwało za włosy i rzuciło przez powietrze, jak kamień. Wtedy go przytomność odbiegła a gdy się ocucił, leżał w rowie pod kurhanem — sam jeden. Od tej pory sechł i niknął, nie doczekał miesiąca, aż umarł...

— Ot, głupi — rzekł Wawer. — Jabym, zamiast te straszidła całować, tobym je pozabijał a królownę dopiero pocałował ogniście.

Bakutis pobłażliwie na tę przechwałkę się uśmiechnął.

— Gadał tak i Grejczius, kobiecych baśni słuchając, a raz, dobrze cięty, powiada: „O, dziś nów i trzeci dzień właśnie. Doczekam się północy i szczęścia spróbuję. Bóg szewców lubi, to mi dopomoże. Jednakowoż w kawalerskim stanie dotąd przebyłem, czas mi się za niewiastą obejrzeć, wezmę sobie odrazu królownę!” Tak się przechwalał, a my się śmiali, nigdy na serjo tego nie biorąc. Potem noc zaszła, szewca do karczmy korciło, zabrał się, poszedł i długo nie wracał. Dokuczyło mi czekać, myślę, pijak głowę stracił, prześpi się w szynkowni na ławie. Zamknąłem sieni i położyłem się, światło zagasiwszy. Rankiem konie do pługą założyłem i w pole poszedłem. Jesień to była i późne słońce. Pamiętam, jak dziś, pod ziemniaki łamałem rolę. Koło kurhanu, za Jodasowem, moje pole leży. Przeszły konie raz i na zawrocie zachrapały dziko, przeszły drugi raz i dęba stanęły w temże miejscu. Żegnam się i zaglądam w fosę, aż tam coś leży wielkiego. Podchodzę bliżej, człowiek;

trącam go kijem, potem nogą: ani drgnie. Piersiami do ziemi leżał, a twarz miał aż na ramię wykrzywioną. O Jezu! Grejczus, czy co? Porywam go za ramiona, trzęsę, a ta głowa, to tu, to tam, niby dzwoni się kołacze. Takci na skórze tylko się trzymała. Jakem w twarz spojrział, tom nieludzkim głosem krzyknął a włosy mi stanęły na głowie: była to twarz do ludzkiej niepodobna, umazana krwią i błotem, z językiem wypadłym a oczami w słup stojącymi. Rzuciłem trupa w kałużę krwi, co mu się gardłem wytoczyła; rzuciłem konie i jak warjat uciekałem. Z początku w gminie to mnie nikt zrozumieć nie mógł. Zdziwili się ludzie, straż, policja. cała wieś. Uprzątnęli go i śledztwo okrutne poszło. Wodzili mnie po sądach, trzęśli kraj cały, trupa nawet z grobu wydobywali i krajali. Kurhan też obszukali starannie, studnię odwalili, trzymali po więzieniach moc ludzi a cały ten kram niczem się skończył, bo i kto od umarłego czego się dowie, albo nocne moce złe zwojuje. Nie daj, Boże, je spotkać a broń Boże, zaczepić!

Po zgromadzeniu jakby zgroza przeszła. Milczeli wszyscy, dziewczęta żegnały się trwożnie. Tylko Rufin był spokojny i Rozalka. Rzeźbiarz nisko głowę skłonił i chudemi palcami kwiatki w murawie gładził i muskał; dziewczyna w ów straszny Piłkalis, rysując się wdali, zamyślane oczy wlepiła.

A wtem milczenie Wawer przerwał.

— Nie zła moc, ale ludzie tego szewca ubili — rzekł.

— Poco? Biedny był i z nikim sporu nie miał.

— Kto to wie?... Niby to biednych nie mordują. Może co wiedział niepotrzebnego i przeszkadzał komu... Różnie się trafia na świecie.

— Niechta będzie, co chce, ale jabym za nijakie skarby na Piłkalis nocą nie poszedł — zdecydował wstrząsając się, Antoni.

— Ani ja — powtórzył Brodacz.

— Ani ja — dodał Szluguris.

Reszta milczała, ale znać było, że nieinaczej myśli. A Rufin głowę podniósł i głuchym swym głosem powoli i cicho się odezwał:

— Słyszałem ci ja inną bajkę o tym kurhanie naszym...

Zwrócili się wszyscy do niego, jakby uwolnieni z pod ciężkiej zmory, a on, wciąż kwiatki pieszcząc, tak mówił:

— Niema tam pod spodem ni pałacu, ni królowny. Za dawnych czasów bojowały wielkie moce o tę ziemię naszą i nijakiej zgody nie było. Więc wziął Bóg ze strony prawej małego karzełka a ze strony nieprawej najteższego olbrzyma i pod tą górą ich zamknął i kazał im ze sobą wojować, a na ziemi tymczasem ucichło i czekają moce inne. Więc karzełek kowadło sobie zbudował i wciąż na niem miecz kuje. a co ukuje, to olbrzymowi próbować daje, a olbrzym wciąż go łamie. I taka od wieków niestrudzona robota idzie; ni karzełek nie ustaje, ni olbrzym. Ale taki czas przyjdzie, że ten maleńki kowal miecz zahartuje nad siłę tego wielkiego większy a wtedy odmieni się wszystko na ziemi i wszystko, co uciemnione i małe, nad światem zapanuje.

— I my zapanujemy? — spytał Jurgis Szwedas.

— I my, bośmy owego karzełka może wnuki — Rufin z uśmiechem łagodnym potwierdził.

— Zapanujemy właśnie krukom na szubienicy, albo robakom w grobie — ponuro i szyderczo Krystof się odezwał.

— Wstydziałbyś się tak gadać — upomniała go Rozalka.

Spojrzał na nią, jak wilk.

— Ty to mi wstydem oczu nie wycieraj, głupia! — burknął.

— Ty to bardzo rozumny — zawołała Magdalenka.

— U ciebie mózgu nie kupowałem!

— Myślisz, żebym dała? Nie wiedziałbyś, co z nim zrobić!

— Jak pora przyjdzie, to pokażę!

— Wolelibyście się o buziaki targować, niż o rozum — zaśmiał się Wawer.

— A nie pozwolę, bom już wszystkie kupił — swawolnie Szluguris zaprzeczył.

Zaczęli się spierać, żartować, gonić po ogródku, reszta też rozruszała się i rozchmurzyła. Na murawie Rufin z Rozalką pozostał, bo Bakutis na uciechę młodzieży chwilę popatrzał i do chaty wrócił, gdzie wśród starszych kobiet siedziała wdowa młoda, do której na jesieni swaty słać myślał.

A wtem wrótka skrzypnęły i na podwórze wszedł gość rzadki, stary Szwedas. Człek to był drobnego wzrostu, ale żyłasty, szerokich pleców i ramion potężnych, chudy przytem i żółty na twarzy. Ubierał się zawsze jednak, staroświecką modą, w sukmanę siną o stu fałdach, na piersi miał dużo szkaplerzy i różaniec z bukszpanu. Głowę miał łysą a twarz golił starannie, co mu nadawało wygląd kościelnego sługi. Pozór mylił, bo Szwedas i w kościele i w chacie swojej rzadko bywał. Gospodarkę na dwóch synów zdał, a sam furmanił. Miał parę koni i drabiak, który szeroko znano; jeździł po piwo i wódkę dla Butkisa, po żelazo i sól dla dworu, najmował się do dostaw i drobnych nawet posyłek, bezmała rok cały na wozie spędzał, nie bojąc się ani odległości, ani zimy, ani nocy... Małomówny był i nigdy się nie śmiał ale w lot interes każdy pojął, załatwił, a taką miał opinię uczciwości, że wielkie pieniądze mu powierzano, posyłano w najważniejszych sprawach. We wsi był osobą poważną i szanowaną. To też gdy na podwórzu Karewisów niespodzianie pojawił się, gospodarz z synami naprzeciw niego wyszli i choć krewny im był i swojak, witali niemal jak pana. On też chętnie do chaty wszedł na biesiadę a przechodząc pod płotem ogródka, Rufina zoczył i pozdrowił. Nic więcej nie rzekł i dalej Karewisom na pytania, skąd jedzie, odpowiadał, ale rzeźbiarz zaraz wstał, wstała też i Rozalka.

— Trzeba iść — zcicha wymówił.

— Pójdźmy — odparła podobnie.



Kule mu podała i korzystając, że młodzież opodal Gedrajtysa muzykanta obstała, wymknęli się oboje na drogę.

— Zostań się Rozalko, toż tańce się gotują — mówił.

— Albo mnie tańce w głowie? Nie dlategoście mnie oświecili, żebym podobną innym była...

— Oświeciłem cię, ale nie poto, byś marniała. Służba święta swoje prawa ma, a lata młode swoje. Zamąż ci pora.

— W chacie mój warsztat stoi. Nie od tańca mnie wezmą, ale od roboty. Nie lubię pustej swawoli.

— Szwedas cię nikomu nie da, tylko dla syna chowa.

— Nie Szwedasa, ale moja wola się stanie — hardo odpowiedziała

— Chciałbym cię za życia szczęśliwą i spokojną zobaczyć. Do chaty twego męża zawlokłyby mnie kule a oczybym uradował i duszę...

Żałośnie, choć się uśmiechał, głos jego brzmiał.

— Poco śmierć wspominiacie? Nie pora wam umierać.

— *Giltina* (bogini śmierci) nie patrzy w zęby — spokojnie odparł.

Za nimi w zagrodzie Karewisów, skrzypki się rozległy i wesołe okrzyki. Rzeczywista zabawa dopiero się poczyniała, potrwa długo w noc — bez nich...

## VIII

Stały zręby zagrody na Bubiach.

Pewnego wieczora Wawer z Krystofem ku wsi od roboty szedł, siekierę na ramieniu niosąc. Od niejakiego czasu, zniecierpliwiony powolnością roboty, zaczął Jodasowi pomagać, ucząc się ciosać niby przez zabawę. Stary ojciec przychodził często i chwalać go, pokazywał różne sposoby.

Listy ze Szczecina stawały się coraz natarczywsze, wzywały go do powrotu.

Już dwa miesiące ubiegło, już kończono żniwa, a jego ten dom zaczęty i obietnica dana ojcu trzymała w Karewiskach. O tej mitrędze opowiadał Krystofowi właśnie.

— Będzie mi, będzie od pana Matschkego! — mówił, czuprynę markotnie trąc. — Na tydzień, dwa urlop wziąłem, a miesiąc siedzę.

— Napanujesz się jeszcze do woli.

— To pewnie ale i narzeczona nudzi po mnie.

— Wierzysz w kobiecą naturę? Byle gach ją pocieszy...

— Ty wszystkie wedle Magdalenki cenisz.

— Jednakie one.

— Będziesz do Szwedasów swaty słał?

— Będę.

— A Szluguris?

— Szwedas musi ją mnie dać.

— Lubisz ją tak bardzo?

— Chcę mieć. Poniewiera ona mnie siła, oddam jej za wszystko.

— Toci osobliwa twoja natura. Przecie jej bić nie będziesz, jak żonę zostanie.

Jodas nie odpowiedział, ale znać było, że złe ma myśli pod twardą, zaciętą czaszką.

Wieczór był późny i pogodny. Za Piłkalnisem już tylko pamięć słońca została w kilku czerwonych smugach. Po czystych, bezchmurnych niebiosach Wawer oczami powiódł.

— Pogoda będzie jutro, wcześniej się księżyc wysunął... a taki jasny, choć mały — zauważył.

— Trzeci dzień, jak nów nastał — odparł Krystof.

Doszli do jego chaty.

— Wstąpisz może? — zaproponował.

— Z miłą chęcią.

Znaleźli się w izbie pustej.

— Rozalki niema? — zagadnął Wawer, po ką-  
tach spozierając.

— Niema — odburknął Krystof. — Do miasteczka  
motki do farby poniosła. Wróci niebawem.

Usiedli. Biały kotek dziewczyny przyszedł do  
Karewisa i na kolanach mu się ułożył. Jodas we  
włosy dłonie wsunął i rozparty, w ziemię patrzył.  
Rozmawiali o tem i o owem czas jakiś. Wawer wi-  
docznie powrotu Rozalki nadczekiwał ale ściemniało  
zupełnie, a jej nie było. Wreszcie wstał i gospoda  
rza pożegnał.

— Spóźnia się siostra twoja — zauważył już na  
drodze.

— Licho jej nie weźmie. Może zanocuje w mia-  
steczku.

Wawer w dal na drogę spojrział — pusta była.  
Poszedł powoli ku chacie, rozmyślając, gdzie się za-  
bawi dzisiaj.

— Trzecia noc po nowiu, straszna noc — pomy-  
ślał, uśmiechając się.

Wyjął zegarek — wskazywał wpół do dziesiątej  
Za parę godzin można dziwy zobaczyć na Piłkalni-  
sie, a w każdym razie zabobonnym chłopom dowieść,  
w jakie brednie wierzą. Zachciało mu się bardzo tej  
wyprawy.

Zaszedł na chwilę do chaty i rewolwer do kie-  
szeni włożył, potem za wieczerzę podziękował i do  
Butkisa poszedł.

W gospodzie kilku nieznanym podróżnym  
drzemało w kącie. Szynkarz z chłopami o procesach  
gadał. Nie było zresztą nikogo z kolegów zabawy.

Wawer piwa sobie kazał podać i z procesowi-  
czami wdał się w długą rozmowę o ich pretensjach  
i sporach. Tak mu zeszła godzina. Znowu na zega-  
rek spojrział. Niewiele brakowało do północy. Wstał  
tedy, zapłacił za piwo i wyszedł.

Zrazu gwizdał cicho, kierując się zagonami i mie-  
dzami bez drogi, na groźny cień kurhanu, potem ucichł  
i kroku zwolnił.

Pomimo odwagi, ten trup szewca ze skrzyconym karkiem plątał mu myśli i towarzyszył jak z mora. Naturalnie zamordowano go. Ale kto?

Stał w fosie, może w tem samym miejscu, gdzie Grejczusa Bakutis znalazł. Wzdrygnął się mimowoli. Nie był to jednak człowiek, coby wpół drogi za wracał. Ruszył dalej, ciągle fosą, upatrując w gęstwinie pokrywającej stoki wzgórza ścieżki lub szczeliny.

Cisza była niczem niezakłócona. A wtem posłyszal Wawer gdzieś ponad sobą ludzkie głosy. Zatrzymał się i podniósłszy oczy, nasłuchiwał. Rozmawiano na kopcu, wyraźnie osób kilka, niczem się nie hamując. i rzecz dziwna, że jeden z głosów przypomniał mu Rozalkę.

— Tam do licha — pomyślał. — Do duchów trzeba iść przebojem — do ludzi podkopem. Spróbujemy zajrzeć tym nietoperzom w oczy.

Już teraz nie myślał o zamordowanym szewcu ani o baśniach, już nie chciał dać dowodu odwagi, ale był zajęty, zaciekawiony, żądny wytłumaczenia tajemnicy.

Przypadł do ziemi i bardzo powoli i ostrożnie począł się wdrapywać na stromą pochyłość, unikając poruszenia gałęzi, najmniejszego szmeru. Tak pełzł jak kot dziki do upatrzonej zwierzyny. Coraz wyraźniej dochodziła go rozmowa; a raczej jeden głos brzmiał, nieznany mu. Nareszcie dotarł do odwiecznego dębu, co już stał na samym brzegu. Wtedy ostrożnie z za pnia głowę wychylił i patrzył niezmiecznie zdumiony.

Przed nim znajdowało się czworo ludzi — trzech mężczyzn i kobieta.

Oczy Wawra rozwierały się coraz szerzej, słuchał, tamując oddech.

Mężczyzna jeden siedział, reszta stała. On jakby rozkazy wydawał, tamci słuchali, plecami do dębu zwróceni, tak że tylko siedzącego widział dokładnie Wawer. Człek to był już stary — ubrany w sa-

modział i długie buty. Szlachcic zagrodowy z pozoru.

— Młodość ma swoje przymioty, ma i błędy — usłyszał zaczajony dalszy ciąg mowy. — Odwagę i ofiarność. Tylko, że odwaga bywa często szaleństwem, a ofiarność poświęceniem często próżnem. Nie mówię tego do was, Karewis, jako zarzut, ale jako ostrzeżenie. Wydajecie się mnie dzieckiem, możecie od nas, starych lepsi, szczęśliwsi. Poleciałem Szwedasowi i Rufinowi człowieka mi dać — wybrali was. Wielka to wam chluba, wielka odpowiedzialność. Rozumiecie mnie jasno?

Wawrowi się zdało, że człek na niego patrzył i jego pytał, i mimowoli zadrżał, ale wtem jeden ze słuchających obrócił się i parę kroków postąpił. Był to drobny i śniady koniucha dworski, braciszek jego najmłodszy — Marcinek. Zbliżył się do starego, w rękę go pocałował a potem jak żołnierz się wyprostował.

— Rozumiem! — odparł stanowczo. — Nie bójcie się mego wzrostu i lat. Trzy razy na próbę biegłem do was, owe papiery niosąc. Za pierwszym razem tom nic nie pojmował i jak po omacku szedł. Za to mnie wzięto i bito; ale drugi raz jużem przejrzał i wiedział, co niosę, i jak powietrze, nie było po mnie śladu, a za trzecim razem tom całkiem zrozumiał rzecz i odtąd gotówem za tę sprawę nie skórę, ale głowę nałożyć. Zobaczycie!

— Uchowaj, Boże, podobnego nieszczęścia! Głowa twoja potrzebna ziemi i pilnować jej powinienes. „Bądźcie chytry, jako wężowie” powiada pismo. — I to ci powtarzam i zawsze powtarzać będę. Uklęknij teraz.

Marcinek ukląkł a stary wstał, podniesioną jego rękę na książce starej położył i podawał mu słowa:

— Ja, Marcin Karewis, za świadka mając Boga i tu obecnych, przysięgam, jako z duszą całą, myślą i siłami staję w służbę Szkaplerza żmujdzkiego na życie całe, ślubując sprawie swej wierność, starszym swoim posłuszeństwo, braciom swoim pomoc, ludziom

obcym milczenie. Jeślibym niewiernym się stał i zdradził, ukaraj mnie, Boże nasz, ukarście mnie ludzie, co te moje słowa słyszycie. Amen.

— Amen — powtórzyły trzy głosy.

Stary chłopca z ziemi podniósł, szkaplerz czerwony mu na szyję włożył i jak brata ucałował. Pozostali uczynili to samo. Wówczas zobaczył ich i poznał Wawer.

Był to stary Szwedas i Rozalka.

— Co czynić każecie? — spytał Marcinek głosem uroczystym, dziwnym przy jego chłopięcej postaci.

— Będiesz słuchał dziewczyny tej, mądrej a dobrej. Będiesz od niej ogniwem dalszem łańcucha — bardzo długiego, którego ja sam początku ni końca nie znam. Bóg z tobą, Karewisie młody! Może, w moich latach będąc, lepsze dni zobaczysz. Tymczasem, jak mrówka pracuj, jak orzeł myśl, a jak wąż chytry bądź... Możesz odejść już!

— Pójdźmy — szepnął Marcinek do Rozalki.

Ona zwróciła się do Szwedasa.

— Rufin mi kazał o nową przesyłkę się dowiedzieć, czy dla nas niema?

— Jest gazet cały worek. Pod kamień go wsunąłem, naprzeciw Wawrowej kapliczki, przy drodze — od północy. Znajdziesz?

— Znajdę. Rufin też wam pieniądze kazał wręczyć, ile zebrał przez ten czas. Przysłał mnie, bo u niego przed wieczorem dwóch z urzędu było, niby rzeźby oglądali. Ostrzec was polecił...

— Dobrze. Nie przyjdę do niego tedy a jutro rano znowu jadę — pusty. W tamtą stronę.

Ręką ku zachodowi wskazał.

— Prędko będziecie znowu?

— Dopiero na odpust Szydłowski.

— Szczęść wam, Boże, i zdrowo odprowadź! Pochwalony Jezus!

— Na wieki. Amen!

Dziewczyna i Marcinek skłonili się i przeciwną stronę kurhanu poczęli schodzić.

Podniósł się też i nieznajomy.

— Czas i mnie — rzekł. — Droga na stare nogi daleka.

— Podwiozę was — Szwedas się ofiarował.

— By nas kto razem zobaczył? Pamiętacie, jak was przed trzema laty wzięli do więzienia i mnie pytali, czy znam Szwedasa i w jakich z nim jestem stosunkach? Znam, powiadam, ale co do stosunków, to w jakimże ja, obywatel, mogę być względem ciemnego, głupiego chłopca? Takem rzekł wtedy. A coby pomyśleli, żebym nocą z tym samym Szwedasem na wozie jechał? Wypuścili mnie na takie tłumaczenie.

— Myli się pan — ozwał się chłop. — Wypuścili dlatego, że ja na śledztwie, o to samo pytany, powiedziałem: W nijakich stosunkach nie jestem, bo pan mi pierwszy wróg urodzeniem i mową a dwór pierwsza moja nienawiść i obchodzę go, jak gniazdo szerszeni.

Obywatel szczerze się zaśmiał.

— Oddałeś mi z nawiązką, Szwedas!

— Dlatego, że tak nie myślał, tom rzekł... Czas panu w drogę, czas i mnie. W Szydłowie się spotkamy. Mam tutaj jeszcze jeden interes. Dali mi darmo studenci z tamtej strony książeczek tysiąc, bym je po kraju rozrzucił. Zostało jeszcze dwadzieścia, te już tutaj zostawię.

Sięgnął w zanadrze i pokazał broszurkę małą w żółtej okładce. Obywatel jedną wziął, resztę mu oddał.

— Siejcie Szwedas, dobre to ziarno i niech wam Bóg pomaga. Bywajcie zdrowi!

Uścisnęli sobie prawice.

Obcy zniknął w miejscu, gdzie Rozalka poszła. Szwedas przeszedł tuż koło zaczajonego Wawra. Znał tam widocznie każdy krzak, korzeń, gałąź, bo spuszczał się prędko i cicho, potem jeszcze czas jakiś kroki oddalające się było słyhać, wreszcie wszystko

ucichło, znikło, rozwiało się a w głowie Wawra zostawiło wrażenie chorobliwej halucynacji.

Zaczął i on schodzić, tak zamyślony, że nie widział jak opodał jeszcze jeden człowiek, czając się do ziemi, w stronę wioski zmierzał, który ani Szwedasem nie był, ani tym obcym szlachcicem. Ze wzrokiem wbitym w ziemię i w siebie zatopiony, młody człowiek szedł powoli miedzami polnemi, wśród zagónów, ze zbóż ogołoconych. Chaotycznie mieszały mu się wrażenia doznane. Dziewczyna, którą tylekroć grubijańsko zaczepiał, chłop z pozoru nieokrzesany i ów Karewis, piętnastoletni bosy pastuch, który za granicami swej parafji świata nie znał... Mówili teraz do jego duszy dziwnym językiem, stanęli przed nim. jak ci dziedzice i obywatele szanowni ziemi, o których kiedyś Rufin mówił. Mrówki te znosiły żdźbła, pyły, igiełki sosnowe i siedmkroć większy, niż siły, ciężar włokły do mrowiska, sypały przez lat dziesiątki kopce rojne, nie ustawały nigdy. Tak się zamyślił idąc, że zdały mu się te zagony i pola leśną rubieżą, pociętą śladami owadów, a te chaty, po nich rozrzucone, mrowiskami, które miliony wznosiły, na trud zapamiętałe, przemysłne. A wtem przed nim coś zaświeciło na miedzy. Schylił się. Leżała tam książeczyna mała, którą człowiek ukryty, nieznany, rzucił za siebie, jak siewacz ziarno. Dla pracowników biednych, dla bosonogich pastuszków zostawiona tam była, co jak ptaszęta, wstaną ze słońcem i ziarno to znajdą na miedzy, na karm dla duszy. Wawer ją podniósł.

*Apej zeme* — (O ziemi) — przeczytał na okładce i już nie odłożył napowrót, ale schował w zanadrze.

Czasem na wierzchu mrowisk złocą się ziarna żywicy wonnej: taką mu się ta książka wydała krużyną kadzidła...

Ukończono zniwa, na ukończeniu też była zagroda na Bubiach. Pracowano przy niej gromadnie. Wawer nie szczędził pieniędzy i poczęstunku, sam od



świtu stawał do roboty, śpieszył gorączkowo, pomagali mu też chętnie sąsiedzi i krewni. Na zagrodzie białął już komin wysoki, świeciła złocista strzecha, rosła, jak na drożdżach, stodoła i obórka.

Wszystko było dostatnie i schludne, przypominało porządkiem i skrzętnością zagraniczne folwarki, wzbudzało w patrzących zachwyt i podziw a Wawra napełniało wielką dumą i lubością.

Przychodził zrana pierwszy, a odchodził ostatni, gdy już gwiazdy świeciły. Nad wyraz miłe były mu te węgły świeże, ten szmerek ziemi, przygotowany pod pierwszy zasiew nowego właściciela. A tymczasem dnie i tygodnie biegiły niepostrzeżenie i aż się przeraził pewnego wieczora, obrachowawszy sumiennie czas, między swoimi spędzony. Miał to być tydzień odwiedzin, a zmienił się na cztery miesiące i trzy dni już tylko brakło do Szydłowskiego odpustu Narodzenia Matki Boskiej.

Listy od Matschkego przestały dochodzić. Zapewne, obrazeni śmiertelnie, nie chcieli się więcej do zbiega odzywać, bo był zbiegiem i zdrajcą i niewdzięcznikiem...

Choć go nikt nie widział i nie strofował, Wawer wstydem płonął i spuściwszy głowę, szedł, jak winowajca, zaprzysięgając sobie następnego piątku odjechać stanowczo, oprzeć się wszelkim prośbom i zakłębom rodziny.

Zstępował na gościniec właśnie, gdy go turkot wosu doleciał i rażne parskanie koni, więc się obejrzał machinalnie.

Wieczór jasny był, więc zdaleka poznał siwego i kasztanka starego Szwedasa i zwolnił kroku.

Wóz się wnet z nim zrównał a Szwedas, siedzący na ładunku beczek i tłumoków, pozdrowił po zwyczaju Bożem imieniem.

— Dobrze macie oczy, dziadziu, żeście mnie poznali — rzekł młody, uchylając kapelusza z uszanowaniem.

— I poznałem i zapamiętałem, chociaż ciebie mało widział — odparł stary, wstrzymując koniki do kroku pieszego.

— Dziękuję wam za pamięć.

— Ty może myślisz, że to z powodu owych pieniędzy, coś moim chłopcom po ogniu rzucił? Otóż nie z tego. Zapamiętałem cię dla twego rozumu i postanowienia — ciągnął Szwedas dalej, lejce zarzucając na luśnię i dobywając z kieszeni fajkę. — Inni wszelaką rozpustę i swawolę do kraju z obczyzny przynoszą, a tyś przyniósł uczciwy grosz i naukę. Będzie ta chata twoja dobrą szkołą i przykładem.

Na zagrodę ręką wskazał.

Wawrowi niesadno było wobec tych pochwał powiedzieć, że niebawem odjedzie, więc, by rozmowę zmienić, spytał:

— A wy, dziadziu, do domu wracacie?

— Wracam. Wiozę Butkisowi piwo, a do dworu smarowidło i sól. Konięta mam też zmordowane szpetnie.

— Zabawicie w chacie?

— Zabawię, bo odpust niedaleko, a ślubowałem do Szydłowa z ofiarą i pokutą.

Wawer na furę spojrział i pomyślał sobie, jaka to ofiara była pod beczkami piwa i worami soli.

— Szczęść wam Boże — rzekł szczerze.

— Dziękuję — odparł stary dobrodusznie.

Skinął przyjaźnie głową i koniki zaciąwszy, oddalił się ku wsi.

Wawer go oczami przeprowadził i widział, że zamiast do Butkisa, do swojej chaty skręcił, jakby tam zostawić miał najcięższy ładunek.

U Szwedasów znano obyczaj ojca, słuchano go ślepo, nie pytano nigdy i nic. Gdy wóz się na podwórze wtoczył, synowie wyszli obadwa, ucałowali ojcowską rękę, zamknęli wrota. Stary nic do nich nie mówił, bo właśnie, przesuwając paciorki, różaniec odmawiał.

Koniki, nie kierowane, same zaszły pod szopkę i stanęły.

— Wyprzęgać, tewe? — starszy syn zapytał.

Szwedas głową potrząsnął. Nie zląził z wozu i tylko im drzwi chaty ręką wskazał. Zrozumieli i odeszli.

Po dość długiej chwili stary na progu stanął. Podnieśli się wszyscy z ław i czekali rozkazu. Wstał i Szluguris swawolny, który z Magdalenką w kącie coś szeptał, wstała Barbara, karmiąca u pieca niemowlę.

Szwedas różaniec właśnie skończył i krzyżyk ucałowawszy, na szyi go powiesił. Wtedy się odezwał:

— Weźmiesz Jurgis moją furę i do Butkisa i do dworu ładunek odstawisz. Powiedz, żem zmordowany i jutro z rachunkiem przyjdę.

Parobczak skłonił się i wnet zniknął a stary na ławie pod obrazami usiadł, głowę podparł i tak siedział zamysłony.

Wnuczek mały, czterolatek, do kolan jego się przysunął i ocierał się o nie jak kociak mały, prosząc o pieśczołę, czy upominek. Szwedas ręce od twarzy odjął i pod nogi spojrzął. Twarz jego, nie znająca co uśmiech, na małą chwilę zadrgała radością i nieco się do dziecka pochylił ale wnet się powstrzymał i już znowu surowy, w zanadrze sięgnął, pierniczek złożony dobył i chłopczykowi podał.

— Barbaro — do synowej się zwrócił. — Zabierz małego.

Ale już dzieciak zalękniony srogimi dziada oczami, umknął sam do matki i oddał jej łakocie, nie śmiąc pokosztować.

— A mnie tatuś nic ładnego nie przywiózł? — spytała Magdalenka z umizgiem.

— Nie — odparł krótko.

— Powieczerzacie, ojczy? — starszy syn wtrącił.

— Powieczerzam, jeśli co postnego macie.

— Zawsze dla was gotowe stoi, jako że nie wiem, kiedy wróćcie, a wiemy, że z omastą nigdy

nie jecie — rzekła Barbara, stawiając przed nim miskę postnej kaszy.

Stary jej głową przyjaźnie skinął i jeść począł. Obecni poczęli rozmawiać, ale on ani słowem do rozmowy się nie wmieszał i na nikogo nie patrzył. Odzywał się śmiech Magdaleny i żarty Szlugurisa, gospodarskie uwagi młodego Szwedasa, wioskowe opowiadania jego żony, szczebiot dzieci; stary jakby nie słyszał. Ukończywszy wieczerzę na ławie się wyciągnął i zdawał się drzemać. Powstał wreszcie Szluguris i pożegnawszy się odszedł, a po chwili wymknęła się Magdalena i gdzieś przepadła, choć niby tylko na moment do sąsiadki za jakimś interesem zajrzeć miała. Barbara poczęła dzieci do snu układać i pacierz im mówić, Juras czółenko tkackie dla żony strugał.

— Długo Jurgis nie wraca — zauważył, do ojca się zwracając.

Stary na łokciu się podniósł.

— Idzie ktoś pieszo — rzekł, ku drzwiom spoglądając.

— Ktoby tak późno?

— Wyjdź, zobacz.

Juras wstał, ale nim do drzwi doszedł, te się otwarły i na progu stanął czarny, wysoki drab w żołnierskiej czapce.

— Pochwalony — ozwał się posępny głos Krystofa Jodasa.

— Na wieki — odparł Szwedas młody. — Nie poznałem ciebie po tej czapce. Myślałem, że wojna w kraju.

— Słyszałem, że ojciec twój jest we wsi, a że go trudno doma zastać, przyszedłem choć pod noc, bo mam do niego sprawę.

Stary Szwedas podniósł się z ławy.

— Wejdź i mów — rzekł.

Jodas próg przestąpił, skłonił się gospodyni i czapkę w rękach mnąc, do stołu się zbliżył.

— Mam do was, gospodarzu, interes, prośbę... —  
ozwał się niepewnym głosem.

— Mów — Szwedas powtórzył.

— Spodobała mi się dziewczyna wasza, więc  
o nią was proszę.

Zatrzymał się, sądząc, że odpowiedź będzie jaka,  
ale stary milczał. Juras w kął się usunął a Barbara  
tylko, zaciekawiona, tamując oddech słuchała oczy  
wlepiając w twarz teścia.

— Biedny jestem, jako wiecie, ale siły i zdrowia  
Bóg mi nie poskąpił. Sto rubli rocznie siekierą zarobię,  
chata i ogród jest, biedy wasza jedynaczka u mnie  
nie zazna, bom ani pijak, ani rozpustnik, ani hulaka,  
jako cała wieś mi to poświadczyć może. Tak tedy  
z uczciwą prośbą do was przychodzę.

Pochylił się do kolan starego, pokłonił się po-  
tem Jurasowi i Barbarze. Szwedas wyprostował się  
i ręce na piersi skrzyżowawszy, popatrzał mu bystro  
w oczy.

— Wie-li o chęci twojej dziewczyna? — spytał.

— Jako zwyczaj, do ojca wpierw przyszedłem.

— Toś źle trafił, bo ja jej tobie nie dam.

— Nie dacie? Innemuście obiecali?

— Pierwszy się odzywasz.

— Powiecie może, co macie przeciwko mnie?

— Powiem: z dwóch przyczyn odmówić ci mu-  
szą. Jako że dziewczyna zalotna jest, pieszczona  
i swawolna a ty zazdrosny i mściwy, więcbyś ją za-  
katował, a nie poprawił, i jako że ty nieprosty mi się  
wydajesz, nieczysty, niepewny w myśli i czynie...

Jodas zbiełał i wargi drżące zsiniały mu okropnie.

— Obelgą mi odpowiadacie — burknął przez  
zęby.

— Nie obelgą, ale słowem prawdy, jakieś żądał.  
Mógłbym ci ojcem być, więc prawo mam co myślę,  
powiedzieć. Naturę ci Bóg twardą dał, jako żelazo,  
ale na niej tyle rdzy narosło, że już to żelazo całą  
wartość straciło. A rdza ta, to twoja zawiść dla le-  
pszych i bogatszych, to twoja niechęć do ludzi, to

twoja dzikość, to twoja obojętność dla spraw i trosk sąsiadów, niedbałość i nieużytość. Nie bieda twoja mnie zniechęca, ale taka natura, bo nie strach mi zięcia ubogiego, ale strach mi zięcia zdrajcy, a tobie nie ufam i nie wierzę. Taka jest moja racja.

Jodas trząsał się cały, zmieniony i straszny wściekłością i wstydem. Oczy mu łyskały jak wilcze a zacięte zęby zgrzytały. Przez chwilę zgrzyt ten tylko i sapanie słychać było, wreszcie ozwał się schrypniętym, dzikim głosem:

— Takim ja, jakim być muszę! Biednemu dwie drogi ludzie zostawili: zdechnąć albo się spodlić! Ostatnie to wasze słowo na prośbę moją?

— Nie zdycha, kto duszę ma, i nie podli się, kto serce czuje w piersi. Takie moje słowo ostatnie. W złości żyjesz i zemście. Pamiętaj, że nóż to ostry i zatruty. Zabije, w kogo uderzysz, ale i ciebie otruje. Więc opamiętaj się, nim go użyjesz...

— Ja wiem, że się mnie lękacie: nie wypuszczajcie mnie stąd z odmową!

Szwedas wstał z ławy i oczy jego dziwnie za-błysły. Kapotę miał rozwartą na piersi i widać z pod niej było pęk szkaplerzy jaskrawych.

— Lękam się, Jodasie, Boga a nie złego człowieka. Nie groź mi i odejdz, bo teraz wiem, żeś zdrajca, a w chacie mojej tacy nie bywają — rzekł poważnie i surowo, drzwi mu ręką pokazując.

Potykając się, Krystof wyszedł.

W izbie zapanowało grobowe milczenie. Stary wciąż stał na jednym miejscu, ze wzrokiem utkwionym w czarną otchłań sieni, gdzie tamten zniknął. Zdawało się, że w pasowaniu trwał z jakąś myślą straszną, z jakimś zamiarem złowieszczym. Nareszcie rękę do czoła podniósł i przeżegnał się. A wtem na podwórzu zaturkotało i po małej chwili Jurgis wszedł niefrasobliwy i spokojny.

— Załatwiłem i koniki już wyłożyłem. Każecie je, ojczy, na nocleg gnać?

— Nie. W stajni je postaw i obroku zasyp. Napoję je sam w nocy. Pora spocząć teraz. Możecie zawierać chatę. Ja w stodole się położę.

Wyszedł i już izby do izby nie wrócił.

Pozostali jeszcze długo nie pomyśleli o spoczynku. Wróciła Magdalenka i we czworo rozprawiali ze zgrozą o Jodasie.

— Puści nas z dymem — biadał Juras.

— On gotów studnię zatruć — szeptała drząc. Barbara.

— A lotr jeden! — burczał Jurgis. — Jutro go za pogróżki do gminy zaskarżyć i basta! Jakiem prawem ten rozbójnik pomstować się waży?

Dziewczyna była najspokojniejsza.

— Ot, zawracacie sobie głowy lada gadaniem. Ja mu jutro jedno słowo rzeknę i będzie cicho — śmiała się pogardliwie.

— Tylko ty się z tym zbójem nie zadawaj, bo się biedy napytasz — upominał Juras.

— Oho, ja się go nie boję! Wydrwię i tyle! Ale co honor, to mi honor, żem nawet zbójowi głowę zawróciła!

— Mnie to Rozalki szkoda — szepnął Jurgis nieśmiało.

— Na wszelki wypadek gumna pilnować trzeba — odezwał się starszy brat markotnie.

Zabrali się wreszcie do snu, ale co chwila zrywali się nasłuchując niespokojnie. Po północy spłoszył ich skrzyp wrót do stodoły. Wypadli z kijami na podwórze. Ale nie złodziej to był, tylko ojciec, wracający na spoczynek. Co robił dotąd, nie mogli zgadnąć, a pytać nie śmieli.

Nazajutrz Wawer od godziny sam pracował, nadczekując na Krystofa. Wyglądał go i dziwił się niebywałej opieszałości, a wreszcie, nie rozumiejąc, co się stać mogło, ruszył do chałupy skrajnej, skąd go codziennie stuk warsztatu dolatywał. Podszedł pod okienko i zajrzał do wnętrza. Rozalka była sama, po-

chylona nad robotą. Wydała mu się bardzo blada i mizerna. Przestraszyła się, gdy do niej niespodzianie przemówił.

— Niema Krystofa? — zdziwiony spytał.

— Niema.

— Gdzie on?

— Poszedł z wieczora na robotę do Ramuniszek.

— Na długo?

— Nie mówił.

— Bodajby kark skręcił!

Rozalka milczała, nie odrywając oczu od roboty.

— Rachowałem na niego i nikogom do roboty nie zamówił. Teraz stracę dzień cały przez niego.

— Mało co u was do końca braknie, o dzień jeden mniejsza — zauważyła.

— Wyrachowałem do środy ukończyć, we czwartek poświęcić, a w piątek precz jechać. Dzień jeden dużo mi znaczy. Podłogi nieulożone i drzwi niewyrchtowane jeszcze.

— Tak już prędko jedziecie?

— Zda się wielki czas. Cztery miesiące, jak tu siedzę. Już mi nawet od roboty odzież się porozpadała w strzępy i bielizna podarła. Już mnie znajomi nie poznają w mięście, jak takiego oberwańca zobaczą.

— To źle was Maryjka dogląda.

— Nie lubię nikomu sobą turbacji robić.

Usiadł na ławce pod oknem i ku niej spoglądał.

— Robotnica z was okrutna. Aż miło patrzeć, jak was to czółenko słuha.

— Wprawę mam, co dnia to samo robię.

— Nie nudzi wam się tak samej w chacie?

— Przywykłam.

— Ale to wam nie służy. Dziewczęta inne krew z mlekiem na licach mają, a wy niedobrą bladość. Bym władzę nad wami miał, nie dozwoliłbym się tak zamęczać, urodę przed czasem tracić.

Dziewczyna spojrzała ku niemu i spotkawszy na sobie jego oczy, spuściła prędko głowę. Zrobiło



się jej gorąco na wspomnienie tych buziaków kradzionych, namiętych, co zda się jeszcze teraz paliły jej usta i szyję. Milczeli chwilę, może o jednym myśląc.

— Szwedasa starego wczoraj spotkałem — ozwał się Wawer, bacznie się jej przyglądając.

— Na odpust do Szydłowa pewnie się szykuje — rzekła spokojnie.

— Chytra jest — pomyślał Wawer. — Ale ją zaraz złapię.

— Z książkami — rzekł głośno.

Dziewczyna drgnęła lekko i warsztat jej ucichł. Zerwała się nić, więc ją związała i przez tę chwilę opamiętała się znowu.

— Nie wiem — odparła, ramiona wznosząc.

Zaśmiał się.

— Ej, Rozalko, nie do twarzy wam kłamstwo. Myślicie, że z Niemiec przyjechawszy, nie wiem, co znaczy ten szkaplerz czerwony, co wam z za gorsetu wyziera?

Dziewczyna mimowoli sięgnęła do piersi i znak ukryła głębiej, potem oczy zdziwione i trwożne wlepiła w mówiącego.

— Myślicie, że nie wiem, jakie to duchy uśmierciły szewca-pijaka i co tam za czary na Piłkalisie w trzecią noc nowiu się odbywają?... Zuchom nie warto bajek prawić, bo one ich nie odstraszą, ale zaciekawiają. A co, teraz wyście się zlekli!

Rozalka opuściła ręce na kolana, zalękła i onieśmielona.

— Milczcie, na rany Boskie — szepnęła drżąc cała.

— Żeby nie milczał, dawnoby po was wszystkich było. Ale ja różne tajemnice widział w swoim życiu i nigdy nie zdradzał. Powiedziałem teraz, byście mnie za dudka nie mieli i nie okłamywali darmo, a przytem byście się więcej na ostrożności mieli.

Dziewczyna wstała i zbliżyła się do okna. Wyjrzała na podwórze i drogę niespokojnie.

— Nikogo niema — rzekł Wawer. — Samiście ze mną, tak, jak onego wieczora, kiedyś was całował, a wyszycie mi w twarz dali. Pamiętacie? Mógłbym na was się pomścić.

— Moglibyście — odparła przez zęby, marszcząc brwi. — Nad samą siebie mnie ta tajemnica świętsza. Wiem-ci dobrze, żeście nie podły i dla próżnej przechwałki nie wydacie sprawy, co wam obojętną i obcą jest, a ludzkie żywoty kosztować może...

— Nie wydam was i znać po sobie nie dam. Obelgą mi wtedy plunęliście w oczy — pamiętacie — żem nikomu wiary nie dochował. Przekonacie się, żeście krzywdę mi czynili.

— Ja was dawno przeprosić chciałam — szepnęła niesmiało. — Nie chowajcie żalu! Takem w złości rzekła, niebacznie.

Wyciągnęła do niego rękę i spojrzała tak poczciwie prosząco, że Wawrowi krew gwałtownie nabiegła do serca.

— Rozalka — rzekł — byś wiedziała, jakaś mi ty miła!

— Nie godzi się wam tak mówić — upominała, cofając się.

— Ja wiem, ale żebyś chciała za mną pójść, tobym, dalibóg, tamto rzucił i podeptał...

Niechcący, niespodziewanie mu się to wyrwało.

Dziewczyna cofnęła się jeszcze dalej i potrząsnęła głową.

— Żartujecie, bo wiecie, żebym od swoich nie poszła — rzekła spokojnie.

A wtem od drogi gruby głos się rozległ:

— Toci państwo dopiero! W powszedni dzień od rana na amorach trwają!

Wawer się obejrzał: Krystof to był.

— A tyś gdzie dotąd siedział? Siostra twoja mówiła, żeś do Ramuniszek na robotę poszedł.

— Skąd ta głupia ma wiedzieć? Do żadnych Ramuniszek nie chodziłem, alem w twojej stodółce nocował i zasnął.

— A kłamiesz, bom w stodole był i ciebie nie widział — odparł Wawer, wstając i wychodząc do niego.

— Jakeś patrzył, takesz widział — burknął Krystof.

Poszli obadwa i po chwili siekiery ich słycać było przy robocie, a w chacie Rozalki miarowy stuk warsztatu. Pochylona nad tkaniną barwną, formowała desenie, zmieniała kolory, poprawiała niedokładności. Czasem spoglądała na świat za okienkiem i nuciła smutno.

Czegós jej ciężko było na duszy...

Na odpust od Didelisów nikt nie poszedł, bo stary Jan zaniemógł i już od trzech dni z pościeli się nie podnosił, stękając ciężko.

Jak mu Wawer odjazd swój na piątek stanowczo naznaczył, tak starego z nóg zważyło i nazajutrz nie wstał.

Jak struci, chodzili wszyscy w chacie, robota nie szła, rozmowa się nie kleiła, kobiety popłakiwały po kątach, mężczyźni siedzieli zmarkoceni i osowiali.

Wawer wnet felczera sprowadził, po doktora chciał jechać, zmartwił się okrutnie.

Ale stary niczego nie chciał, tylko wciąż go przy sobie trzymał, odejść mu nie pozwalał.

— Niechta się na ciebie przed śmiercią napatrzyć — mówił. — Ty mnie do trumny włożysz i w dół spuścisz. Nie potrzeba mi leków, ni doktora, ino twego widoku do skonania godziny.

Więc na taką mowę lament nappełnił chatę, a Wawer z desperacji za głowę się porywał, sam nie wiedząc, co robić, co rzec, co postanowić.

Tak się ten dzień odpustowy im żałobą i smutkiem naznaczył, że i nie pamiętali jak minął. Aż około wieczora ktoś na podwórze wpadł, prędko, bez pozdrowienia do chaty wbiegł. Była to Barbara

Szwedasa cała we łzach, z dzieckiem u piersi, rozczochrana.

— O Jezu! Marja! — krzyknęła, łkając.

Porwali się wszyscy do niej.

— Co się stała? Zdechło co u was? Dziecko chore?

Ale ona zdyszana, czepiając się sprzętów, nie więcej z siebie wydobyć nie mogła.

— O Jezu, Marja! O Jezu, Marja!

— Cicho Barbikie! — Wawer krzyknął. — Gadaj porządnie, ojca chorego nie strasz darmo.

Barbara do ojca przypadła.

— Tatusiu, ratujcie! Starego naszego wzięli! — wyjąkała.

-- Jakto wzięli?

-- Wzięli! Żandary, policjanty, do sądu, do kryminału!

— Matko cudowna! Za co? Gdzie?

— Ja nie wiem, Juras z tą wieścią wpadł, parobczaka zabrał i precz polecili — ratować. O Jezu! O Jezu!

Jeden Wawer rzecz całą zrozumiał zapewne, bo dalej nie pytając, za czapkę wziął i wybiegł prędko. We wsi czuć było coś niezwykłego. Kupili się ludzie, szeptali, oglądali się trwożnie. On ich wszystkich mijając i dobiegł do Jodasów chaty.

— Rozalko! — krzyknął przez okno.

Nikt nie odpowiedział. Postał chwilę, namyślając się, równie prędko do Rufina zawrócił. W chałupce świeciło się przecie. Wpadł żywo do środka.

— Jest Rozalka? — zdyszany spytał.

— Jestem — odparł głos dziewczyny, bardzo zmieniony.

— No, to chwała Bogu! — rzekł, oddychając z ulgą.

Obejrzał się dopiero po izdebce, Rufina dłoń uściskał.

— Kto tam jeszcze w kącie siedzi? — spytał.

— Swój — rzekł rzeźbiarz. — Marcinek.

-- Wiecie, że Szwedasa aresztowano? — zagadnął ciszej.

— Wiemy — odparł Rufin głucho.

— Jakże to było? Wiecie? Znaleźli co przy nim? — badał zajęty i niespokojny.

— Ktoś wydał widocznie... Przed Szydłowem z lasu wyjeżdżał, gdy go opadli. Był wóz pełen. Zabrano wszystko.

— Z was trojga nikogo nie zaczepiono?

— Nikogo twymczasem. To dopiero początek.

— Któż wydał? Tego hycła ogniem piec, za nogi wieszając...

— Nie minie go kara — uroczyście Rufin wymówił.

— Dziesięciu wyda, stu — zostaną jeszcze tysiące na zemstę...

— Kto on? — Nie macie posądzenia na nikogo?

-- Dotąd nie. Wczoraj wieczorem to się stało. Rozalka przed chwilą z wieścią przybiegła. Marcinek na noc dalej pójdzie.

— Wy się na ostrożności miejcie!

— Bóg ci zapłać za troskliwość! Mniejsza o nas. Szwedasa nikt nie zastąpi, a ten już zginął.

— Wykręci się.

— Już nie! Trzeci raz go biorą. Teraz już go więcej oczy nasze nie zobaczą. A my teraz, jak stado bez przewodnika, rozlecim się na cztery wiatry.

— Gadacie — wtrącił Wawer. — Na jednym człowieku sprawa nie stoi.

— Prędzej na jednym, jak na tysiącu. Jeden wielki głaz pod węglem dłużej budynek utrzyma, niż drobnych kamieni setki, choćby je na cement najtęższy kładł.

Głucho milczenie zapanowało po tych słowach. Marcinek je przerwał, wstając:

— Pójdę już — rzekł. -- Ostańcie z Bogiem, a jakbym się spóźnił, do koni kogo na moje miejsce poślijcie.

— Daj ci, Boże, szczęśliwie — pożegnali.

Zatrzymał się w progu i do Rozalki zwrócił:

— Skrzypki moje z budy zabierzcie, jakby deszcz padał.

— Zabiorę, wracając do domu.

Chłopak zniknął a oni siedzieli jeszcze chwilę, bardzo smutni i zgnębieni.

— Masz co do schowania u siebie? — zagadnął Wawer Rufina.

— Rozalka zabrała już.

— Oddajcie mnie lepiej — zwrócił się do dziewczyny.

— Nie trzeba. Mnie to już nie pierwszyczna.

Wyjrzała oknem, a pod chustkę ukrywszy zwitek niewielki, skinęła głową kalece i wyszła.

Poskoczył za nią Wawer.

— Jakem o Szwedasie usłyszał, tom się o was przeraził okropnie. Uchowaj, Boże, na was co złego — mówił, towarzysząc jej wytrwale.

— To i co? — odparła z jakąś niebywałą u niej goryczą. — Mnie i tak życie niemiłe. A najgorszy strach i zgryzota, skoro mnie oszczędzą!

— Nic was nie rozumiem.

— Bo nie wiecie tego, co ja wiem, i krew w was tak jak moja z rozpaczy nie zamiera.

— Co wam takiego? Przecie wam Szwedas ojcem nie był, przecie nie przypadnie z nim wszystko. Osobliwa z was dziewczyna! Kochać wam i bawić się, a nie o spiskach rozmyślać.

— Do kochania i zabawy dosyć jest bezemnie. Nikomu ja niepotrzebna, bom ni wesoła, ni miła

— Dalibyście pokój! Zgryzła was ta awantura. Ot, jeszcze wszystko się uspokoi. Będzie, jak było.

— Nie będzie już — westchnęła żałościwie.

— A mnie z pomocą macie. Co schować macie, oddajcie. Nie dam wam samej po nocy się błąkać. Teraz może śledzą a na mnie nikt posądzenia nie poweźmie, bom zwykł włóczyć się o wszelkiej porze.

Weszli do chaty Rozalki. Nie zapalając światła, zakrzętała się, on stał w progu.

— Chcecie znowu iść? — zawołał, gdy znowu tańczyła przed nim.

— Pójdę.

— Nie! Zostaniecie! — rzekł stanowczo. — Pójdę ja sam, a wy spoczniecie. Dajcie, co macie.

Przemocą wziął jej z rąk zawiniątko.

— I skrzypki tego chłopca do chaty zabiorę, a to tak schowam, że i pies węchem nie znajdzie. Bądźcie spokojni i dobrej myśli.

— Dziękuję wam za usługę.

— Krystofa niema?

— Niema — odparła, jakby przerażona, oglądając się wokoło.

— Co macie sama tu siedzieć, chodźcie do nas. Ojciec tam chory leży, ale przy Maryjce raźniej wam będzie.

— Dziękuję. Zwykłam sama być. Wyście bardzo dobry!

— Ot, osobliwość! Żebyście wiedzieli, jakem o was niespokojny tutaj z domu biegł! Bardzo mi was szkoda, Rozalko!

Dziewczyna nic nie odrzekła i odeszła w głąb izby. Myślał, że ją rozgniewał, więc tylko: „dobranoc” rzekł i odszedł, nie chcąc drażnić.

Gdy wrócił do chaty, rozprawiano jeszcze o Szwedzie. Istotnie, sprawa jego była ciężka. Trzeci raz powtarzało się to samo. Za pierwszym razem opłacił karę, za drugim odsiedział w więzieniu, teraz go ześlą niechybnie. Wieś poruszona była, zgrozą przejęta, przeklinano duszę i życie zdrajcy. Bo zdrajca był w tej sprawie. Ale kto?

Stary Jan już nie stękał, ale z okiem, w sufit utkwionem, rozmyślał, nic nie mówiąc. Rozjaśniły mu się oczy na widok Wawra, obrócił się z trudem i rękę jego ująwszy, zcicha rzekł:

— Synku! Jakes mi odjazd swój oznajmił, pomyślałem, że dziecko ojcu nie potrafi gorszej troski uczynić, jako ty mnie uczynił. A oto teraz myślę, żem cię skrzywdził. Bo jako boleć musi ten ojciec,

którego syna do zdrady szatan skusił! Jako on bole musi! O Jezu!

— Tatusiu miły, nie karzcie mnie taką mową!

— Nie, synku, nie! Już ci się opierać nie będą kiedy ci co innego sądzone, zatrzymywać się nie ośmielę. Mój ta ból próżny jest i niesłuszny na przeciw tamtego. Nauczył mnie Bóg...

Mało co spano owej nocy po wszystkich zagrodach. Rankiem, niewiadomo skąd, słuch się rozszedł po wsi — jeszcze nieśmiały, niewyraźny szept.

— Jodas wydał Szwedasa!

Skoro do Didelisów to doszło, zakipiało, jak w garnku. Maryjka z początku jakby skamieniała potem z jękiem, krzykiem, z łkaniem poleciała do Rozalki.

Wawer iść nie śmiał. Siedział zgarbiony, milczący, ze wzrokiem, wlepionym w ziemię.

— Może to być? — spytał Jan oburzony, siadając na łóżku i po synach spoglądając.

Nikt nie potwierdził.

— Jak żmija, plotka pełza i niewinnego kąsa — rzekł Piotr.

— Pójdę do Szwedasów prawdy się dopytać — dodał Andrzej.

— Tyś ludzi siła znał, Wawer! Może to być? — stary uparcie badał.

— Nie powiem, ojczy, aż palca w ranę nie włożę. Ze wszystkich to zbrodni najcięższa.

Andrzej powrócił. Ponury był i z wieścią się nie kwapił.

— Prawda-li to, co mówią? — Jan pytał.

— Prawda! Juras właśnie przyszedł z miasteczka. Widział na śledztwie, przy spisaniu protokołu Krystofa między policją. On doniesienie zrobił.

— Tedy mu hańba po ostatnią jego godzinę i hańba temu, co go imieniem Bożem pozdrowi! — zawołał stary dzikim głosem, opadając wyczerpany na posłanie.



Wawra dreszez wstrząsnął. Uciekł z chaty od tych słów okropnych, od klątw, które bracia ciskali... Ale we wsi mały, duży to samo miał na ustach, a w oczach nieubłaganą, cichą żmujdzką zaciętość.

Nie podnosił nikt głosu, ale w szmerach były dzikie zgrzyty, szepty dyszały wściekłością.

U Szwedasów' było zbiegowisko na podwórzu, tłok w chacie.

Juras, schrypnięty, trzęsący się od złości i zapamiętania, opowiadał przebieg katastrofy i śledztwa. Jurgis płakał, jak dziecko.

— Niedoczekanie jego po naszej ziemi chodzić i z niej chleb jeść! Niedoczekanie jego do kościoła wstąpić i słowo od człowieka posłyszeć! Niech się udławi temi pieniędzmi, co mu dadzą, niech się na nieświęconym cmentarzu obwiesi, gdzie cholerników i samobójców grzebią! — pomstował okrutnie Juras.

— Nie ośmieli się on tutaj powrócić — mówili wszyscy.

— I tatusio nie wróci! — wzdychał Jurgis. — Jutro go jak złodzieja czy zabójcę do Kowna powiodą.

Wawer i stamtąd uciekł i mimowoli do Rufina swe kroki skierował. Co ten mu powie?

Kaleka przy stole swym roboczym siedział, figurkę świętą rzeźbiąc. Był blady jak papier, trzęsły mu się wargi, a na chude ręce, pracą zajęte, padały z oczu rzadkie, wielkie krople — jak perły. A on ich nie ocierał, ani się wstydził, ani chował, choć skrzyp drzwi usłyszał i gościa poznał.

— Rufin!... Spodziewałeś się ty łajdactwa takiego? — wybuchnął Wawer, stając przed nim.

Rzeźbiarz roboty zaprzestał i ręce swoim zwyczajem wyciągając na stole, złożył na nich głowę znękaną.

— Można w co wierzyć na świecie, co czynić, co kochać — Karewis wzburzony dalej mówił — kiedy ludzie jak psy się gryzą, jak niewolniki zdradzają! A gdzież to ziemi umiłowanie, gdzie ta wiara, coś ty

kiedyś tak słaWił. Ten na obczyźnie nie był, ta chata go wychowała, ta ziemia wykarmiła, a taki on! Mnieście wytykali palcami, sądziliście, nazywaliście odstępcą, Niemcem! Któż on — ten wasz chłop — ten wasz brat?

— On jest mordercą i zginie — powoli, uroczyście mówił Rufin.

Łzy mu zaschły, głos stwardniał.

— Jego jako kłokol wyrwą i spalą innym na przykład. I tylko ja jeden po nim zapłacę i ta matka-ziemia we wnętrzościach swoich ból poczuje po synu zgubionym, po sile zmarnowanej, po nadziei zagasłej... Tak on przepadnie marny i przeklęty, tak on zgnije oplwany, a zgubi go właśnie ta moc, którą pogardził, to kochanie i wiara, których się odprysnął. W boju one i we łzach trwają i trwać będą ale nie daj nikomu z nas, Boże, boju tego być kwasem, łez tych być przyczyną. Takim on jest — ten zdrajca!

— A wiesz, dlaczego zdradził? Dlatego, że Szwedas mu dziewczyny odmówił.

— Dlatego, że Bóg tak dopuścił — Rufin poprawił poważnie. — Wszelakiemi — On wielki — ohydami świat ten obsiał, gryzące pyły rozrzucił, kolące osty po ścieżkach zastawił, zjadliwe gady pod głazami ukrył, gorzkimi smaki napoje naprawił. A wszystko — On dobry — tak zrobił, byśmy, nieba żądając, do Niego wciąż tęsknili, wśród ziemskich nędz i bólów, zawsze hen, w górę nagrody i wypoczynku wyglądali. Taki — On mądry jest!... A ten zdrajca o tem zapomniał — przeto ja płacę po nim — bo z biednych, z nędznych — on najbiedniejszy, najnędzniejszy!

— Rufin, tyś chyba święty, że ty tak wszystko inaczej, niż ludzie, widzisz. Ty chyba z Bogiem rozmawiasz!

— Nie święty ja i nie inaczej widzę. Tylkom sam zawsze. Z kimże rozmawiać mam, jak nie z Bogiem, co mi sierocie jeden pozostał — za wszystko, czem wy się cieszyecie.

Wawer nie śmiał się więcej odezwać, szacunkiem i czcią zdjęty, a kaleka znowu do roboty się wziął i już zwykłym tonem spytał:

— Widziałeś potem Rozalkę?

— Nie. Nie godzi się jej widokiem obcego smutku powiększać.

— Słusznie uczyniłeś. Ranne zwierzę i człowiek nieszczęśliwy jednaką naturę mają. W jamę czarną, w pustkę daleką skryć się i cierpieć.

— On tu nie wróci chyba?

— Nie poważy się, myślę.

— A jakby się poważył?

— Uchowaj go, Boże, od takiej doli!

— Ludzie zapomną — lękać się go będą zresztą.

— To naszych ludzi nie znasz. I nie zapominają oni i raz zrażeni, nie znają, co lęk.

— Zdradził kogo więcej?

— Nie.

— Wrócił Marcinek?

— Wrócił. Już o tej porze z końca w koniec kraju wiedzą, że w łańcuchu jedno ogniwo pękło stalowe, hartowne ogniem i wodą, i z nami wszyscy biadają...

Zagawędzili się długo i zmierzch był, gdy Wawer niespokojny o ojca, do domu z powrotem ruszył. We wsi było cicho. Nie odzywały się jak co wieczór skrzypki u Butkisa, a po ogrodach śpiewy i śmiechy. Jakby żałobę włożyli wszyscy, tak głucho było i niemo.

Skręcając na gościniec, Wawer zmoreę ujrział i o krok się cofnąwszy, przeżegnał.

Zdało mu się, że przed nim przeszedł Krystof. Szaro było, więc oczom nie wierzył, ale i przekonać się nie śmiał, zdjęty wstrętem i grozą. Onże to był? Niepodobna!

Przywidziało mu się coś, bo głowę miał Jodasem nabitą. Mógł urlopnik jaki czapkę żołnierską włożyć, innej pod ręką nie mając, mogło wielu parobków mieć wzrost Krystofa i jego chód ciężki, spracowanego

wyrobnika. On się wrócić nie poważy, tak prędko przynajmniej.

## IX

Skurczona, jak zwierz ranny, jak robak zdeptany, Rozalka siedziała na ławie przy piecu, w najciemniejszym kącie. Cały dzień nic nie miała w ustach, nie tknęła roboty, teraz nie zapalała światła, nie myślała o spoczynku. Już jej łez zabrakło, siły do łkania nie stało, już nawet jej rozpacz stępsiała, już ją i czucie odbiegło. Oprócz Maryjki nikt u niej nie był, nikt nie klął i nie złorzeczył, ale ona rozumiała tę niebywałą ciszę wsi, ona wiedziała, co za głos wielki, duszny ta cisza kryła. Ona знаła naturę swego ludu!... Ta cisza wyklinała ją ze społeczności, jej chatę ze wsi, ta cisza wyrokiem była nieubłaganym, mściwym, zapamiętałym.

I oto nagle drzwi od sieni skrzypnęły. Może to Wawer idzie, któremu kiedyś niewiarę zarzuciła?... Przyjdzie i on mściwy i spyta, jakiej wiary dochował ten jej brat rodzony, zdrajca? Rozwarły się drzwi od izby. Nie odzywała się i nie ruszyła. Ktoś potarł zapałkę, zatlił kaganek i nagle ujrzała Rozalka... Krystofa.

On sam w swej czapce żołnierskiej i w mundurze, który na odpust był włożył, ponury, trochę zgarbiony, patrząc, jak wilk, zpodełba.

Zobaczył ją, nim oprzytomniała, nim zdołała krzyknąć.

— To jesteś! — burknął. — Cóż siedzisz i oczy wylupiasz? Prędszej, jeść mi daj i wódki przynieś!

Ona się nie ruszyła. Zgarnięta na ławce, zczerniała przez ten jeden dzień, patrzyła nieruchomie, coraz dziczej na niego. Rozdymały się jej nozdrza, krwią nabiegały skronie. Jego też rozdrażniało jej wymowne milczenie, oburzył opór widoczny. Podszedł, pięści składając.

— Ruszysz się, czy nie? Słyszałaś? Jeść chce i wódki! Zaraz!

Ona powstała wreszcie, cała się trzęsąc ze zgrozy.

— Czegoś tu? — zawołała. — Chatę tę dla uczciwych ludzi stawiali, a nie dla łotrów i zaprzędajników! Precz idź, skądś przyszedł!... Chleba dla ciebie niema tutaj! Precz idź!

A wtem Krystof pięść podniósł na nią bić począł, drugą ręką za włosy uchwyciwszy. Spadały na nią razy i soldackie przekleństwa, po izbie ją włóczył za warkocze, nogami kopał, sam tak zajadły i rozjuszony, że pianę miał na ustach, krew w oczach.

Dziewczyna nie wydała głosu z siebie. Zrazu broniła się, zasłaniając rękami, szamocąc się, potem straciła siły i przytomność, osunęła się na ziemię. Byłby ją zabił chyba, bo leżącą i omdlałą jeszcze bił, szarpiąc jej odzież, wydzierając włosy, a ona, już mocy zaciętości nie mając, tylko jęczała żałośnie, ledwie dysząc, półmartwa.

W tej chwili Krystof poczuł, że go ktoś za kark chwycił, oderwał od ofiary.

— Ty zbroju! Sołdacie! — chrypliwy od wściekłości rozległ się głos Wawra. — Puść jej włosy, bo cię zduszę, jak robaka! Ty jakie prawo masz słabą kobietę katować!... Precz stąd!

— Precz ty sam! Zabiję ją, skoro mi się spodobą! Tobie co do mnie? Ona mnie słuchać musi, a nie chce, to za każdym razem tak jej będzie! A szelma! Będzie mi ona fochy stroić! Ubiję na śmierć i za płot wyrzucę, jak psa! Ty idź, pókiś cały!

Wawer go puścił z żelaznego uścisku, do kubła z wodą skoczył i w dłonie zaczerpnąwszy, na dziewczynę wylał. Już i jęczeć przestała. Leżała bez ruchu, z krwią na ustach, w podartej koszuli, przykryta gęstwiną potarganych włosów.

Wawer ją na ręce wziął, położył na posłaniu i na Krystofa już nie zważając, jął cucić, jak umiał, przyskajac wodą, trąc ręce.

Jodas na ławie się wyciągnął, kląć nie przestając. Odgrzązał się całemu światu. Pijany był i rozwścieczony. Nareszcie Rozalka rozwarła oczy, powiodła niemi wokoło. Niejasno jej było przez chwilę w umyśle, ale wnet pamięć wróciła i ból i żal i oburzenie. Spojrzała na Wawra z bezmierną wdzięcznością i rozpaczą zarazem, potem na Krystofa, miotającego się, jak potępieniec. Wstała z trudnością.

— Odeszła was słabość? — Wawer troskliwie spytał.

— Odeszła. Bóg wam zapłać!

— Nie zdechłaś? — Krystof wrzasnął. — Dostałaś naukę, żebyś przedemną gęby nie otwierała, tylko słuchała rozkazów! Ja cię nauczę rygoru, niecnoto! Ja cię tak ścisnę w łapie, że cienia mego bać się będziesz! Nie będziesz włóczyć się po norach i ze złodziejami władzy się opierać! Skończone Szwedasa panowanie i twoja wola!... Teraz moja będzie w chacie... i w całej wsi!... Ja pan!... No, podziękuj swemu gachowi, że cię obronił, a potem jeść mi daj, rozbierz i posłanie dobrze wyściel. Ja teraz pan i wszyscy niech mnie słuchają, bo jak nie, to za Szwedasem pójda!... Słyszysz, Wawer? Powiedz im to.

Rozalka, staniając się na nogach, podeszła do swego kuferka, otworzyła go, zebrała garść bielizny i odzienia, zawinęła to w płachtę, narzuciła chustkę na siebie, skierowała się do drzwi.

Krystof zerwał się na nogi, przyskoczył do niej.

— Gdzie to? Nie pójdziesz nigdzie!

Za ramię ją chciał porwać, ale szeroka pierś Wawra stanęła między nimi.

— Nie rusz! — rzekł krótko, ale takim głosem, że mroził krew w żyłach.

Rozalka za tą twierdzą żywą mogła się odezwać.

— Pójdę do ludzi — rzekła. — Tutaj teraz nie moja chata, gdzie mnie katują, jak zwierzę, tutaj teraz i nie mego brata chata, ale zdrajcy i nikczemnika. Tutaj już ja więcej nie wrócę, gdzziem przez jeden dzień wszystkie wstydy i bóle poznała, gdzziem

się sromoty i gwałtu doczekała... Niech cię te ściany ojcowskie przeklną, niech ciebie i to, co ci zostawiam — udławi, boś nawet dobrej śmierci niewart — ty zdrajco!

Ze zdławionym rykiem Jodas rzucił się ku niej, ale na miejscu go przykuły ramiona Wawra. Poczęli się szamotać.

— Puść! — zachrapał wreszcie Krystof.

Wawer odstąpił.

— Puszczę cię — rzekł. — Ale nim odejdę, to ci ostatnie słowo rzeknę, jakie od ludzi tutaj posłyszysz. Życzliwe słowo, więc je zapamiętaj! Nie pan wróciłeś do wsi, ale przekłęty. Więc ci teraz nie szaleć i cięższe grzechy na sumienie brać, ale precz stąd iść trzeba. Za góry i lasy, za łądy i wody, jako Kain szedł. Jeśli Bóg wszystek twój pot i łzy i krew zechce na zrównanie winy przyjąć, to je daj, boś, jako Kain, winien, jako bratobójca i Judasz grzeszny. Jeśli się opamiętasz i słowa mego usłuchasz, ja ci dopomóc gotówem. Pamiętaj!

Zawrócił się i nie żegnając go, wyszedł.

Rozalka słyszała go z sieni i nagle poczuł jej usta na swojej ręce i szept stłumiony:

— O, jakiście dobry, Wawer.

Zawstydził się tego pocałunku.

— Co tam! — rzekł. — Bardzo was skrzywdził?

— Dusza gorzej boli... Bóg was w porę sprowadził.

— Wraciałem od Rufina. Mignęło mi coś... Krystof nie Krystof. Nie wierzyłem oczom, chciałem się przekonać, więc po namyśle pod okno do was podszedłem. Jeszcze w porę dał Bóg! Uśmierciłby was! Do nas was zawiodę. Tam już będzie bezpiecznie.

— Dziękuję. Jutro do dworu pójdę. Dawno już mnie na służbę namawiają. Robotę przed odpustem odniosłam, jakbym przeczuwała. Nic już w chacie swego nie mam, ino hańbę, co za mną w ślad pójdzie...

Zapłakała gorzko, a on się do niej przysunął i ot tak, sam sobie z czynu sprawy nie zdając, żalem zdjęty i czułością, ramieniem ją wpół ogarnął.

— Kwiatuszku mój biedny — wyszeptał, tuląc ją do siebie.

Wstrząsały ją łkania i nie opierała się wcale pieścoci. Tak nieszczęśliwą się czuła i tak samotną.

— Było mi poco wracać do chaty jego, niegodziwca, prosić, by też ostał! — żaliła się. — Myślałam, że on tu złagodnieje, usatkuje się, jako ojciec będzie. A on taki się stał. Szwedasów dobrych żałobą okrył, wstyd i hańbę i zgubę nam zgotował!

— Nie płacz, Rozalko, tyś niewinna! Ciebie każdy uszanuje i pożałuje. Nie zobaczysz go więcej. Pocieszy cię Bóg zato dobrą dolą. Nie płacz, nieboga!

Wawer coraz bliżej ją do siebie tulił i wreszcie tak się pochylił, że ustami jej czoła dotknął.

Ona, zajęta swą troską jedynie, dała się całować, a w nim krew poczynąła grać i serce bić gwałtownie.

Już pod płótem Didelisów sadu byli, gdy on ją w objęcia wziął, całując po twarzy i ustach. Wtedy się opamiętała i przestraszyła okropnie.

— Wawer! — poczęła błagać. — Nie godzi się! Puście! Swoją macie dziewczynę! Grzech popełniacie!

— Co zrobię, kiedym was umiłował i wstrzymać się nie mogę, tak mię do was serce woła! Pójdźcie za mną, a tamtą rzuć! Przysięgam!

— Nie grzeszcie! Opamiętanie miejcie! Nie żonam ja dla takiego pana, ino chłopka głupia. Nie mogę pójść za wami!

— Byś mnie choć krztynę lubiła, poszłabyś, ino ci inszy śnać miły!

— Bym was nad życie miłowała, nad ziemię swoją i niebo... nie potrafię... Zostawcie mnie! Ludzie zobaczą i dobrą sławę mi odbiorą. A toć nad to ja, biedna, nic nie mam!

Wówczas on się zawstydził i upokorzony, odstąpił a ona z przeproszeniem spojrzała nań i przodem do chaty weszła. On chwilę pozostał, by swe wzbu-



rzenie opanować. Wrzała mu w piersi szalona do tej dziewczyny ochota, ino na myśl nie przyszło zostać tu dla niej. Zabrałby ją z sobą, przemocą wiódł, ale zostać, los świetny zagrzebać? Nie, tego nie zrobi.

Gdy wrócił do chaty, już się opamiętał, pilnował swych oczu i mowy, spokojnie u zapłakanej Maryjki o wieczrę się upomniał. Stary Jan już się zwłóknął na ławę i Rozalkę koło siebie trzymając, gładził ją, jak własne dziecko, po głowie.

— I dziewczynę biedną nakarmcie — rzekł. — Niech choć z musu je, bo siłę całkiem straci. Wy, kobiety, nie rozżalajcie jej waszym płaczem. Niech moc zbierze, niech się uspokoi.

Maryjka podała na stół jedną miskę dymiącą i parę łyżek.

— Siadajcie i pożywajcie — wezwała szwagra i siostrę.

Stołem przedzieleni, wieczierzali wspólnie, czerpiąc razem kapustę z misy i dzieląc się kromką chleba. Jan umyślnie rozmowę o czem innem wszczął i po chwili spokój pozorny powrócił. Potem Rozalkę w gościnnej izbie ułożono do snu i cisza zaległa chatę. Tylko Wawer w swym alkierzu długo usnąć nie mógł, rozdrażniony, niespokojny, z głową pełną dzikich projektów...

Nazajutrz po śniadaniu Rozalka, mimo próśb i protestów, mimo perswazyj mężczyzn i płaczu kobiet, zabrała się do dworu. Ucałowała ręce starego, uściłowała siostrę i chciała już iść, gdy Wawer wstał i na progu ją zatrzymał.

— Nie będzie tak — rzekł. — Nie pójdziecie jak żebraczka, piechotą, ale pojedziecie wozem, jak gospodarska córka i siostra. Piotr zabrał do pługów bratnie konie, ale w stajence stoją kobyły dereszowate, com je ojcu na gospodarkę kupił. Odwiózłbym was sam, ale ludzie gotowi plotkę jaką krzywdzącą zbajać, więc Andrzej was odstawi porządnie, aż pod bramę dworską. Tak będzie ładnie i stosownie.

Rozalka spojrziała nań wdzięcznie, a Andrzej, nawykły słuchać, jak ojca, tego brata bogacza, już drabiak wyścielał kilimkiem.

Tak tedy pojechała Rozalka sierota, wysoko na wozie, parą spasyłych, zmujdzkich mierzynów, przeprowadzona aż za wrota przez całą rodzinę, pobłogosławiona przez Jana.

Drabiak podskakiwał a klacze Wawrowe parowały rażno. Ona się długo oglądała za siebie i aż do zawrotu u figury widziała jeszcze, jak Wawer przed furtką stał i za nią patrzył rozkochanemi oczami a wiatr mu z odkrytej głowy włos rozwiewał, który mu przez to lato odrósł, jak go chłopci noszą. Jak jej tego chłopaka zawrót skrył, zrobiło się jej tak nudno i ciężko, jakby rodzzonego pogrzebała, i płakała zcicha całą drogę, szwagra rozmowy nie słysząc.

Po godzinie wrócił Andrzej, opowiedział, że dziewczynę państwo radośnie przyjęli do garderoby za pokojówkę do panienek, że jej tam dobrze będzie i spokojnie. Ucieszyli się wszyscy, tylko Wawer, dziwnie markotny i milczący, klacze swoje do żłobu zaprowadził a potem siedział, jak senny, ni roboty, ni zwykłych figlów z dziećmi się nie imając. Rozchmurzył się dopiero, gdy Jan stary o przeprowadzce do nowej zagrody zaczął mówić, przedmiotem tym zajęty, radością jaśniejący.

Gotowa była już ta chata jego ulubieńca i chluby, jutro ją poświęcić miano. Wawer już się z panem porozumiał i Marcinka od służby uwolnił, przy ojcu starym na gospodarce chcąc osadzić.

Już też i w gminie rozpiął, swojej części zagona na braci się zrzekając, już i sprzęty wszelakie kupił i narzędzia rolne i krowę z półrocznym cielakiem i świń kilkoro i owiec trzy.

Były wszelkie dostatki i sprzężaj a nad drzwiami Rufin figurkę wyrzeźbił, podobiznę Chrystusową na krzyżu, całą złocistą.

Mówiono tedy o tej przeprowadzce na pojutrze i o paszy dla bydłaków na zimę.

Wtem ktoś drzwi z hałasem otworzył i raptem rozmowy ucichły, w izbie jakby makiem siał.

Był to Krystof.

— Po dziewczynę przyszedłem — burknął bez powitania.

Nikt się nie odezwał i na niego nie spojrział, tylko Jan stary z obowiązku, krótko, niechętnie zamruczał:

— We dworze, na służbie ona jest.

— Sprowadzę ją prędko kijem. U Wawra też pieniądze mam należne za robotę.

— Ile? — Wawer spytał.

— Trzy ruble.

W milczeniu Wawer pieniądze z pugilaresu dobył, na stole przed nim położył.

Krystof je zgarnął, spojrział po nich, jakby czekał wyrzutów i łajania, chciał się kłócić. Ale nikt się nie odezwał i nawet Maryjka gwałtowna, choć chęć miała po temu okrutną, nie pisnęła słowa, pod surowym wzrokiem męża i teścia zostając.

— Zostańcie zdrowi — Jodas pożegnał, wychodząc.

Nikt mu „z Bogiem” nie odpowiedział, jako zwykle.

Zaczynała się dla niego ta dola okrutna, którą Rufin prorokował, nie posłyszysz on głosu człowieka.

Krewni, znajomi, kobiety, dzieci małe, wszyscy, jakby się sprzysięgli, spotykali go, mijali, jakby nie istniał, bez słowa, bez powitania, bez Bożego pozdrowienia.

Gdy na kogo spojrział, spotykał wzrok zimny i ponury.

Dziatwa, zdaleka go ujrzawszy, wołała ze zgrozą:

— Jodas! zdrajca!

Kobiety odwracały głowy.

Dzień cały tułał się po wsi zuchwały, wyzywający, szukając zaczepki. Wieczorem przywłókł się do pustej chaty i wzięwszy siekiere, warsztat Rozalki w sztuki porąbał a kotka jej białego nogą kopnął i za drzwi wyrzucił.

Izba była niewymieciona, piec zimny, chłód i ciemność wyzierała z kątów. Nie stało bez dziewczyny duszy w chacie.

Krystof długo usiedzieć nie zdołał. Coś go kąsało w duszy.

Poszedł do Butkisa i między gospodarzami usiadłszy, wódki zażądał.

— Niema wódki — szynkarz odparł. — Miał po nią Szwedas jechać. Ano... Teraz nie mam podwoły.

— Będzie teraz Szwedas kajdany nosił i do zdechnięcia piechotą chodził — zuchwale Jodas krzyknął.

Nikt mu nie zaprzeczył, ani potwierdził. Grobowe milczenie zaległo szynkownię, poczęli po jednym chłopu wychodzić, prędko piwo i fajkę kończąc.

On sam wreszcie został; bo i Butkis do alkierza się wysunął.

Posiedział czas jakiś i wyszedł rozstrojony, jakby przelękły, straciwszy, wobec tego martwego milczenia, cały swój rezon i równowagę...

Nazajutrz do dworu po Rozalkę poszedł, ale dziewczyny nigdzie nie spotkał, więc się do pana zameldował. Wprowadzono go do kancelarji, gdzie pan nad jakimś pisaniem siedział i nie jak' znajomego, ale jak obcego, obojętnie spytał:

— Potrzebujesz czego?

— Po siostrę przyszedłem, która wczoraj uciekła z chaty. Nie pozwalam jej służyć i chcę zabrać...

— O Rozalce mówisz? Chora ona, doktor był właśnie i stwierdził ciężkie pobicie. Nie wiesz, kto to zrobił? Bo obowiązkiem moim jest sprawę tę do sądu podać. W każdym razie teraz jej zabrać nie możesz, bo leży ciężko chora.

Krystof się zmieszał wobec spokoju pana i chłodnej stanowczości.

Coś zamruczał i wyszedł, coraz bardziej wyłękły. Chatę kołkiem podparł i nazajutrz już go we wsi nie było. Poszedł szukać roboty po dworach okolicznych.

Nad zagrodą Wawrową dym się pierwszy wzbijał siwą smugą, prosto mknąc ku pogodnemu niebu.

Zdąleka widział go Rufin Diwodirbis powoli na kulach dążący w tę stronę.

Ciężki to był kurs dla niego i ważny bardzo interes widocznie miał, gdy się na taką mękę odważył.

Kapliczkę swoją odwiedził, przy krynicy chwilę odpoczął i dalej włókł się z czołem, potem oblanem. Świeżo odbita droga wiodła do folwarczku. Ogrodzony już był i okopany, z bramą porządną, co strzegła podwórza i miejsca, gdzie sad miał być kiedyś.

Na podwórzu pusto było, tylko pod chatą w słońcu kotek biały się wygrzewał. Rozalki kotek, którego Wawer głodnego, zdziczałego pojmał i przytulił. Rufin do domu wszedł i pozdrowił starego Jana, który po izbie białutkiej się krzątał wesoły i uśmiechnięty, jakby o dziesięć lat odmłodził.

— Rufin! A to się mój chłopak gościem ucieszy! Siadajcie, proszę.

— Daj wam Boże szczęście w tej chacie!

— Bóg wam zapłać za dobre słowo. Byle Wawer tu ostał, szczęścieby było.

— Jakże? Nie zostanie?

— Nie. Ledwie go do pojutra uprosił. Już się też nie godzi więcej dokuczać i wstrzymywać. Wola snać taka Boża. Czy ja wiem? Mnie mimo wszystko coś szepce, że niedarom się modlił. Może Bóg jaki cud sprawi... Gospodarze wczoraj się do niego zeszli i hurmem prosili, by za nich z panem pogadał, wedle tej dzierżawy gruntów dworskich. On to im tę myśl rzucił i o niczem innem teraz nie marzą.

Bez niego tu nikt nie uczyni, bo i z panem umowę trzeba zrobić i grunta podzielić i pieniądze na każdego wyliczyć i zebrać na termin, a przytem moc rachunków trzymać. Jego tylko głowa to obejmie. Prośli go, jak dobrodzieja, a młodszy krzyczeli, że go siłą od siebie nie puszczą.

— Cóż on? — Rufin ciekawie spytał.

— Znać było, że mu odmowa ciężko szła, że się sam przywiązał, że nie odszedłby też musu. Ano, mus, powiada, jest konieczność. Tak mu wkońcu aż łzy w oczach stanęły, jak mu stali dziękować i dobrze życzyć, żałować. Ano, mus jest.

Zwiesił stary głowę i zasępił się ciężko.

— Gdzie on teraz? — Rufin spytał.

— Żyto sieje.

— Sam?

— A sam. Zacząłem ja rano a on wnet pojął i powiada: dajcie mnie, ojczy, dokończyć. Jak to zbierać będziecie za rok, pomyślcie o mnie, zem wam zasiał ten chleb pierwszy. Jakbym ja kiedy o nim nie myślał.

— Pójdę do niego, bo interes mam.

— Poczekajcie, zawołam.

— Nie, nie. Pójdę sam zobaczyć go przy robocie.

Poszli tedy razem. Nieopodal czerstwe już zagony wyciągały się symetrycznie — na pierwszym z brzegu worek z ziarnem białał, a opodal Marcinek, pogwizdując, świeży zasiew broną zawłóczył.

Siewacz do nich bruzdą szedł, szerokim rzutem zboża garście przed siebie ciskając, zapatrzony w ten deszcz ziarn dorodnych, rozsypujących się z szelestem.

— *Podiek Dewo!* (Pomagaj, Boże) — Rufin do niego zawołał.

— *Ir yums* (I wam) — odparł, podnosząc głowę.

Rozjaśniły mu się oczy i twarz cała na widok rzeźbiarza.

— Godziło się tobie tak męczyć? Trza było rzec słowo, a przyjechałbym po ciebie. Tak daleko szedłeś, biedaku!

— Niedawno z miasteczka przyjechałem i wprost tu idę.

— A prawda. Zachodziłem wczoraj do ciebie i chatę zapartą znalazłem. Toś w miasteczku był?

— Szwedasa w więzieniu odwiedzałem.

— Puścili cię?

— Puścili, bo go jutro do Kowna przeprowadzą, skąd nie wróci, więc pozwolili mu się ze swymi pożegnać. Synowie byli i wnuki mu przynieśli, by pożegnał — byłem i ja.

— Cóż on?

— Jako zawsze, spokojny. Do ciebie też prośbę ma.

— Do mnie — on?

— Niewielką prośbę. Chciałby cię przed odejściem zobaczyć...

— To jedź, synku — stary Jan zawołał.

— Jedź. Ino rychło — Rufin dodał, na niebo spoglądając. — Konno za godzinę zabiegiesz i jeszcze na czas trafisz.

— Com ja mu? Ledwie znajomy.

— To co? — Jan się ozwał. — Dość, że cię woła, to nie myśleć i zastanawiać się, ale słuchać trzeba.

— Tak i zrobię. Tylko, że nijakiego interesu Szwedas do mnie mieć nie może.

Odparał fartuch z nasieniem, włożył surdut, pasząc się opodal klacz złapał i do dworku powiodł.

Wracający wolniej ojciec z Rufinem widzieli jak w mig siodło na nią narzucił, zakiełzał, wsiadł i za wrota kłusem ruszył.

Słońce stało wysoko, a on klaczy nie żałował; w godzinę był w miasteczku, zajechał do karczmy, dereszowatej dopatrzył, rozkulbaczył i w stronę więzienia poszedł.

Już późno było, więc go puścić się wzdragali, ale stróżowi w garść datek wcisnął i przemógł niechęć.

Zaprowadzono go w korytarz — dawnego klasztoru zabytek — utworzono jedną z cel, nad którą jeszcze z pod glinki werset nabożny, łaćński wyzierał,

— Prędko się sprawcie, bo za pół godziny przyjdę was zabrać — rzekł stróż, wpuszczając go do środka i napowrót drzwi ryglując.

Z pod czystego nieba w mrok izdebki przeniesiony. Wawer nic nie widział i stał w miejscu.

Oczy więźnia, do ciemności tej już nawykłe, poznały go, nim się odezwał.

— Nie spodziewałem się ciebie już zobaczyć, Karewisie młody — rozległ się poważny głos Szwedasa.

— Jakże?... Skorom waszą wolę usłyszał, minuty nie zwlekałem.

— Myślałem, że ciebie już niema między swymi...

— Pojutrze odjeżdżam.

— A ja jutro odejdę. Ale ty młody i wrócić możesz, a ja stary — i już nie wrócę. Taka między nami różnica. I ty z dobrej woli odchodzisz, boś młody, a ja z musu, bom stary...

— Nie rozumiem was.

— Tak mówię. I jaskółka na naszej ziemi żyje, i zając i wół roboczy i kret. Ale jaskółka co jesieni odlata, a zając żerowiska zmienia i dziesiątki mil obleci. Wół zaś roboczy od bruzdy ani na krok nie zejdzie, a kret z ziemi wydobyty zamiera. Młody, jako jaskółka, jest lotny, jako zając, lekkonogi — ino końcami skrzydeł, ino końcami stóp dotykają ziemi. A stary, jako wół roboczy, nad bruzdą wiek zbył, jak kret, w ziemi się zakopał. Rozumiesz mnie teraz?

— Rozumiem.

Szwedas zbiżył się do niego.

Oczy Wawra wdrożyły się do ciemności i widział już wyraźnie postać starego szkaplerznika, chuda i koścista. Zgięło ją i wyniszczyło więzienie, tylko oczy zostały te same żywe, bystre, o przejmującym, surowem wejrzeniu.

— Karewis... — rzekł po przerwie. — Mało mi chwil zostało do mówienia, a wiele rzeczy... Żali to prawda, że ty odjeżdżasz tej ziemi twojej? Żali to prawda, żeś ty jaskółka, co przed złą porą gniazdo rzuca, zając, co tam żyje, gdzie żer znajdzie? Karewis się przecie nazywasz, a to znaczy: żołnierz. Żołnierz ty najemnik zatem, nie taki, jak ów pierwszy wasz ojciec był, co to nazwę wielką dostał — na własnej ziemi.



Jakże się to stać może, byś odjeżdżał? Widziałem, jakeś w ogniu stał, więc nie tchórz jesteś; widziałem, jakeś Rufinowi przyjazny, więc dobrego brata masz; widziałem, jakeś ziemię kupił i zabudował, więcś bogaty; widziałem, jak pracujesz, więc ci roboty tu nie braknie, jak starego ojca szanujesz, więc serce masz. Dlaczegoż ty odjeżdżasz i czego szukasz, żołnierzu tej ziemi naszej?

— Związanym jest słowem i obowiązkiem — tam!  
— Wawer odparł poważnie.

— Jakeś się rodził, ślubowałaś ziemi najpierwej, najuroczyściej... A ona teraz potrzebuje ciebie. Żali ty nie usłuchasz?

— Jakoż ona mnie woła?

— Woła od dnia, jak mnie nie stanie.

— Was? Co zaś macie na myśli?

— Kiedy w wojnie żołnierz pada, następny jego miejsce bierze. Tak ci tu jest. Żołnierzem ja byłem żywot cały. Terazem padł twarzą do ziemi, jak zabici padają. Karewis, nie kto inny, a ty, moje miejsce weźmiesz!

— Ja, ja? — wybełkotał Wawer, zupełnie oszłomiony. — Dlaczego ja?

— Boś dzielny i silny, boś rozumny i dobry. Czyś się zląkł tego więzienia, tej mojej siermięgi rządowej? Czyś ty tchórz?

— Tchórz? Ja? — prostując się, Wawer się oburzył.

— Więc co?... Może za pieniądze ino służyć,

— Nie, alem wam rzekł, że tam obowiązki mam, słowo dałem. Jakże ja mogę zdrajcą być?

— Można i mordercą być. Co się tak patrzysz? Posłuchaj: ksiądz ino to słyszał odemnie — a tobie powiem... Opowiadali ci ludzie o szewcu owym, co go znalezione przed laty pod kopcem naszym?... Opowiadali, a tyś nocą owe duchy chciał ujrzeć, co go zabiły. Śmiały jesteś. Ludzi tam zastałeś — wiem wszystko — i słowaś nie pisnął obcym. A wiesz ty, że między tymi ludźmi ów morderca był?

Wawer mimowoli się cofnął, zgrozą przejęty.

Starzec ręce przed siebie wyciągnął i zniżonym głosem dokończył:

— Te to ramiona jemu kark skręciły, by milczał.

Zapanowało milczenie uroczyste, takie, że w niem słyhać było bicie serca młodzieńca i starca ciężki oddech.

Potem Szwedas dalej mówił:

— Krew na sumienie wziąłem i myślałem sobie: jeżeli to sprawa winną, Bóg ją zniszczy — jeśli ja, zniszczy mnie. I czekałem. A oto Bóg znak zrobił. Sprawa, jako była, jest i żyje, a dla mnie dzień pokuty przyszedł. Jam się go zawsze spodziewał i cichy idę. Od naszych pól i ludzi, od synów rodzonych i wnuków, od roboty całego żywota i ścieżek, com je wydeptał. Wiemci, że ich więcej nie zobaczę, wiemci, że rychło zamrę, jak kret, z ziemi wydobyty i że na grobie nawet garści ziemi, tej swojej, nie dostanę.

Za tę krew... za tę krew! Po tylu latach!

Ale sprawa nad wszystko przed Bogiem świętsza. Znowu przestał, ciężko dysząc.

— Krew na sumienie wziąłem i odtąd dziecka nie popieściłem nigdy, zabawy nie znałem, ni uśmiechu. Martwiłem ciało, jak kat, a teraz na śmierć idę. Takem żył i pracował. Tak i ty potrafisz!

— Skąd wiecie? Ścieżki te wasze mi obce, a ja obcy!

— Skąd wiem? Ot z oczu twoich prawdziwych, z piersi twej potężnej, z mowy twej zuchwałej. To dawne Karewisy takie były i chodziły ścieżynami ciasnemi i twardemi, gdzie się kupowało imię dobre i pamięć wieczystą, a płaciło się, jak przystało — krwią! Żali ci krwi szkoda, żali ci strach, żołnierzu?

— Szwedasie, a co ja powiem, tu zostawszy, honorowi memu i słowu?

— A cóż powiesz, tam poszedłszy, ojcom pomarłym?

Znowu zamilkli, obydwaj przejęci. Na korytarzu kroki się rozległy, a potem zgrzyt zamku.

Strażnik wszedł.

— Wasz czas minął. Wychodźcie — rzekł do Wawra.

Ten jakby pijany był i ogłuszony. Stał w miejscu. Strażnik go za ramię wziął i wypchnął za drzwi. Zamknięto celę.

Jak lunatyk, wydostał się Wawer na świat i powietrze i szedł, nieświadomy swej drogi i celu, ciągle przed siebie, aż za miasteczko, w pola ciche, w noc spokojną.

Wczesnym rankiem wywieziono Szwedasa z więzienia, zdano go pod straż czterech żołnierzy, co go etapem mieli odprowadzić do Kowna.

Na to ostatnie pożegnanie dużo ludu się zeszło z Karewisk, synowie i wnuki, swojacy i znajomi.

On, spokojny i milczący, żegnał ich skinieniem głowy lub dłoni uściskiem i ciągle gdzieś dalej patrzył, ponad głowy, za tłum, za drogę.

I nagle twarz mu zajaśniała. Ulicą pełną gawiedzi Wawer się przepychał, wzrostem nad ludźmi górując, i ku niemu szedł.

Co niósł w sercu i na ustach, zgodę, czy odmowę?... Już Szwedas tego nie posłyszał, bo gdy Wawer jeszcze z gromady się nie wydostał, dano znak do odejścia. Stary tedy nagłym ruchem w zanzardze swej aresztanckiej siermięgi sięgnął, dobył coś i ramię podniósł i krzyż kreśląc, cisnął tę garść w tłum, daleko. I ruszył prędko, ujrawszy, że trafił.

Na głowę, na ręce, na ramiona Wawra posypały się, jak motyle, szkaplerze różne i różaniec z bukszpanu. A między temi szkaplerzami był jeden, jak krew, czerwony, w kształt serca wycięty, i ten mu na piersi spadł i zaczepiwszy się na odzieży, pozostał... A on stanął raptem poblady.

I stała się rzecz dziwna.

Karewiskich chłopów gromadki i Szwedasy młodzi oderwali oczy od więźnia, co odchodził, ucichły płacze i narzekania. Patrzali na Wawra i nie mówiąc słowa,

nagle, jednocześnie, jedną myślą popchnięci, podnieśli ręce do czapek i odkryli głowy.

A Szwedas już na most wszedł, wysoko na Kirsznawie wzniesiony, i tam się obejrzał.

I tak zdała, raz ostatni spotkały się wejrzenia tego, co odchodził i tego, co zostawał, i przysięgły sobie coś — bez słów.

A twarz Wawra krwią nabiegła i zdało mu się, że wewnątrz niego, w tym dzwonie, co na żywot cały razy niewiele się odzywa, już nie ptaszę małe się zatrzepotało, ale że się w nim rozkołysało serce i biło w spiż potężnie. A dźwięk rozrywał piersi, wstrząsał duszę, zagłuszał wszystkie inne.

## XI

Jakoś niezwykle jasno i wesoło zaświeciło słońce pewnej październikowej niedzieli na uciechę młodym i starym, a szczególnie dziatwie małej i zziębniętym wróblom pod strzechami.

W kościółku karewiskim dzwoniło na sumę a głos się daleko rozchodził aż do Palandrów, do Zaweliszek, do Wisborów, zwołując hucznie i gromko parafjan. Dzwonił z własnej ochoty, zakrystjana uprosiwszy, Marcinek Didelisów, zarumieniony od chłodu i radości. Rozbujany dzwon podnosił go na sznurze do góry, to znowu spuszczał i zdawało się chłopcu, że on czemś bardzo ważnem jest, że cały świat wie, że on tak pięknie dzwoni.

Ścieżyny, gościńce, dworska droga zaroily się ludźmi, niby owadów mnóstwem. Barwiły się kobiet chustki i spódnice, sukmany i kożuchy chłopów, mieszały się w to kilimki wozów, różnomastne konie i ruch i głosy stokrotne i koni parskanie i turkot, zbliżały się na ten dzwon, niby wojsko na trąbkę do chorągwi.

Marcinek wciąż dzwonił, choć kościół był pełen po brzegi, choć się tłumem okrył dziedziniec, choć i pan z dworu przyjechał, choć się ozwały organy,

a stokrotnie te głosy, w jeden dźwięk spłynąwszy, zabrzmiały pieśnią:

Pulkiam ant kiale (Upadajmy na kolana).

Msza się rozpoczęła.

Tłum rozpieął, zda się, ściany kościółka. Kobiety bliżej ołtarza, mężczyźni w głębi. Ławki zajęła starszyzna, okoliczna szlachta, dworscy oficjaliści. W pierwszej sam pan siedział, pani i panienki. Marcinek dzwonić wreszcie przestał i ostatni, dzięki tylko swej szczupłości, do środka się wcisnął. Przed samym panem stanął, jakby się pochwalić chciał.

Miał nowiutkie buty na sobie i kożuszek biały i miast obdartego kapelusza w ręku, czapkę z błyszczącym daszkiem. Wyglądał na to, czem był: na gospodarskiego syna i zucha.

Czapkę na ziemi przed sobą położył, w zanadrze sięgnął, dobył w chustkę owiniętą książkę do nabożeństwa. Pewny był, że pan ją widzi, że czyta i zdumiewa się, skąd jego dawny koniucha taki śliczny, złożony, gruby „Auksas Altorius” (Złoty Ołtarzyk) posiada. A nie tylko sam pan ale i pani i ekonom i wójt dziwią się i rozmyślają, jak to Marcinek mały do takiego skarbu przyszedł.

I słusznie się dziwią, bo to nikomu z nich ta książka tak drogo nie przyszła, jak jemu.

Ale on tylko sam to wiedział i ludzi niewielu, a wszyscy zazdrościli.

Chłopak się prostował i na palcach stawał i choć oczu nie podnosił i owych spodziewanych spojrzeń nie widział, czerwieniał z dumy.

Nieopodał niego Rufin się modlił.

Koło chorągwi, gdzie zwykle miejsce miał, ludzie mu się rozstąpili nieco, a jego i nie widać było, bo krzyżem leżał kaleka, pracowite ramiona rozłożywszy, a czoło o posadzkę wsparłszy. I kule jego tam leżały na ziemi, podle niego.

Odzywały się dzwonki, chyliły głowy, jak zboża łan; brzmiały organy poważnie.

Aż wreszcie się msza skończyła, odśpiewano suplikacje, odmówiono pacierze. Ksiądz do krated przystąpił, ewangelję odczytał.

Zrobiła się wielka cisza przy nauce.

Potem ci z Wisborów, z Palandrów, z Zaweliszek odpływać zaczęli, stopy Chrystusowe u wejścia całując.

Z Karewiszek nikt się nie ruszył.

Oczekiwali snąć czegoś jeszcze od ołtarza.

Jakoż gdy ksiądz naukę skończył, zaruszała się gromada, szmer przeszedł po niej i jakby wiatr powiał, zrobiło się blisko ławki pańskiej wolne miejsce, wśród którego tylko dwoje ludzi stało, a lud patrzył na nich i patrzyło na nich słońce z górnego okna, na głowy ich rzuciwszy garść blasków.

Stali blisko siebie.

Mężczyzna, prosty i wysoki, miał na sobie staroświecką sukmanę siną o stu fałdach, ściśniętą szerokim rzemieniem, rozwartą nieco na piersi.

Z pod niej wyzierała samodziałowa kamizelka i kołnierz grubej, lnianej koszuli.

Na piersi szkaplerzy miał kilka, a wśród nich jeden, jak krew, czerwony, w kształt serca wycięty...

W rękach grubych i ciemnych trzymał czapkę futrzaną.

Jasny jego włos, krótko ścięty, złocił się w słońcu, jak dojrzała pszenica; twarz ściągłą, inteligentną i żywą, spaloną miał na brąz. Zdobił ją wąs, krótko przystrzyżony i uśmiech promienny, a rozświecały oczy wyraziste, myślące, a wesołe.

Kobieta szczupła była, smukła, młoda. Śniadość jej krew zabarwiła, krew rumieńca, którym płonęła pod wzrokiem tyłu ludzi.

Jasną chusteczkę miała na głowie i twarz spuszczoną, że z niej mało co było widać. Na sobie

chłopską odzież a w ręku różaniec i książkę, do Marinkowej podobną.

Nawet i państwo ze dworu patrzeli na tę parę coś do siebie szeptali.

A ksiądz odchrząknął i na cały kościół z innej książki jął czytać bardzo donośnie.

— Wstępują w święty stan małżeński — pracowity Wawrzyniec Karewis, kawaler, z Rozalją Jodaśówną, panną — oboje katolicy, parafji tutejszej — zapowiedź pierwsza.

Jako morze kłosów, zaruszały się głowy i odwróciły do tych dwojga, a ów chłop młody jeszcze się bardziej się wyprostował i jaśniej uśmiechnął i przysunął do dziewczyny spłonionej i razem uklękli obok siebie, ku ołtarzowi oczy wznosząc.

Ludzie zaczęli wychodzić i na dziedzińcu szumieć, jako rój pszczół, a oni wciąż się modlili w cichości.

Dopiero gdy Rufin mozolnie z ziemi powstał, podnieśli się i oni i tak we troje wyszli przed kościół.

Otoczono ich zewsząd. Najstarsi gospodarze cisnęli się do prawicy młodzieńca, winszując i dobrze życząc, kobiety wrywały sobie z rąk dziewczynę, ściskając i całując.

Potem się rozstąpiono przed panem, który także do parobczaka przystąpił, dłoń mu podał, a potem w głowę ucałował.

— Przecie nas na wesele zaprosisz, Karewis? — mówił wesoło.

— Szczerem sercem prosimy w gościnę — odparł młody, kłaniając się z uszanowaniem, a Rozalka, jak wiśnia czerwona, dziękowała pani i panienkom za życzenia i serdeczne zajęcie.

Przed kościołem, jak w odpustowy dzień, rojno było.

Hamowano się nieco obecnością państwa, ale gdy wreszcie odjechali, Jonas Szluguris przed młodą parą stanął, czapkę w górę wyrzucił, w bok się wziął i z fantazją pieśń weselną zaintonował:

Chmielu, ty, chmielu,  
Zielona szyszko,  
Póki sam byłeś.  
Bitwy nie czyniłeś.

A jak się zmieszałeś  
Z czystym jęczmieniem,  
Chmielu, ty, chmielu,  
Bitwę zrobisz!...

Zaśmiano się chórem, zawtórowano ochoczo i porwawszy młodego, wiedziono go gwałtem do gospody. Ale on się oparł za wrotami.

— Nie dzisiaj — rzekł stanowczo. — Alus u Butkisa stary i wyteńczy. Będziemy pić i hulać, jak mu świeżego przywiozę. — I został.

Tłum się rozszedł powoli.

Na stwardniałej od mrozu drodze, wśród pól, szronem okrytych i nagich, zostało troje.

Kaleka szedł środkiem, a młode silne ramiona podtrzymywały go na wybojach szlaku.

Zatrzymał się przed chałupką swoją i spojrzał na nich nieśmiało.

— Możebyście wstąpili? — poprosił.

— Jeżeli pozwolisz i owszem.

Weszli do jedynej izdebki, ubożuchnej i zimnej.

Gdy tak stali promienni i radośni, Rufin łagodnie swe źrenice w nich wlepił i z uśmiechem się ozwał:

— Jacyście piękni! Zda mi się, że z wami złote lato do chaty mi weszło i zaświeciło. Czemże ja was ugoszczę, mili moi?

— Słowem swoim, jakieś zwykle uczył, cieszył, radował — odparł chłop młody, obejmując go za szyję i całując.

— Tak ci się zdaje, bracie, druhu stary! To ci własna dusza mówiła, nie ja. Jako świeższy zbożowy jestem. Radujesz się, go słysząc, ale nie z tego śpiewu marnego, ale z owych pól barwnych, gdzie się on



dzysza. Takem ja się dziś radował, owe zapowiedzi  
łyszac wasze, jakby ksiądz mówił nie o godach serc  
waszych, ale od ziemi dziewosłębem był i na gody  
ej z tobą lud zapraszał...

— Ja tom inaczej onej chwili myślał — odparł  
Wawer z uśmiechem, na Rozalkę spoglądając. —  
Chatę swoją widziałem, a w niej gospodynią, jako ją  
piosnka maluje:

Czyściocha, tkaczka,  
Prządka śpiewaczka.

— A ty, Rozalko, pomyślałaś krzyne o gospodarzu  
swoim? — dodał żartobliwie.

— Pomyślałam, jako on dzisiaj w daleką drogę  
pojedzie i w ciężką...

— A pojedę! Skoro zmierzchnie, wstąpię do cie-  
bie, Rufinie, po pakunek i na noc całą ruszę. Da Bóg,  
za dni dziesiątek powrócę. By się ta już prędzej we-  
sela doczekać.

Zamyślił się i zmarkotniał na chwilę.

— Bieda tym, co ni chaty, ni twarzy swojej  
w żywocie nie zobaczą i których nikt dobrze nie  
wspomni — nie żałuje...

— O Krystofie myślisz? — zcicha Rufin zapytał.

— O nimże.

— Możeś go widział? — rzeźbiarz się odezwał.

— Onegdaj. Po północy zapukał do komórki  
u mnie, gdzie sam nocuję i po imieniu się nazwał...  
Wyszedłem do niego. Wicher i deszcz hulał na dwor-  
rze, taka pora, że ino wilki i samobójcy chodzą po  
świecie...

W ciemności tom go nie widział dobrze, ale, by  
się nie nazwał, tobym i głosu nie poznał. Wspomniał,  
żem mu ratunek obiecał kiedyś, i po to przyszedł. Za  
morza chciał jechać.

— I pojechał?

— Pojechał... Ostatek mojej niemieckiej skóry  
mu oddałem, kapitana Lorenza paszport, grosz na  
drogę i list polecający do znajomych.

— Dobrześ zrobił. Nie żyć mu tu było.

— I jeszcze jeden list mój z sobą powiózł a w nim pierścionek Niemkini. Napisałem do kupca starego, przeprasząc i prosząc, ale że mu sprzø niewierzyć się muszę, bo mnie matka od siebie nie puszcza. Takem rzekł i myślę, żem nie żęłgał.

— Nie, prawda jest!

— Takem rozumiał. Poszedł tedy Krystof. Teraz daleko być musi. W Bożej woli jego droga, w Bożej woli jego powrót.

Obejrzał się na dziewczynę. Ciche łzy biegły jej po licu, a usta drżały.

— Czego się troskasz, kwiatuszku mój? — rzekł. — Będzie ta chata uboga, skąd cię sobie wezmę, pod moją opiekę i staraniem czekać na niego. By za lat dwadzieścia wrócił, całą ją najdzie, białą i oprzątniętą, jaką przedtem była. Da Bóg, on wróci do niej.

— Wróci, jako z więzień wracają, karę przebywszy. Może i jego stopy poznają kiedy ścieżyny nasze... U Boga takie bywają naznaczenia cudowne — rzekł Rufin uroczyście. — Ciała kalekie mu służą i dusze chrome często na służki swoje naucza. Nie płacz, dziewczyno dobra, ino módl się za nim — i czekaj — w Bogu ufając.

Rękę jej w swe dłonie ujął i z uśmiechem, co był nad słońce jaśniejszy, a nad wszelkie żałości smutniejszy, dalej mówił:

— I nad tym wybranym swoim nie płacz, gdy w drogę odchodzi daleką a ciężką!... I choćbyś go kiedy, jak Szwedas, żegnać miała, nie płacz.

Drogi nasze, jak mrówcze ścieżyny, które do gościńca biegną, co ni końca niema, ni początku.

Lata nasze, jak owadów doby, a prace nasze jako źdźbła, co je ptaszek na gniazdo nosi i ściele, a my sami jako te szare prochy pod stopami...

Z tych ścieżyn i ździebeł i prochów światy się tworzą — ale my co? — Do świata, a świat co? — Do nieba. Nie płakać tedy — a czekać!...

Tak się w swych myślach zatopił, że nie czuł, jak na rękę jego spoczęły wargi dziewczyny a potem żołnierza młodego usta.

Tak mu bez słowa, z dusz głębi złożyli cześć i szacunek, podziękowali. Ona za światło, które w niej zapalił, on za napój cudowny, który w tej izbie pił tyle razy na obudzenie i zdrowie i siły...

On tego nie czuł, bo i ziemi w tej chwili nie czuł, ani ciała, ani bólów swoich.

## XII

Burzami był wzdęty Bałtyk siny i jesiennymi wichrami smagany.

Nad nim bure niebo chłód rozrzucało i ponurość, białe piany na grzbietach fal jak śnieg złowieszczy były.

W Memlu ładowano ostatnie statki przed zimą, śpieszono się, by wczas jeszcze umknąć na brzegi łaskawsze, w porty cieplejsze.

Ludzi było jak mrowia po bulwarach, po tamach. Roiły się pomosty, daleko w morze rzucone, rozbrzmiewało powietrze od łoskotu spuszcanych belek, świstu pary, dzwonek, zgrzytu wind, nawoływań i rozkazów.

Niedaleko zbożowych magazynów ładowano kilka ciężkich, transportowych parowców, spody ich czerwono malowane, zagłębiały się coraz bardziej, boki, osłaniające skrzydła śnieżno-białe, czerniały daleko nazwą. Dwa były angielskie, jeden niemiecki z kupiecką banderą.

Setki, tysiące worków pochłaniały ich dna pękatę. Odejdą jutro o świcie, mówili znawcy, patrząc mimochodem na nie.

Na pomoście, który do nich wiódł, stał chłop młody i przypatrywał się robocie.

Miał kierpce skórzane na nogach, za pasem bicz

zatknięty, na głowie spiczastą czapkę futrem obłożoną, staroświecką kiepurę.

Nic go śnać nie nagliło. Ręce wsunął w rękawy i od paru już godzin stał na wietrze i chłodzie, popychany, odtrącany, łajany.

Nie odzywał się, tylko z właściwym swemu narodowi uporem zostawał w miejscu raz obranem. Zapatrzonego był w morze, zasłuchany w te zmieszane portowe odgłosy, nozdrza nawet jego zdawały się z rozkoszą wciągać surowe, ostre wyziewy wód słonych, bo się rozdymały jak u stepownika, gdy go tęsknota ogarnie.

I źrenice jego żywe były zajęte, rozświecone. Choć milczały usta, oczy gadały coś do tych fal, do tych pian, do tego głosu morza. A tymczasem zapatrzonego klęli robotnicy z drzewem, workami, bo im zawadzał na wąskim pomoście; oglądali się na niego marynarze, uwijający się tu i tam, przekpiwali jego strój malcy i Łotysze. Ale on oczy, czucie i myśli miał tylko dla tego morza przed sobą i na nic nie zważał.

Mijając spojrzał nań także majtek z niemieckiego okrętu, człek barczysty, czerwony, brodaty. Spojrzał i zatrzymał się, potem splunął i dalej poszedł, ale o parę kroków znów się obejrzał, popatrzał dłużej, zaklął.

Zwrócił się, o krok przed chłopem stanął i przypatrywał mu się uparcie, badawczo, ciekawie. Chłop oczu od Bałtyku nie zwracał.

Nareszcie marynarz jeszcze się zbliżył, odchrząknął, splunął. I to nic nie pomogło.

Wówczas zdecydował się i ręką dotykając czapki i krzywiąc się od śmiechu, rzekł znienacka:

— *Kapitän Lorenz!*

Chłop drgnął, odwrócił głowę na mówiącego, bez słowa patrzył.

Tamten coraz się upewniał w swej pamięci.

— *Erkennen mich nicht? Bin ja Trimm, Matrose aus „Margarete”. Da!*

Rękę wzniosł i statek najbliższy wskazał.

Chłop milczał. Spojrzał na parowiec, na morze, na niebo w krąg, a nakoniec źrenice spokojne, lekko zmrużone na marynarza przeniósł i nie zmieniając postawy, nie zdradzając najlżejszego zajęcia, rzekł lakonicznie:

— *Ne suprantu!* (Nie rozumiem).

— *Der Teufel! Sind ja doch Kapitän Lorenz oder ich bin ein Haifisch!* — zawołał majster upornie.

— *Ne suprantu!* — powtórzył chłop.

Wówczas Trimm zawstydził się swej pomyłki. Splunął, na obcasie się odwrócił i prędko odszedł.

A chłop dalej w Bałtyk siny się wpatrywał...



POLISH RED CROSS.  
EDUCATIONAL DEPARTMENT.  
34, BELGRAVE SQUARE  
LONDON, S.W.1

